CZAS

Dodatek miesięczny.

ROK CZWARTY.

Tom XIV — Zeszyt 40.

Kwiecień.





KRAKÓW.

CZCIONKAMI I NAKŁADEM DRUKARNI „CZASU".

1859.

1

Kwiecień — 1859.

2

CZWARTE WSPOMNIENIE

O PUŁKU LEKKOKONNYM POLSKIM

GWARDYI NAPOLEONA I. *).

Kiedyśmy pierwsze wspomnienie nasze powierzyli Redakcyi *Dodatku do Czasu* powodowani bolesnem uczuciem, iż nam się zdarzyło czytać pojedyncze urywki, nietylko pułkowi polskiemu gwardyi Napoleona I, sprawiedliwości należnéj nie oddające, ale mylne i obraźliwe dla tego pułku wyobrażenia przekazujące; niemyśleliśmy, żeby nasz wiek sędziwy, wzrok i pamięć osłabione, narażone być miały jeszcze na dalsze zajmowanie czytelników, dziejami pisanemi oscble, bez żadnéj okrasy stylu, zalecającemi się tylko prawdą i sumiennością naocznego świadka. Lecz kiedy odbieramy ciągle ode-

*) Patrz *Dodatek do Czasu* T. IV, str. 597; T. IX, str. 293; T. XI, str. 23.

zwy żyjących jeszcze współtowarzyszów broni, dopominających się sprostowania lub dopełnienia; a korespondenci *Czasu* i innych dzienników zachęcają nas do dalszego i obfitszego dostarczania wiadomości z owych czasów świetnych a mało znanych; gdy zwłaszcza uważamy że w pamiętnym roku 1809 mało kto z ziomków brał udział w kampanii nad Dunajem, prócz oddziału naszego 300 koni w bitwach pod Aspern i Esslingen, a całego pułku pod Wagram; zatem *quanquam Animus... luctu.. refugit*, po raz czwarty ponawiamy opowiadanie nasze.

A najprzód, kiedyśmy zamierzali zadość uczynić wezwaniu naszego byłego pułkownika, jenerała Wincentego Krasińskiego, doszła nas wiadomość o jego zgonie. Wypełniając więc jego polecenia, winniśmy zamieścić razem i wzmiankę o jego osobistości. Mianowanie Wincentego Krasińskiego pułkownikiem naszym, podaliśmy już w 1em Wspomnieniu w *Dodatku do Czasu* na miesiąc grudzień 1856 r. Późniéj został on stopniowo mianowany jenerałem brygady, dywizyi, aż w końcu w Fontainebleau naczelnym dowódzcą wszystkich wojsk polskich, do chwili ostatniéj wiernemi Napoleonowi I pozostałych, na czele których wrócił zaszczytnie Krasiński do Warszawy, poniosłszy ciężką ranę od wojsk pruskich w Kotbus. — Wincenty Krasiński umiał zaprowadzić w pułku sobie powierzonym, duch braterstwa koleżeńskiego, ożywiony najchlubniejszemi uczuciami honoru i poświęcenia dla sprawy narodowéj; którą sprawiedliwość oddają mu wszyscy jego dawni podkomendni jeszcze żyjący; udział osobisty jaki brał w licznych bojach pułku, częścią już podaliśmy w opowiadaniu naszem, częścią będzie o nim stósowna wzmianka w dalszych opisach późniejszych kampanij. Będąc pokrewniony z linią podlaską imienia Załuskich, przyjął mnię życzliwie do swego pułku zaraz przy formacyi w kwietniu

1807 r. i ciągle zaszczycał mnię swojemi względami. W r. 1813 w natarciach jazdy pod Reichenbach, nazajutrz po bitwie pod Bautzen, miałem szczęście oddać mu osobistą przysługę, jakoż zostawałem z nim w ścisłych stosunkach aż do d. 29 listopada 1830 r. Po długiem wzajemnem milczeniu, gdy zacząłem pisać Wspomnienia o pułku jego byłego dowództwa, przesłałem mu takowe za pośrednictwem mojéj małżonki, na co pod 8 kwietnia 1853 r. otrzymała własnoręczne jenerała wyrazy następujące: „Z najwyższą wdzięcznością odebra„łem list Jéj z przyłączoną książeczką, która mi błogie „czasy przypomniała, dzięki mężowi JWPani Dobrdzki „że nie zapomina dawnych przyjaciół i towarzyszów „broni, przypisane do książeczki pieśni *) rozczuliły „mnię i Jemu winienem moment pociechy.“

Będąc ubiegłego lata nad Renem, wszedłem w korespondencyę tyczącą się pamiątki po księciu Dominiku Radziwille, majorze naszego pułku zmarłym nagle w Lanterecken, w skutek kontuzyi otrzymanéj w bitwie pod Hanau r. 1813. Pierwszy raz zgłosiłem się tam do jenerała Krasińskiego w téj sprawie tyczącéj się wspólnego pułku i honoru narodowego, dołączając mu kopią listu księdza proboszcza katolickiego w Lanterecken z prośbą: żeby jenerał uczyniwszy już tyle dla pamięci księcia Dominika Radziwiłła, nie przestawał uwieńczyć swéj fundacyi o ile możności — hojniejszem wsparciem, szczególniéj za przyczynieniem się księcia Wilhelma Radziwiłła, swego siostrzana, a to z zapisów na cele dobroczynne zdziałanych przez pierwszą małżonkę jego ojca, z domu Morzkowskich.

Ponieważ ten przedmiot połącza razem ciekawe wspomnienie o księciu Dominiku Radziwille, oprócz tego własnoręczne upomnienie się jenerała Krasińskiego o spro-

---

*) Pieśni w pułku śpiewane.

stowanie pomyłki mojéj zaszłéj wzmiance o jego familii należącéj do konfederacyi Barskiéj, gdy więc mamy powód sądzenia, że te szczegóły, z wielu względów obchodzić mogą czytelników, umieszczamy tu w całéj rozciągłości tę dość obszerną korespondencyą. Oto jest dosłowny odpis listu jenerała Krasińskiego do mnie:

„Dnia 29go sierpnia 1858. Warszawa. Wczoraj we „wieczór przybywszy do Warszawy, zastałem list jene„rała pisany z d. 22go t. m. z żywą wdzięcznością — „i dzięki za niego składając, mam honor zaraz mu do „Schlangenbad odpisać:

„1) Prócz fundacyi méj kościołowi w Lanterecken, „zdaje mi się, żem zrobił równie municypalności. Ciało „księcia Dominika przyprowadziłem do Warszawy i zło„żyłem u Kapucynów; serce wmurowałem w marmuro„wéj trumience w kościele w Krasnym — wnętrzności „są w Lauterecken.

„2) Znam księcia Wilhelma Radziwiłła, widziałem go „w Dreznie, i napiszę do niego o fundacyi księżnéj Ra„dziwiłłowéj pierwszéj żony jego ojca księcia Aleksan„dra — sądzę że spełni polecenie JWgo jenerała.

„3) Racz JW. jenerale kazać poprawić pomyłkę w *Do„datku do Czasu* na miesiąc lipiec 1858 r. że: marsza„łek konfederacyi był mym ojcem, a biskup kamienie„cki stryjem; kiedy, pierwszy był ojcem mego ojca „zmarłego r. 1790 posłem na walnym sejmie, a biskup „bratem rodzonym marszałka konfederacyi barskiéj Mi„chała Hieronima Krasińskiego podkomorzego rożań„skiego.

„4) Jam złożył ciało księcia Dominika, sądząc że je„go córka księżna Wittgenstein w Nieświeżu pochowa „go między zwłokami jego nad-dziadów; lecz mają„tek ztrwonili, o nim zapomnieli. Jak tylko skoń„czę kościół w Opinogórze, gdzie moja żona poczci-

„wa *) jest w kaplicy pochowana, to ciało księcia Do- „minika złożone w ołowianéj trumnie, tam sprowadzę „byśmy w jednem miejscu byli pochowani.

„Ośmielam się prosić byś raczył złożyć me uszano- „wanie JWéj jenerałowéj, życzenia polepszenia zdrowia, „i przyjął zaręczenie wysokiego poważania od dawnego „towarzysza broni, przyjaciela i sługi. *Krasiński*.“

Jeżeli z tego listu okazuje się już życzliwe usposobienie jenerała Krasińskiego, dla przechowania pamiątki księcia Dominika Radziwiłła, udowodni się to jeszcze więcéj, z następującego listu do nas pisanego z dołączonymi allegatami.

Oto jest tłumaczenie listu w niemieckim języku skreślonego:

„JWPanie! przyjazne pismo pańskie było mi już przed „tygodniem doręczone; bardzo przepraszam, że się tyle „opóźniam, z dostarczeniem JW. Panu objaśnień żąda- „nych o księciu Dominiku Radziwille.

„Po bitwie Hanauskiéj, w któréj kula armatnia rozer- „wała czapkę księcia Radziwiłła, przybył tenże książę „d. 10go listopada 1813 tu do Lauterecken jeszcze „w dość dobrym stanie zdrowia, z korpusem zostającym „pod dowództwem JW. jenerała Krasińskiego, i zajął „kwaterę w oberży pod koroną; ale nazajutrz d. 11go „zmarł książę nagle na apoplexyą. Jak dalece bolesnem „musiało być przerażenie którego doznali przyjaciele „i towarzysze broni, z tego tak niespodziewanego zgo- „nu księcia, po którym Polska tyle sobie obiecywać mo- „gła, okazuje się z téj okoliczności, że podając na mu- „nicypalności akt śmierci, zapomniano wyrazić wieku „zmarłego. Z tego co ja słyszałem, miał książę dopiero „liczyć lat dwadzieścia.

*) Radziwiłłówna z domu. (P. A.)

„Jenerał hrabia Krasiński, który jak mi mówiono, „miał być szwagrem księcia, poczynił rozporządzenia, „mające na celu uwiecznienie pamięci zmarłego, a któ„re oboje w odpisach mam zaszczyt JWPanu udzielić.“

Jm. ksiądz Katterfeld oczywiście nie był jeszcze proboszczem w Lauterecken w r. 1813, albowiem bierze księcia Aleksandra Radziwiłła adjutanta i szwagra jenerała Krasińskiego który mógł mieć wówczas lat 20, za księcia Dominika, o którym jest wiadomo dowodnie że się rodził r. 1785 a zatem miał lat 28 gdy skończył żywot chwalebny w Lauterecken skutkiem kontuzyi odniesionéj w zaszczytnéj szarży na czele znacznéj części pułku pod Hanau.

Ksiądz Katterfeld pisze daléj:

„Ciało zmarłego księcia zostało otwarte; wnętrzności „w naczynie cynowe włożone i w tutejszym kościele po„chowane. Ciało zaś nie było tu pogrzebione, miało być „zabrane do Paryża, a serce do Polski. Ponieważ tylko „wnętrzności zostały tu pochowane, z tego powodu i akt „śmierci księcia nie jest w księgi kościelne wciągnięty; „nie mogę więc JWPanu przesłać tylko akt w téj mie„rze w municypalności zeznany, który tu pod znakiem „załączam; aniwersarz śmierci młodo zmarłego księcia „odprawia się corocznie w tutejszym kościele d. 11go „listopada z rana i w południe, według przepisanego przez „fundusz porządku, ale dziewczyna protestancka od lat „kilku już nie przychodzi na uroczystość żałobną, po„nieważ pastor protestancki mniema: że przez uczestni„ctwo w kościele katolickim do żałobnego nabożeństwa „i do mszy świętéj, popadłaby w niebezpieczeństwo i „zaparcie swojéj wiary; z tego powodu ma pastor ob„chodzić osobne nabożeństwo żałobne w swoim zborze.

„Owoczesne okoliczności wojenne, w których jenerał „hrabia Krasiński, może wystarczającym zapasem pie„niężnym nie był zaopatrzony, może były przyczyną,

„że na utrwalenie pamiątki księcia Radziwiłła, żaden „pomnik widzialny wystawiony nie został. Ale takowy „i to znamienity, stał się, usiłowaniem małéj i ubogiéj „katolickiéj parafii Lauterecken; ponieważ przed dwu-„nastu laty zaszła potrzeba wymurowania nowego ko-„ścioła, udano się pismem uszanowania pełnem do JW. „jenerała hr. Krasińskiego do Petersburga, w którem go „proszono o łaskawe wsparcie budowy kościoła, wyra-„żając: że nowy kościół będzie dedykowany ś. Domi-„nikowi patronowi zmarłego księcia Radziwiłła, a to, „w celu uświetnienia tem więcéj pamiątki tego księcia.

„Ale na to pismo nieotrzymano odpowiedzi. Wszela-„ko budowa kościoła została przedsięwziętą, i kościół „od r. 1853 stoi ukończony. Wielkie bardzo ofiary po-„nieśli tutejsi nieliczni parafianie, i przez długie lata „będą jeszcze opłacać odsetki od zaciągniętych na ten „cel kapitałów, a zwłaszcza na wystawienie organów i „trzech nowych dzwonów, z których pośredni, będzie „miał imie patrona ś. Dominika; co wszystko wymaga „jeszcze wielkich kosztów. Najzbawienniejszą pamiątką „dla nieboszczyka byłoby: gdyby wspaniałością jego „familii i wysokich krewnych, dana mi była możność, „poruczyć wychowanie i naukę młodzieży żeńskiéj płci, „zakonnicom albo siostrom szkolnym (*Schulschwestern*), „do czego daj Boże! błogosławieństwo.“

Tu się opuszcza część listu mniéj zajmująca, kończy daléj piszący:

„Siebie i parafię moję łasce i względom JWPana po-„ruczając i Pana Boga o zdrowie i powodzenie dla nie-„go prosząc, pozostaję z głębokim uszanowaniem, JW. „Pana najniższym sługą. Lauterecken d. 4 sierpnia 1858: *Józef M. Katterfeld.* Dziekan.“

Do tego listu allegat w niemieckim języku, którego tłumaczenie:

„Przez darowiznę Wincentego Korwina Krasińskiego, „Hrabiego Cesarstwa, jenerała brygady, dowódzcy kor„pusu, podkomorzego JCK. Mości, komandora legii ho„norowéj, kawalera różnych orderów; Wielkiego krzy„ża orderu polskiego ś. Stanisława — z dnia 12 listopa„da 1813, przez dwóch w Lauterecken mieszkających „notaryuszów przyjętą, zapisał tenże kościołowi katoli„ckiemu w Lauterecken sumę pięciu set franków, którą „tenże zaraz na terminie ś. Marcina, atoli w papierach „zwanych: *traites* cesarskiego skarbu, wyliczył, celem „złożenia jéj do wymienionego kościoła, który téj sumy „kapitalnéj pozbywać nie może ale ma prawo admini„strować nią według przepisów kościelnych.

„Darowizna ta nastąpiła pod warunkami, których się „kościół podejmuje:

„1) Że kościół w mowie będący, raz na zawsze ka„żdego roku d. 11go listopada mszę i kazanie za duszę „JO. księcia Dominika Radziwiłła kawalera wielkiego „krzyża orderu ś. Huberta, oficera legii honorowéj, ka„walera krzyża wojskowego polskiego i ś. Jana Jero„zolimskiego, książęcia na Nieświeżu i Ołyce, majora „1go pułku szwoleżeréw ułanów polskich gwardyi ce„sarskiéj — odprawiać będzie.

„2) że tegoż samego dnia 11go listopada, każdego „roku, w pół do trzeciej po południu, jako godzinie jego „zgonu, psalm *De profundiis* i *Miserere* odprawionym „być musi.

„3) Że w kazaniu o nieboszczyku zawsze powinna „być mowa, który był synem JO. księcia Hieronima Ra„dziwiłła, wielkiego podkomorzego W. ks. Litewskiego, „a matka jego była księżniczka Rzeszy Niemieckiéj „Thurn et Taxis, urodzony był w Nieświeżu w Polsce, „a zmarł w Lauterecken na apoplexyą d. 11go lutego „1813 o godzinie 3éj po południu, przybywszy tu dnia „poprzedzającego tegoż samego miesiąca. Tenże książę

„straciwszy w 18m roku życia swego rodziców, objął „zarząd swego majątku, który mu przynosił rocznych „odsetków sześć milionów franków.

„Jako siostrzeniec imperatorowéj rosyjskiéj, został on „u dworu St. Petersburgskiego przedstawiony, gdzie go „obsypano odznaczeniem i rangę militarną pierwszego „rzędu obiecywano, czego on wszystkiego odmówił.

„W chwili kiedy na horyzoncie politycznym zajaśnia„ła nadzieja wskrzeszenia Polski, wystawił pułk jazdy „swoim nakładem, który sam prowadził z odznaczeniem „na drodze honoru, w bitwach pod Witepskiem, w któ„réj był ranny od kuli karabinowéj w piersi, pod Smo„leńskiem, pod Możajskiem i Woronowem.

„Następnie został majorem w 1m pułku szwoleżerów „ułanów polskich gwardyi cesarskiéj, w którym się kil„kakrotnie okrył sławą, a mianowicie w przeprawie pod „Hanau gdzie mu kula armatnia czapkę na głowie ro„zerwała.

„Ukończył tę kampanię z honorem i odznaczeniem.

„Postępki jego i prowadzenie się są: bez zarzutu, i bez „nagany, taką jest największa pochwała od przyjaciół „opłakujących go.

„Takowy akt darowizny, przez notaryuszów Gerwi„nus i Martini przyjęty został.

„Za wierność odpisu.

„Lauterecken d. 3go sierpnia 1858.

(m. p.) „*Józef Maria Katterfeld*

„katolicki pleban miejscowy, dziekan kapituły."

Drugi allegat, tłumaczenie z niemieckiego:

„Przez darowiznę z d. 13 listopada 1813 przed nota„ryuszami zdziałaną, przeznaczył JW. jenerał hrabia „Krasiński, że katolicka i luterska parafia w Lauterec„ken, każda summę dwóchset franków na korzyść dwóch

„ubogich dziewcząt posiadać mają, którą to summę zaraz „na terminie ś. Marcina wypłacił dla doręczenia takowych „rachmistrzom obu fabryk, a to w 100 sztukach po 28 „sztybrów holenderskich.

„Takowa darowizna nastąpiła pod warunkami nieod„miennymi:

„1) Że dnia 11go listopada r. 1814, na pamiątkę „dawcy, i na ozdobę nabożeństwa żałobnego za duszę „JO. księcia Radziwiłła, który zmarł w Lauterecken d. „11go listopada 1813 roku, na przedstawienie miejsco„wego duchowieństwa i municypalności dwoje dziew„cząt, najuboższych i najcnotliwszych, ale którychby „i rodzice byli nienagannego życia, mają być wybrane, „i do kościoła wprowadzone; gdzie pierwszego roku, „przy zgromadzeniu wszystkich obywateli, mających „prawo żądania, aby wybór dziewcząt sprawiedliwie był „dopełniony, każda z tych dziewczyn otrzymała wieniec „kwiatów nieśmiertelnikami i niezapominajkami zwa„nych upleciony, z szarfami ze wstęg granatowych i kar„mazynowych, które na kształt wstęgi orderowéj od „prawego ramienia do lewego boku zawiesić mają.

„2) Że obie te wybrane dziewczyny, każdego roku, „aż do ich śmierci — pozostaną w panieńskim stanie „lub za mąż pójdą, od rachmistrzów wyż wymienionych „kościołów, każda z nich odsetki od kapitału właściwe„mu kościołowi zapisanego, w sumie 10 franków, jako „dożywotni przychód (Renta) pobierać ma, i aż dopie„ro po jéj śmierci, do nowego wyboru przystąpiono być „ma, pod warunkiem żeby cnotliwemi pozostawały.

„3) Na przypadek zaś gdyby te obie dziewczyny, lub „jedna z nich, odstąpiły od życia przykładnego, a mia„ły się puścić na gorszące i bezecne, w takim razie od„padną od powyższego dobrodziejstwa i wybór nowy „ma nastąpić.

„4) Że te obie tak obrane i uwieńczone dziewczyny, „obowiązane są corocznie na d. 11go listopada do sta„wienia się w kościele Lautereckim, i towarzyszenia ob„rządkowi żałobnemu na pamiątkę JO. księcia Domini„ka Radziwiłła.

„5) Przytem jest uważenie: że fabryki obu wyznań, „mają obowiązek zarządu i czuwanie nad całością rze„czonych funduszów, i kapitałów tych w żadnym razie „pozbywać nie mogą; i że gdyby w następności czasów „Rząd krajowy tę fundacyę chciał znieść, albo te sumy „na swój użytek obrócić; w takim razie wymienione „sumy do familii Krasińskich powrócić winny.

„6) Że te wieńce i te szarfy podawane być mają „w czasie obrzędu żałobnego w imieniu JW. jenerała „hrabi Krasińskiego i JO. księcia Dominika Radziwiłła, „gdyż wolą dawcy jest: żeby ta uroczystość stała się „wieczystą i służyła do rozkrzewienia cnoty.

„Darowizna jest podobnie przyjęta przez notaryuszów „*Martini* i *Gerwinus*.

„Za wierność odpisu
w Lauterecken d. 3go sierpnia 1858.
(m. p.) „*Józef Maria Katterfeld*
„katolicki miejscowy pleban
„dziekan kapituły.“

Allegat trzeci, Lauterecken Nr. 24 wyciąg: tłumaczenie z francuzkiego:

„Z ksiąg zejścia w wójtowstwie (*mairie*) Lauterec„ken r. 1813.

„Roku tysiąc ośmset trzynastego, dnia trzynastego „listopada, o godzinie drugiéj popołudniowéj, przed na„mi Henrykiem Müller wójtem (*maire*) w Lauterecken, „urzędnikiem stanu cywilnego, gminy Lauterecken, wój„towstwo: powiat (*Canton*) Lauterecken, departament du

„Mont Tonnerre — stawili się Bernhard Henrich auster-„nik pod koroną złotą, wieku (24) dwudziestu czterech „lat, i Piotr Fischer kupiec poszczególny, wieku trzy-„dziestu pięciu lat, oba ani krewni ani powinowaci, „w Lauterecken zamieszkali, którzy zeznali przed nami: „że jedenastego dnia miesiąca listopada, tysiąc ośmset „trzynastego roku, o godzinie trzeciéj po południu, zmarł „w Lauterecken w domu pod Nr. 32, pod koroną złotą „Jaśnie Oświecony książę Dominik Radziwiłł, kawaler „wielkiego krzyża orderu ś. Huberta, oficer legii hono-„rowéj, kawaler krzyża wojskowego polskiego i ś. Ja-„na Jerozolimskiego, książę na Nieświeżu i Ołyce. ma-„jor 1go pułku lekkokonnego polskiego ułanów gwar-„dyi cesarskiéj, syn Hieronima księcia Radziwiłła wiel-„kiego podkomorzego W. Ks. Litewskiego i NN. księ-„żniczki Rzeszy niemieckiéj Turn et Taxis, i zeznawa-„jący podpisali z nami niniejszy akt po przeczytaniu „im onego.

Na akcie tym są podpisani: *P. Fischer*, *B. Henrich* „i *H. Müller.*

„Za rzetelność wyciąga

„Lauterecken d. 2go sierpnia 1858

Urząd burmistrza

(m. p.) *Lehre*

Tym sposobem podając do powszechnéj wiadomości własnoręczny list zmarłego jenerała Krasińskiego, zawierający poprawkę zaszłéj w przytoczeniu konfederacyi Barskiéj pomyłki, i fundacye jego, ustalające pamięć naszego majora najmajętniejszego z rodaków, wywiązałem się jak mniemam, w sposób bezstronny a chlubny dla dowódzcy pułku niegdyś gwardyi Napoleona Igo.

Uczyniwszy temu obowiązkowi zadość, przystępujemy do oddania sprawiedliwości szanownemu koledze byłemu kapitanowi w naszym pułku Wincentemu Tedwenowi, który się pismem do nas upomina, i słusznie. — Mniemamy, że i ten ustęp, acz przydłuższy, będzie z przyjemnością czytany, jako zawierający wyobrażenie czasów, nie tak bardzo oddalonych, a między rodakami mało znanych.

W pierwszem wspomnieniu naszem o pułku gwardyi polskiéj zamieściliśmy rodzaj protestacyi przeciwko opowiadaniu o bitwie pod Somosierrą, jakoby niepochodziło wprost z ust kapitana Tedwena; sądziliśmy albowiem, i powtarzamy jeszcze teraz, to zdanie, że szanowny dawny kolega nie tak opowiadał o tem słynnem zdarzeniu, jak to wypisał literat, który jakoby był opowiadaniu obecny, i miał takowe do swych notat skreślić, a jakie było wydrukowane Nr. XV *Czasu* z d. 19 kwietnia 1855. Ponieważ tu już nie tyle chodzi o rzecz jak o osobistość dawnego kolegi, umieszczamy Jego Reklamacyą, prawie całkiem i własnemi Jego słowy, jak następuje:

„W wspomnieniach z pułku gwardyi polskiéj stoi: „choćby Tedwen i miał był kontrolę w czapce, to chyba „swego plutonu, bo nigdy nie był wachmistrzem szefem, „a choć by i był, to by był tylko jednéj kompanii a „w tekście tygodnika stoi: *kontrola szwadronu* którą „miałem w kaszkiecie.

Na to kapitan Tedwen tak odpisuje:

„Prawda, nie byłem wachmistrzem szefem, był nim „w kompanii — to jest 7éj — Wincenty Dobiecki, ale „ten na kilka dni przed bitwą Somosierry awansował „na oficera, a ja, jako starszy po nim, robiłem służbę „wachmistrza szefa, musiałem mieć kontrolę kompanii „czyli szwadronu bojowego, a tę kontrolę miałem w czapce „(zwyczajny magazyn żołnierza). W szarży téj byłem

„ranny, czapkę miałem postrzelaną, a w niéj i kontrolę „pociętą. Kiedy mnię i różnych rannych wzięto do am- „bulansu dla odwiezienia do lazaretu, wachmistrz Dąb- „czewski *) w starszeństwie następujący, dopytał się do „mnie, i żądał kontroli szwadronu (kompanii) odemnie; „odpowiadam mu: że mam, ale niewiem czy zniéj czego „dojdzie; i od niego dowiedziałem się o poległych ko- „legach“.

Tyle słów Tedwena co do téj części jego reklamacyi.

Daléj na stronicy 26, pierwszego wspomnienia naszego stoi: „również nie wypada nam, zaprzeczać zu- „pełnéj możności, żeby kolega Tedwen, nie miał w *kilka „dni potem* rozmowy z majorem jeneralnym marszałkiem „księciem Neufchatelskim i t. d. i t. d.“.

Na te nasze wyrazy, tak odpisuje kapitan Tedwen:

„Z marszałkiem Berthier nigdy niemówiłem, ale z mar- „szałkiem Bessières, i to dopiero w r. 1811.— Już by- „łem porucznikiem Iéj klasy, odprowadzałem, czyli eskor- „towałem marszałka, z Valladolid do granicy Francyi; „w któréj to eskorcie był batalion pieszéj gwardyi i „ja z oddziałęm pułku naszego składającym się z prze- „szło 50 koni, był ze mną porucznik II klasy Fichno- „wski. Na pierwszym marszu z Valladolid, na pół sta- „cyi gdzie miał być nocleg, kazał marszałek zatrzymać „się całéj kolumnie dla wypoczęcia. Ja z moim oddzia- „łem maszerowałem zaraz za jego karetą; wysiadł mar- „szałek, podano śniadanie na które ja byłem zaproszony. „Po śniadaniu Marszałek przeszedł się pomiędzy szere- „gami żołnierzy; widząc, że moi żołnierze nie jedzą, „zapytał mię: *dla czego Twoi żołnierze nie jedzą?* od- „powiedziałem, że nie mają co; racye wczorajsze wczo-

---

*) Miło nam tu wyrazić imie Dąbczewskiego dawnego kolegi jednego z najwaleczniejszych, i podać go pamięci ziomków i rodziny Jego. (P. A.).

„raj zjedli; dziś co odbiorą, będą wieczorem jedli. Mar-
„szałek na to: *Ja chcę żeby jedli, każ im dać podwójne*
„*racye, żeby na odpoczynku mieli się czem posilić.* Stoso-
„wnie do danego rozkazu, poleciłem dać racye podwójne,
„to jest: mięsa funtów dwa i dwie butelki wina na żoł-
„nierza, z rozkazem, żeby jednę racyę zjedli na kwa-
„terze, a drugą żeby mieli przygotowaną na następny
„odpoczynek, co zostało wykonane. Nazajutrz, marsz
„podobny, odpoczynek na w pół drogi. Marszałek prze-
„szedł się między szeregami, zastał żołnierzy jedzących,
„z czego był zadowolony. Tego samego dnia przy obie-
„dzie był w bardzo dobrym humorze, zaczął opowiadać
„obecnym jenerałom i szabs-oficerom składającym Jego
„świtę: o waleczności naszego regimentu, mówiąc: *że to*
„*są Jego Elewy. Jego dzieci*, do mnie potem zwrócił
„mowę: *Ja wam pokazałem wąwóz Somo-sierry, zrobi-*
„*łem sławę waszemu narodowi i sobie.*

„Jakoż istotnie marszałek Bessières przyjechał był
„przed front naszego szwadronu (3go) dał rozkaz sze-
„fowi Kozietulskiemu do szarży i sam poskoczył kilka-
„dziesiąt kroków naprzód, dla wskazania co mamy ro-
„bić. Daléj mówił do otaczającéj go świty:

„Cesarz dał mi rozkaz wieczorem, abym nazajutrz o
„brzasku dnia, rozpoznał pozycye Hiszpanów; co usku-
„teczniłem, i zdałem raport najskrupulatniéj. Cesarz roz-
„kazał: aby dać na służbę szwadron szwoleżerów pol-
„skich, i że ten, zdobędzie pozycyą. — Pierwszy raz
„w życiu ośmieliłem się zrobić uwagę cesarzowi: że
„niepodobna by kawalerya wzięła tę pozycyą. Cesarz
„odpowiedział: *laissez faire aux Polonais!* (zostaw to
„Polakom!).

„Są to słowa marszałka Bessièra, który *nie mnie* ale
„oficerom francuzkim składającym jego świtę, w przy-
„tomności mojéj opowiadał. Te słowa wbiły się dobrze
„w moję pamięć byłem młody, ledwie 23 lat liczący,

„chciwy sławy regimentu i sławy całego narodu. Nigdy „w życiu nieprawdy niemówiłem; dziś starzec zgrzy-„biały — bo przeszło 70 lat liczę — stoję nad grobem, „nieśmiałbym zplamić ust moich, zwłaszcza że mam „dzieci; nie chciałbym im nieprawdy w puściźnie zo-„stawić“.

Cierpki ten żal kolegi, nie spadnie na nas; artykuł nasz, o którym kapitan Tedwen do nas pisze, nauczy jego i czytelników, przeczytany z uwagą, żeśmy sprzeczali się z literatem co sobie przywłaszczył opowiadanie weterana, z Epoki bohaterskiéj a czyniąc takowe przesadnem i mylnem; obndził nasze pióro, właśnie w tym przedmiocie czci pułku i narodu który ożywiał kolegę Tedwena, tak jak nas wszystkich wówczas współtowarzyszów broni. . . . . Bez imienny literat, który bezwątpienia w dobréj myśli, chciał sięporwszechności przysłużyć artykułem o Somosierze, i o jednym z jéj bohaterów Wincentym Tedwenie; nieobeznany z orszakiem pierwszych wojowników okolających Napoleona, zacytował marszałka Berthier zamiast Bessiera!. . . i rozmowę jego z Tedwenem — już natenczas porucznikiem I klasy, dowódzcę jego eskorty z r. 1811. . . wydrukował, jakoby miała miejsce z marszałkiem Berthier, majorem jeneralnym, w *kilka dni* po bitwie pod Somo-siera. . . . To nas starych żołnierzy naucza, jak nam ostrożnymi trzeba być w opowiadaniu dziejów ówczesnych przed naszą młodzieżą, bo słowo źle dosłyszane, gorzéj jeszcze z rozumiane, czyni czasem opowiadanie śmiesznem lub podejrzanem. Ale w obecnym razie, posłuży ta okoliczność czytelnikom na korzyść, że z pod pióra kolegi Tedwena dowiadują się o szczegółach, którychby od nas nie byli powzięli, a które noszą cechę naszego pułku. I tak kapitan Tedwen dalej pisze.

„Druga okoliczność w tym samym marszu, nie pa-„miętam czy nazajutrz po powyższéj rozmowie mar-

„szałka, czy dnia trzeciego, byliśmy zaattakowani przez „Hiszpanów; marszałek kazał sobie podać konia; ja „młody chłopiec bez doświadczenia, a ośmielony dobro„cią marszałka, zbliżam się do karety, i mówię: „toby „za wiele honoru było dla Hiszpanów żeby marszałek „cesarstwa siadał na koń, jest nas tu dość, Hiszpany „nie ośmielą się zbliżyć do nas“. Nato marszałek od„powiedział: „Tak mówisz?“ i spokojnie został w po„wozie. Porucznik Fichnowski wyjechał z plutonem roz„poznać nieprzyjaciela, Hiszpany się zaraz zrejterowały. „My spokojnie ten marsz i dni następnych, aż do gra„nic Francyi odbyliśmy. Kwatera moja na każdym no„clegu była obok marszałka, żebym mógł być na każde „jego zawołanie; często byłem wzywany przez mar„szałka na tłumacza języka hiszpańskiego: Odprowa„dziliśmy, — to jest my Polacy — marszałka przeszło „o jednę *lieu* — pół mili — w kraj Francuzki. — Pie„chota pozostała u granicy — pożegnał nas łaskawie; „my wróciliśmy nazad do Hiszpanii, do naszego garni„zonu — owoczesnego — Rioseco. Opowiadałem kole„gom tę podróż i słowa marszałka Bessières wyrzeczone „o naszym pułku. Pisałem dnia 28 marca 1958. *Win„centy Tödwen*“.

Uczyniwszy zadość obowiązkowi memu względem kolegi Tedwena, mniemającego się być dotkniętym, przez wątpliwość rzuconą, z powodu mylnéj relacyi literata podającego naturalną bardzo rozmowę z marszałkiem Bessièrem zniedopuszczalną rozmową z majorem jeneralnym marszałkiem Berthier księciem Neufchatelskim, i umieściwszy własnoręczne wyrazy dawnego kolegi, przytaczam teraz ciekawe szczegóły które dawni i łaskawi towarzysze: pułkownik Wincenty Mikułowski i major Walenty Zwierkowski przysłali mi własnoręcznie pisane. Nie które z tych szczegółów dopełniają wspomnień moich już w poprzednich zeszytach *Dodatku do Czasu*,

ogłoszonych, nieociągam się jednak z umieszczeniem takowych; raz dla okazania tym kolegom mojéj wdzięczności, za udział w mojéj pobieżnéj pracy; drugi raz, że te ich przypomnienia, malują stosunki nasze w Hiszpanii a mianowicie w Madrycie roku 1808, zaszczytne dla narodu polskiego. Oto tu mniéj więcéj słowa pułkownika Mikułowskiego.

„W dniu 2m Maja (w Madrycie) cudownie obadwa „z *Mogielnickim*, wśród rzezi przeszliśmy pieszo cały „Madryd od *Puerta del sol* (rynek słynny) aż do *Plaza* „*de la Cebada* (plac Jęczmienia, to jest: zboża), na któ„rym rynku kwaterowali: pułkownik Krasiński i szef „szwadronu Tomasz Łubieński. My oba, świeżo miano„wani oficerami, obstalowaliśmy u *Seňora Pasamanero* „(smuklerz) mieszkającego na *Plaza puerta del sol* dwie „pary: *Charreteras* (Czareteras, ślufy) i rano poszliśmy „po ich odebranie. *Mogielnicki* już miał mundur oficera „polskiego szwoleżerów, ja byłem w cywilnym surducie „z kapeluszem oficerskim. Podczas naszéj bytności w skle„pie Hiszpana, dały się słyszeć pierwsze strzały, i zaraz „na rynku rozpoczął się mord najokrutniejszy bezbron„nych pojedynczych francuzkich żołnierzy i kantynierek. „*Seňor Pasamanero*, ofiarował nam schronienie w swym „domu, aleśmy takowego przyjąć nie chcieli i wyszli„śmy na plac, a on drzwi zamknął. — Szliśmy wśród „tego istnego piekła, trzymając się za ręce, i co chwila „oczekując najokropniejszéj śmierci jakiéj ze wszystkich „stron mieliśmy widowisko. Raz nawet kupa rozjuszo„nych wieśniaków nieznająca naszego munduru, ku nam „się rzuciła . . . gdy z pośrodku tłumu dał się słyszeć „głos: *Deja los* (decha) *que son Polacos!* (zostaw ich bo „to są Polacy). Na te słowa, opadły ręce tym morder„com i daléj postępowaliśmy wśród rzezi i scen najo„kropniejszych pastwień; a uszedłszy tak kilkadziesiąt „kroków, ujrzeliśmy dwóch szwoleżerów naszych: *Ko-*

„*walskiego* i *Prędowskiego*, niesionych dla ich obrony „przez kilkunastu księży Dominikanów, którzy w moment znikli z naszych oczu i weszli w obwód murów „kościelnych“.

Kolega Walenty Zwierkowski pisze o tych samych wypadkach, co następuje:

„W czasie rewolucyi dnia 2 maja w Madrycie, byłem „z *Prędowskim* i *Kowalskim* w gabinecie historyi na„turalnéj, i ledwie przebrałem się do koszar z *pier„wszym*, gdyż *drugi* ledwo nazajutrz się do nas dostał“.

Daléj pisze kolega Mikołowski:

„Opisuje ci ten Epizod mało ważny, dla tego, że wi„dmo z niego, jaką sympatią dla nas mieli z początku „Hiszpanie; ta sympatia, po dniu 2 maja, przeszła w ro„mansowe uczucia, bo, ponieważ, strzelcy konni gwar„dyi i mameluki, przerzynając się przez miasto ku Mu„ratowi i naszym koszarom, musieli gdzie niegdzie użyć „oręża, a my niedobyliśmy go nigdzie, urosła opinia: „jakobyśmy wyprosili się od działania przeciwko ludowi. „Dla tego to, Hiszpańscy *Gwardya de Corps*, zastrzegli „sobie: aby z nikiem innym nie patrolować po mieście „tylko z nami. W parę dni po 2m maja byłem wyko„menderowany na taki patrol i przyjmowano nas, gdzieś„my się tylko ukazali z uniesieniem radości i uwielbienia“.

A kolega Zwierkowski dodaje:

„My to, całe nocy musieliśmy z gwardyą Hiszpańską „patrolować, a gdy się zdarzyło, żeśmy napotkali księ„dza z Sakramentem, musiałem z konia z siąść, czapkę „z głowy zdjąć i księdzu asystować“.

Czytelnicy zechcą porównać te dwa opisy z twierdzające się nawzajem, z opowiadaniem naszem w *Dodatku* do *Czasu* na miesiąc grudzień 1857, a z tego porównanie powezmą przekonanie, jaki to duch ożywiał korpus oficerów gwardyi polskiéj Napoleona, kiedy my dawni koledzy, rozdzieleni niezmierzonemi przestrzeniami miejsc

i czasu, zgadzamy się w tych wszystkich szczegółach, które się dotyczą czci naszego pułku, a zatem i honoru Imienia Polskiego. Lubo zdania nasze mogą się różnić, zwłaszcza co do szczegółów wojennych, bo w licznym pułku mianowicie jazdy, służąc, nie zawsze w jednych znajdowaliśmy się oddziałach, i nie z jednego stanowiska mogliśmy się zapatrywać na ruchy w bitwach i marszach; lecz choć się następujący okres pióra kolegi Mikułowskiego, nie zgadza z naszem wspomnieniem o mieście *Rioseco*, po zaszłéj tam bitwie d. 14 lipca 1808; przytaczamy tu jednak wyrazy własne tego kolegi, bo mniemamy że będą czytelnikom przyjemne. Oto są słowa pułkownika Mikułowskiego:

„Szliśmy z Madrytu do Rioseco, w okrutne upały; „złączyliśmy się z Bessierem, przyjął nas ten prawdziwy „Bayard nowéj Epoki, z wrodzoną sobie dobrocią, i „wyraźnie już nam przychylną, z powodu odznaczenia „się oddziału naszego co walczył pod Rioseco. — W kilka „dni po złączeniu się naszem, komenderowany zostałem „na służbę do marszałka, który mnię zapytał: czy należę „do oddziału który już dawniéj był przy nim? czy do „nowo przybyłego? gdym oświadczył co było oczywi„ście, ponowił pytanie: w jakim stanie było miasteczko „Rioseco podczas naszego przechodu? ubolewając nad „nieszczęściem wojny. Kiedy zaś zaręczyłem mu, że „śladu nie było widać bitwy, że mieszkańcy spokojnie „zajęci byli swojemi zatrudnieniami; odpowiedział mi „z wyraźną radością: *Ah mon cher que vous me faites* „*plaisir* (ach mój kochany! jakże mnię uszczęśliwiłeś) „odtąd zaszczycał mnię szczególnemi dowodami swéj „łaskawości“.

Mikułowski mówi daléj:

„Opisuję ci ten szczegół dla uczczenia pamięci tego „ukochanego wodza naszego, który z nieporównaną wa„lecznością, łączył ledwo nie anielską dobroć i łago-

„dność. Murat, książe Eugeniusz, Davonst, Kellerman „Lefebre, Suchet, Macdonald i Bessières, wszyscy mieli „sympatię dla Polski, a Bessières zginął od jednéj kuli „z ulubionym swym ordynansem Jordanem *) z r. 1813 „pod Weissenfels“.

Tu mi daje przyjemność kolega dawny Zwierkowski, uzupełnienia wiadomości o potyczce z jazdą angielską pod *Servinianos*, w któréj oswobodzony zostałem od Anglików, a o któréj nadmieniłem na stronicy 40 artykułu mego trzeciego w *Dodatku* do *Czasu* na miesiąc lipiec 1858. to uzupełnienie czynię tem chętniéj, iż nie wiedziałem ile w téj potyczce winien byłem osobiście koledze Zwierkowskiemu. Oto są jego wyrazy:

„O drugim marszu przez Guadarramę dobrze pamię„tam, bo śnieg mi mocno dokuczył. Jakoteż gdyśmy „sami attakowali obóz angielski, a nazajutrz zrana, an„glicy nas naszli; porucznik to *Załuski* pierwszy z pa„trolem spotkał nieprzyjaciela, a *Łuszczewski* był na „grangardzie. W ten czas, gdy z drugiego końca wsi „wpadały huzary hanowerskie kto był bliżéj, ten śpie„szył, był tam Tomasz Łubieński, Fredro, wielu innych, „i ja też, i tam to ranny byłem w prawą rękę i kilka„naście cięć miałem po czapce i lederwerkach. — Gdy„śmy przybyli nad rzekę, już nasze kamraty (strzelcy „konni gwardyi) byli pobici i potopieni; wiele tam ma„meluki i białe hułany Murata jako księcia Bergu i „Kliwii także ucierpiały. — Gdyśmy w nocy przez rzekę „Esla w pław przechodzili, ledwiem nie utonął“.

Daléj pisze tenże kolega „długom cierpiał na ranę w ręce“ o czem będzie wzmianka w późniejszym miejscu.

Lecz czas już pożegnać Hiszpanią na rok 1809ty a z końcem tegoż znowu ją powitamy. Powiedzieliśmy

---

*) Miło nam umieścić tu pamięć dzielnego Jordana o którym wzmiankowaliśmy już w artykule naszym drugim. (P. A.).

w poprzedzającem wspomnieniu, że powróciwszy z Hiszpanii, nie w Chantilly garnizonie naszym zwyczajnym, ale w *Ecole Militaire* i kwaterach ulubieńców Napoleona strzelców konnych gwardyi umieszczeni zostaliśmy; tego jednak niepamiętam: czy całemu pułkowi, czy tylko oddziałowi 300 koni, który miał pierwszy z pośpiechem wyruszyć w marsz ku Renowi, dane było to niełatwe i odznaczające chwilowe umieszczenie? Jakkolwiek bądź to tylko wiem z pewnością, że ja niedługo bawiłem w Paryżu, nie więcéj jak dni kilkanaście, że zostałem dowódzcą oddziału 30 koni trzeciéj kompanii, bohaterów z pod Somosierry i że zajęci byliśmy całodziennie nowem mundurowaniem żołnierzy, i oporządzaniem nas samych oficerów po całoroczném kampanii, a nadewszystko rewizyą i wypoczynkiem koni. Kolega Mikułowski przypomniał mi: że przed wyjściem naszego oddziału do którego i on należał, Napoleon kazał gwardyi swojéj dać dla nas ucztę. Oto są słowa kolegi tego:

„Przed wyjściem na kampanią 1809 r. pułki staréj „gwardyi, kawaleryi i piechoty wyprawiały dla nas „świetną korpusową ucztę *à l'Ecole Militaire;* biesiada „ta, z powodu swéj serdeczności i wesołości, nigdy mi „nie wyjdzie z pamięci. Spełniano toasty na honor, tak „pułku jako też i narodu naszego; po uczcie pobratym„czéj, nasze szwoleżery w bermycach, kaskach, kołpa„kach, a Francuzi w naszych czworograniastych czap„kach, mnóstwem przygotowanych dorożek (kabryole„tów) rozjechali się po Paryżu, dla pokazania stolicy, „skojarzonego koleżeństwa; zwiedzali Teatra w takich „przebraniach, a wszystko kosztem gospodarzy biesiady. „Pamiętam że to wszystko działo się, bez żadnéj naj„mniejszéj nieprzyzwoitości, z salonową prawdziwie „grzecznością“.

Oddział pierwszy naszego pułku z którym pod dowództwem majora Delaitre opuściłem Paryż, nie liczył więcéj jak mówiłem dopiero, nad 300 koni. Nie umiem oznaczyć dnia wymarszu, ale musiało to być w początkach Marca, z oficerów tego oddziału przypominam sobie tylko: Szefów szwadronu Łubieńskiego i Paca — nowo ze sztabu marszałka Bessièra, do naszego pułku z powszechnem zadowoleniem awansowanego, z kapitanów prócz Kozickiego świeżo z Polski przybyłego żadnego nie mogę sobie stanowczo przypomnieć, zdaje mi się jednak że tam byli Franciszek Łubieński, Jerzmanowski, Stanisław Gorajski i Wincenty Radzimiński. Poruczników pamiętam: Szeptyckiego, Wybickiego, Prażmowskiego, Olszewskiego, Brockiego, Mikułowskiego, Jankowskiego Antoniego, pełniącego służbę adjutanta korpusowego Jaraczewskiego, Hejmansa. Od Paryża aż do Strasburga szliśmy pośpiesznie ale nie nagle. Od miasta Nancy szliśmy drogą dla nas jeszcze nową, przez Alzacyą, i nie mało byłem zdziwiony, widzieć tam wsie, gdzie nieumiano języka francuzkiego, gdzie kraj zdawał się być całkiem niemiecki. Pewnego dnia już blisko Strasburga dogonił nas pocztą nasz pułkownik Krasiński, gdyśmy maszerowali spokojnie rotami po obu brzegach gościńca, siadł na konia i rozdawał własną ręką krzyże Legii honorowéj za kampanię hiszpańską przemawiając do każdego dekorowanego stosownie, między innymi i do mnie, patent mój był z daty 5 Kwietnia 1809.

Przybyliśmy w reszcie do Strasburga mając pułkownika Krasińskiego na naszem czele. Krótko bardzo może tylko z wypoczynkiem 24 godzin bawiliśmy w Strasburgu, dość jednak żeby oprócz sławnéj wieży Munster, którą się widzi zdaleka, oglądać także pomnik pogrobowy marszałka de Saxe, Maurycego syna króla polskiego Augusta II, bohatera który waleczność nadzwyczajną nie w obronie Polski okazał. Ze Strasburga major

Delaitre — jak mi się zdaje — powrócił na krótki czas do Paryża, dla zajęcia się rachunkowością regimentu, a pułkownik Krasiński poprowadził nas za Ren. Napoleon d. 12 kwyetnia odebrał był w Paryżu telegraf o rozpoczęciu kroków wojennych ze strony arcy księcia Karola w dniu 10m, nie mogę oznaczyć któréj nocy i gdzie nas Napoleon wyminął, ale to musiało nastąpić przed 15m bo 16go był już w Stuttgardzie a 17go w Donaverth. Zapewne to on dał rozkaz w przejeździe, żebyśmy, to jest co nas było gwardyi postępowali podwójnymi marszami za nim, i tak szliśmy od Strasburga czyli Renu odbywając, jazda jednę stacyę (*Etappe*) do południa, a drugą do wieczora, znaczna ilość koni zostawała się w tyle: piechota zaś gwardyi jechała na wozach które po stacyach odmieniała. My jazda odpoczywaliśmy koniom przez czas upału i popasaliśmy je, na łąkach, polach, lub placach obszernych po miastach i miasteczkach; wszędzie zastawaliśmy przygotowane: stosy siana, obroku, i stoły nakryte, opatrzone: winem, piwem, chlebem i mięsiwem, wszędzie z podziwiającym porządkiem. Pod Sztutgartem książe Paweł Wirtemberski wyjechał konno na spotkanie nas, i cały korpus oficerów był proszony do stołu królewskiego, u którego jednak król sam niebył obecny, ale książęta z famili zasiadali z księciem Pawłem na czele. Podczas noclegu w Sztutgardzie nadeszła pierwsza wiadomość o zaszłych bojach z korzyścią dla Napoleona. Postępowaliśmy więc z rosnącą niecierpliwością, przez Ulm, Augsburg, pomijając Munich do Landshut odbierając wszędzie po drodze doniesienia prawie o codziennych zwycięztwach, i potykając, kolumny rannych, jeńców, oraz pociągi niezliczone różnych zdobytych rekwizytów i pontonów. W téj kampanii z potykaliśmy częste rzeki, na nich mosty drewniane, spalone albo popsute. Pod Burghausen przebyliśmy nie beztrudności bystrą rzekę Salzę,

aż wreszcie w nocy zdążyliśmy do Braunau gdzie dogoniliśmy Napoleona, szczęśliwi, że przecie tak zwycięzko rozpoczęta kampania nie zakończy się bez naszego udziału.

Jak tylko Cesarz dowiedział się o naszem przybyciu dał nam oznaki swéj pamięci i łaski a mianowicie porucznikowi Wybickiemu którego do siebie kazał wezwać przez adjutanta swego (*Officier d' Ordonnance*), Dezyderego Chłapowskiego. Marszerowaliśmy przez Wels i Lambach, w tem miasteczku wydarzył sie naszemu oddziałowi bolesny wypadek. Trzech oficerów austryackich z pułku 3 ułanów arcyksięcia Karola, każdy mając trębacza lub szeregowego, poprzybywali byli jako parlamentarze; Cesarz poruczył ich naszemu oddziałowi jako rodakom. Nazwiska tych panów uszły mojéj pamięci, wiem tylko że jeden z nich zwał się Starzyński. Ci oficerowie razem znami noclegowali na słomie w obszernéj izbie na piętrze, gdy koło północy pożar objawił się w miasteczku Lambach; obudziwszy się z nienacka, uprzedziłem tych panów o grożącem niebezpieczeństwie, jakoż siedli na koń wraz z całym naszym oddziałem. Okazało się że ogień wszczął się był na kwaterze naszego brygadyera Pokorskiego, tego samego, którego wzrost wysoki powodował był Cesarza, kazać mu się mierzyć pod Burgos w Hiszpanii wzrostem z marszałkiem Mortier. Zaszczyt który później mógł się stać korzystnym, w pamięci Cesarza, nie uratował go od okropnéj śmierci, postradał życie, można powiedzieć żywcem spalony *). Panowie oficerowie ułanów cesarskich, jeżeli który z nich jeszcze jest przy życiu, nie mogą się żalić na brak gościnności z naszéj strony; podejmowaliśmy ich uprzejmie według możności miejscowéj, żołnierze nasi podobnież, nietylko z ich żołnierzami postępowali

*) Żałowaliśmy powszechnie tego dobrego i zdolnego podoficera.

sobie po koleżeńsku, ale im opatrzyli kieszenie dukatami, żeby im dać poznać różnicę składu naszego pułku gwardyi polskiéj, od ich kamratów.

Pierwszy bój większy który się odbył przy nas, było to straszne spotkanie marszałka Masseny z dzielnym jenerałem Hiller, d. 3go maja pod Ebersberg. Mało jest przykładów tak zaciętéj i morderczéj walki, o któréj Napoleon według twierdzenia kolegi Mikułowskiego miał powiedzieć: „iż potomność nie da wiary, aby podobną pozycyą, bronioną jak najwaleczniéj zdobyto „*au pas de course.*“ Mało jest przykładów, tak morderczéj walki nawet w tych olbrzymich bojach Napoleońskich; most na rzece Traun sto sążni długi, górujące położenie miasteczka pożar w nim powszechny, stanowiły trudności nie zwykłe. Kawalerya gwardyi nie miała udziału w tym okropnym boju, będącym przedmiotem piechoty i artyleryi; ale byliśmy bliskiemi świadkami tego strasźliwego spotkania wszelkich jego ruchów i okropności. Znawcy, p. Thiers a nawet sam Napoleon, przypisują ten — może mniéj potrzebny rozlew krwi, niecierpliwości Massery i jenerała Cohorn, że jeszcze w téj wojnie nie byli dobyli szpady. Ci dwaj, oraz jenerałowie Claparede i Legrand okryli się sławą. Miasteczko, most, wszystko dymiło się i tlało, droga przez którą postępowano zasłana była trupami podartemi, popieczonemi, konie nasze wzdrygały się kroczyć po tem błocie z ciał ludzkich zdruzgotanych kołami artyleryi; był to zaiste! widok odrażający od wojny, ale ten bój przekazał nazwę miasteczka Ebersberg nieśmiertelności.

Kolega Mikułowski dodaje: „W kilka dni potem byłem na służbie przy Cesarzu, kiedy przechodził rewią „korpusu Masseny pod St. Pölten. Nie zapomnę nigdy „uniesienia w jakie był mnię wprawił widok bohatera „bohaterów, rozdającego z ojcowską dobrocią pochwały „i nagrody tym nieporównanym żołnierzom, ganiąc je-

„dynie zbytek zapału jenerałowi Cohorn z dywizyi Cla-
„paréde który z brygadą korsykańską samą, nie czeka-
„jąc pomocy, rzucił się na przewyższającą tylekroć si-
„łę, po moście długim i na pół zniszczonym, a widząc
„przed sobą niepodobną do zdobycia propozycyę.“

Od Ebersberga do Wiednia mało co mogliśmy być w Awangardzie. Przyczyną tego była nasza mała liczba bo jak wyżéj powiedziano, nie było nas 300 koni zpełna, gdyż nie mało niepodochodziło, inne pułki konnéj gwardyi były także przez oddziały reprezentowane, także cały oddział czyli *Regiment de marche*, konnéj gwardyi nie wynosił jak 1000 koni co wszystko stanowiło tylko orszak cesarski, a niepozwalało brać czynnego udziału w utarczkach jakie się codziennie odbywały z tylną strażą wojsk austryackich, a którą prawie ciągle utrzymywały pułki ułańskie, mianowicie 3ci arcyksięcia Karola. Jednego dnia zdarzył się wypadek osobliwy: W moim oddziale 3éj kompanii był brygadyer odznaczający się, z pułku 3go ułanów Księstwa Warszawskiego przybyły, nazwiskiem Zaorski, ten pewnego dnia w marszu, spotkał między jeńcami rannymi rodzonego brata swego starszego wiekiem, wiezionego na wozie wachmistrza w pułku arcyksięcia Karola, mocno plejzerowanego; był to dla nas rzewny a razem rozdzierający widok: dwóch rodzonych braci przeciwko sobie walczących.

Z powodu żeśmy maszerowali w rezerwowym korpusie, albo raczéj tam gdzie się znajdował Cesarz swoją osobą, doznawaliśmy wielkiego głodu, chociaż przebywając kraj najpiękniejszy, starannie zabudowany i uprawiany; zastawaliśmy wszystko spożyte, tak dalece że jeden ziemniak, kapka mleka, były rzadką zdobyczą; raz tylko główna kwatera była w opactwie, podobno w Mölk, gdzieśmy zastali niewyczerpane zasoby i niemal królewskie przyjęcie.

Na koniec ujrzeliśmy Wiedeń d. 10go maja, w 27 dni od wyjazdu Napoleona z Tuilleryów; jechałem obok kolegi mego Szeptyckiego, któremu Wiedeń był tak dobrze znany jak mnie; zgłodniali oba, cieszyliśmy się bliskością wielkiego miasta, po tak długim i nagłym pochodzie od Paryża, potrzebujący różnych oporządzeń i odpoczynku. Szeptycki więcéj odemnie unoszący się, zaprosił mnię do znanego traktyera Schönbruńskiego Jana, na bażanta z kwaśną kapustą potrawę specyalną wiedeńską. Przyjąłem zaproszenie, z uwagą że tak smacznego kąska, nie tak łatwo w naszych mundurach dostąpimy teraz w Wiedniu, jakeśmy to mieli na zawołanie niegdyś w cywilnej sukni... „jakto? odrzekł mi: czy ty sądzisz ażeby się Wiedeń miał bronić?“ ledwie te słowa wymówił, aż tu daje się słyszeć pierwszy strzał armatni od Wiednia; upadła nasza nadzieja łatwego posiłku. jednakże gdy Cesarz miał zajmować zamek schönbruński, a my też zajęliśmy wioskę Hitzing, udaliśmy się oba z Szeptyckim do znanéj nam traktyjerni Jana, i znaleźliśmy domostwo w porządku, ale kuchnię pustą, i wszystkich mieszkańców do niéj należących wyniosłszych się do miasta; i tak pomimo bliskości stolicy, mało więcéj znaleźliśmy żywności, zwłaszcza w pierwszym razie, jak po wioskach w marszu. Konie zaś nasze ograniczone były na szczypanie niskich trawek po gazonach pięknych ogrodów wioski Hitzing, zaś kwatery im dane w poziemiu pałacyków najwykwintniejszych, nie więcéj pocieszały je od głodu, jak nas ich panów, *comfort* i *fashion* pierwszych piąter przez nas zajmowanych, bez kucharza i spiżarni; jedna dogodność któréj doznaliśmy było opranie naszéj bielizny za szczodrą opłatą.

Wkrótce bo 11go w nocy rozpoczęło się bombardowanie Wiednia, któremu z Szeptyckim i innymi oficerami znającymi Wiedeń przypatrywaliśmy się z glorietty

schönbruńskiéj.... Po tym smutnym ale wspaniałym widoku, nie długo czekaliśmy na kapitulacyę, a potéj, chociaż za drogim kosztem, można było dostać, nietylko chleba, ale i zbytkowych posiłków. Rzemieślnicy wiedeńscy nie mogą się skarżyć na nas, kupowaliśmy cośmy zastali gotowe, dla nas oficerów, dla koni, dla sług naszych; bo nawiasem tu wspomnieć muszę że w gwardyi konnéj Napoleona, niewolno było, żeby żołnierz prowadził nawet konia oficerskiego, każdy oficer musiał trzymać przynajmniéj jednego służącego, który nosił barwę czyli ubranie przepisane stósownie do pułku. Towary wiedeńskie zdawały nam się tanie w porównaniu paryzkich i francuzkich, zwłaszcza przy niepojmowanym przez nas kursie bankocetlów; ale też przyznać należy, iż te tanie towary wiedeńskie nie miały ani tęgości ani trwałości francuzkich. Gdy konie nasze, po odbytéj całéj kampanii hiszpańskiéj, bez wypoczynku do Wiednia, iż tak powiem przybiegły, a przytem, jak się to późniéj powie, służba gwardyi, zwłaszcza lekkokonnnéj była przy Napoleonie zabijająca dla koni; przeto nie każdy co z Chantilly lub Paryża wyszedł, nastarczył do Madrytu a z Madrytu do Wiednia; nietylko żołnierze ustawali mając konie okulałe, ale i oficerowie, kiedy im zwłaszcza w pierwszych latach jeszcze skarb cesarski nieudzielił zapomogi, musieli się radzi nie radzi pozostawać w zakładach dla niedostatku koni; otóż i ja, przybywszy do Wiednia, starałem się kupić konia w téj stolicy, a że z końmi miałem w pułku szczęście z jakiem się nikt inny z moich kolegów pochwalić nie może, więc czytelnicy nie wezmą mi za złe, że ich zajmę tym epizodem.

Kiedy Ksawery Prażmowski porucznik I klasy, wysłany był z Madrytu do Kadyxu, kupiłem od niego ogiera andaluza znakomitéj piękności, którego jeszcze w r. 1812 król neapolitański Joachim odkupił już od Win-

centego Dobieckiego. Potem wyjechałem z Hiszpanii na koniu pięknym angielskim pochodzącym ze zdobyczy na Anglikach chroniących się na morzu do Koruni. W marszu od Stuttgardu do Wiednia nabyłem dwa konie zdobyte na ułanach, ale żaden z nich nieodpowiadał mojéj potrzebie; teraz więc udałem się do miasta i kupiłem bardzo ładnego i doskonale wyjeżdżonego kasztana węgierskiego, od kawalera, który dziwiąc się może że mu konia płacą... sprzedał go tylko za 20 napoleondorów. Zaciągając o godzinie 11éj na paradę i służbę w Schönbrunie przed Cesarzem, nieomieszkałem wystąpić na moim najlepszym koniu świeżo nabytym. Ledwie się parada odbyła, i szwadron nasz stanął biwakiem pod kasztanami; przybywa do mnie koniuszy cesarski, pytając imieniem Napoleona: czy mam tego konia na przedaż? odpowiedziałem, że nie, ale że będę najszczęśliwszy ofiarować go monarsze; tego ja decydować nie mogę, odrzekł koniuszy, koń WMPana podobał się Cesarzowi, mnię do WMPana przysyła jenerał Savary, idżmy do niego. To samo powtarzam księciu Rovigo, ten mi odpowiada: „Cesarz WMPana daru przyjąć nie może, ale WMPan zażądaj za swego konia co chcesz, a ja ci zaraz zapłacę"... Cóż miał począć oficer polski? Zażądał, możnaby rzec: krakowskim targiem: 40 napoleonów, i te zostały natychmiast wyliczone; a koledzy od strzelców konnych gwardyi onych Guidów Bonapartego niemogli mi wybaczyć, żem nie żądał przynajmniej sto napoleonów. Za kilka dni była przeprawa na lewy brzeg Dunaju przez wyspę Lobau, widziałem Napoleona dwa razy na moim koniu; pytałem się później o jego powodzeniu, odrzeczono mi, że zakulał.... cóż dziwnego! kiedy i los jego pana zaczął chromać!

Dnia 20go maja przeszliśmy Dunaj, to jest dwa główne koryta, a stanęliśmy na wsławionéj wyspie Lobau,

którą oddziela od lewego brzegu, koryto mniéj więcéj 60 sążni szerokie, Cesarz stał nad niem, niecierpliwy przeprawy; skoro się dowiedział o przybyciu oddziału polskich szwoleżerów, kazał sobie przedstawić szwadron świeżo z Polski przybyły. Było to — jak już powiedziano sto koni wyborowych z pułków Księstwa Warszawskiego, pod dowództwem kapitana Kozickiego, i rozdzielonych pomiędzy ośm kampanii naszego pułku. Dano rozkaz, kapitan Kozicki uszykował swój oddział, i poprowadził do Napoleona stojącego nad brzegiem ostatniego koryta Dunaju. Napoleon kazał natychmiast temu szwadronowi przeprawić się wpław; Kozicki zabiera się do stósownéj komendy; lecz nie wiem kto? może pułkownik Krasiński zaufany w łasce jaką miał u Cesarza, ośmielił się przedstawić: że to być nie może! „Jakto! zawołał Napoleon, ja wiem dowodnie że za Sobieskiego Tatarzy przebywali Dunaj wpław“. Przedstawiono mu: że wówczas rynsztunek był całkiem inny, że Tatarzy nie mieli ciężkiego okulbaczenia jak my teraz na wzór jazdy francuzkiéj, że ich konie były wprawne do przebywania rzek wpław itp., te uwagi zdawały się Napoleonowi niepodobać, a obracając się do plutonu Chasserów swoich przy nim w eskorcie będącego, zapytał: „Czy niema między nimi którego umiejącego dobrze pływać, coby podjął się to ramię Dunaju przebyć wpław na swoim koniu?“ Wyjeżdża z szeregu stary wiarus i rzuca się w Dunaj, lecz bystrość wody unosi jego konia, i sam Napoleon woła na niego żeby wrócił. Wtenczas to jeden z adjutantów marszałka Berthier, podobno pułkownik Lejeune, przystępuje do Cesarza i mówi: — N. Panie! ja dobrze pływam, widzę o to łódkę, czy tratwę niestrzeżoną na tamtéj stronie, przyprowadzę ją, a na niéj W. C. Mość będziesz mógł oddział piechoty przeprawić. I tak pułkownik (pełen talentów) w bogatym mundurze huzarskim rzucił się w Dunaj, i wykonał

co obiecał w oczach Napoleona. Przeprawiono mały oddział piechoty i tak następnie, i zaraz zaczęto stawiać most, a na nim jenerał Lasalle pierwszy przeprawił część swojéj jazdy. Pytanie: czy nieprzyjaciel nieumyślnie zostawił brzeg Dunaju niestrzeżony, dla wciągnienia Francuzów na lewy brzeg Dunaju?.... bo nazajutrz przeszliśmy i my bez najmniejszéj przeszkody. Staliśmy w szyku przy koniach kilka godzin, nie było' słychać żadnego strzału armat, nawet karabinowego. Gdy południe się zbliżało w téj bezczynności, komendanci nasi, bez rozkazu, kazali wyprawić furażerów po zasiłek dla koni i ludzi ogłodzonych; tym czasem wojska francuzkie przechodziły bez oporu ale powoli przez Dunaj, na którego odnogach większych były tylko pojedyncze mosty, a zatem przeprawa artyleryi jazdy i piechoty nie mogła się odbywać tylko zwolna. Furażerowie nasi wrócili wkrótce z obfitego sąsiedztwa i przywieźli nadspodziewane zapasiki... ale szczęśliwy kto dopadł co gotowego na prędce, bo to nie na jedną dobę miał być ten zasiłek... albowiem ledwo rozłożono ognie i nastawiono kociołki, ozwały się razem armaty i karabinowe ognie, wszczął się alarm powszechny, zaczęto trąbić na koń. Trzeba było owe nastawione rosoły wylewać i te różne dla głodnych tak ludzi jak i koni cenne zdobytki porzucić. Dosiedliśmy więc koni i pod rozkazami jenerała Arrighi Duc de Padoue dowódzcy wszystkiéj obecnéj gwardyi konnéj nie przenoszącéj 1000 koni, zaczęliśmy manewrować po równinie w różnych kierunkach. Tym czasem już niektóre natarcia Francuzów mianowicie kirysyerów owych pogromców z pod Ratysbony były się nieudały, i nie jeden jenerał z najsławniejszych był zginął lub ranny; przed wieczorem, wytrzymywaliśmy silny ogień nieprzyjaciela zasłaniając słabość kolumn piechoty. Gdy się zciemniało, ustał bój, cofnęliśmy się za mały lasek, zdziwieni ruchem w tył, miasto zwycięzkiego na-

przód, do któregośmy przywykli. Tu nam się przypomniały te uczucia któreśmy mieli w Hiszpanii po owem zwycięztwie pod Rioseco, kiedyśmy musieli cofać się z pod Astorgi, w skutku klęski poniesionéj przez jenerała Dupont pod Baylen. Noc była spokojna, wojska przechodziły bezustannie z prawego brzegu Dunaju na lewy, a gdy słońce ożywcze zaczęło pozłacać bagnety piechoty ciągle przybywającéj, zdawało się nam chciwym zwycięztwa w naszéj wyobraźni młodocianéj i polskiéj, że to zastępy nieprzeliczone wyrastają z ziemi; spodziewaliśmy się więc świetnego odwetu z dniem 22 maja, ale wkrótce miało się stać inaczéj. Z początkiem dnia, bój się wznowił na wszystkich punktach; gwardya konna wysunęła się na równinę, i tam znowu pod dowództwem jenerała dywizyi Arrighi wykonaliśmy różne ruchy w ściśniętéj kolumnie jako rezerwa, z daleka imponująca swoją iskrzącą się od słońca wspaniałą postawą; ale kiedy (jak się pokazało), mosty na Dunaju zostały przerwane przez fortele nieprzyjacielskie, i marszałek Davomt z najliczniejszym korpusem swoim, oraz liczne posiłki inne i amunicye nie mogły dostawać się na lewy brzeg Dunaju, okazało się że siły Napoleona nie były dostateczne, a kiedy marszałek Lannes i jenerał Oudinot komendanci dwóch korpusów zostali ranni, wszystkie nasze linie zaczęły się zwolna rejterować. Niepojmowała tego moja głowa, nie wierzyłem swoim oczom... pytałem się starszych: „czy to manewr?“ nie wiedziałem albowiem o zerwaniu mostów, aż wreszcie nasze co raz bliższe Dunaju stanowiska kazały mi wierzyć żeśmy byli odparci. Na ten czas jenerał Arrighi uszykował całą swoję jazdę gwardyi w jedną linię i w téj paradującéj postawie, odbieraliśmy strzały armatnie z frontu i z obu skrzydeł. Napoleon kazawszy swojej świcie pozostać na uboczu przyjechał przed naszą linię, i wolnym stępem przejeżdżał się przed tą swoją

rezerwą. Kule armatnie przelatywały koło niego z trzech stron, powalając ludzi rannych cofających się po za naszą zasłonę podpierających się karabinami; innych co unosili rannych na barkach. Cesarz stawał, przypatrywał się bojowi ż lornety, posuwał się znowu o kilka kroków jak najwolniéj, zażywał tabakę, przywoływał jakiego adjutanta, dawał rozkazy, był to poważny i wspaniały militarny widok. Wtenczas to kula armatnia zprzątnęła z konia kapitana naszego Kozickiego przed frontem oddziału, a druga uczyniła kaleką porucznika I klasy Olszewskiego, szeregowych naszych było kilkunastu zabitych i rannych a tem więcéj koni. Tu wprowadzamy Mikułowskiego tak piszącego do nas:

„Ja odkomenderowany byłem do jenerała Oudinot, „przy którym jeden tylko pozostał się adjutant nietknię„ty, Polak Zenowicz, i przy mnie jenerał Oudinot otrzy„mał 16tą czyli 17tą ranę i zszedł z pola oddając do„wództwo swéj heroicznéj dywizyi (korpusu) połączo„nych grenadyerów jenerałowi Carra St. Cyr. Com się „przez te kilka godzin napatrzył czynów waleczności „i wytrwałości, opisać trudno. Powróciwszy do pułku „(oddziału) zastałem go przy Cesarzu w ostatnim epi„zodzie bitwy, kiedy arcyksiążę Karol szczątki dywizyi „Boudet, wyparowawszy z palącéj się wsi Enzersdorf, „przecinał nam ostatnią komunikacyę z wyspą Lobau, „idąc sam naprzód ze sztandarem, na czele grenadye„rów węgierskich. Tamto Cesarz wyrzekł do jenerała „Mouton (późniéjszego Comte de Lobau) oddając mu „Fizilierów gwardyi: *faites leur gagner leurs chevrons*; „(daj im sobie zarobić na szewrony; znak weteranów), „co też wykonał w mgnieniu oka! i odparł silniejszego „i zwycięztwem zapalonego nieprzyjaciela.“ Tyle Mikułowski, ja mam dodać że się patrzyłem na ten atak, który jak słychać było, szczególniéj miał się udać, z po-

wodu, że jenerał prowadzący kolumnę grenadyerów węgierskich był zaraz zabity.

Po tem natarciu tak dzielnem piechoty młodéj gwardyi, rozkazał Cesarz naszéj kawaleryi cofać się wolno w wspaniałym porządku na wyspę Lobau.

Teraz Cesarz zdał komendę marszałkowi Massena, a sam po czułem pożegnaniu się z marszałkiem Lannes, wsiadł do łodzi i kazał Czerniszewowi siadać z sobą, mówiąc do niego — jak mi tenże w kilka lat późniéj sam powiadał — „siadaj WMPan bo nie wypada żebym adjutanta Imperatora Aleksandra dał zabrać do niewoli.“ Pułkownik Krasiński, wiedząc że na prawym brzegu Dunaju już się znajduje większa część pułku pod dowództwem drugiego majora Dautancourt, przeprawił się także w łódce przez Dunaj biorąc z sobą Antoniego Jankowskiego pełniącego służbę adjutanta pułkowego.

Kiedyśmy prześli na wyspę Lobau, kolumna nasza się zatrzymała, ja nie mogąc pojąć przyczyny, zniecierpliwiony wysunąłem się na czoło oddziału, i tu dopiero dowiedziałem się od szefów Łubieńskiego i Paca, że mosty były zerwane. Ci dowódzcy byli zdziwieni tą moją niewiadomością, ta zaś pochodziła z owego ślepego zaufania jakie pokładałem w szczęściu i umiejętności Napoleona; zresztą nic dziwnego że o zerwaniu mostów i braku amunicyi nie wiedziałem, bo wśród bitwy nikt złych nowin nie głosi, a oficer jazdy nie może się oddalać od swego plutonu. Dopiero poznałem całą okropność naszego położenia; rozłożyliśmy się w lasku nad Dunajem, i... rzecz prawdziwie niepojęta, słyszeliśmy coraz mniéj strzałów i uciszającą się bitwę... atoli można się było spodziewać nowego ataku po wypoczynku, albo nazajutrz podwójnego szturmu na wyspę Lobau.

Przekonawszy się o niemożności przebycia Dunaju, który wezbrany unosił różne odłamy, a czasem zpłoszonego jelenia nie mogącego się oprzeć wzburzonym fa-

lom, obrałem sobie łoże blisko brzegu nad drzewem, medytując jak owi Izraelici *Super flumina Babilonis*, jaką tu śmiercią zginąć? czy od kuli, czy utopić się dobrowolnie w Dunaju... bo nam kawalerzystom w tem położeniu, boju spodziewać się nie było można. Najwięcéj tych medytacyi odbywałem z kolegą Mikułowskim, nie mając do pokrzepienia się tylko wodę mętną Dunaju, znośną póki jeszcze jaki kawałek suchara i cukru jawił się w naszych letkich zapasach; z początku byli tacy co zabili parę zajęcy... ale gdzież te biedne zwierzęta mogły starczyć na tysiące głodnych... Po nocy zaczęli się oficerowie od jazdy żalić, że im piechota w nocy zjadła konie... aż wkrótce i kawalerzyści rzucili się do téj strawy... Tu pierwszy raz byłem częstowany tem mięsem, nie znalazłem w niem nic odrażającego, ale nie byłem jeszcze dość zgłodniały, abym mógł jeść mięso jakiekolwiek, zamiast soli przyprawione prochem; o ile służba pozwalała starałem się zasypiać tę biedę, przebywszy tak noc z dnia na dzień, byliśmy coraz więcéj zdziwieni naszem położeniem, pozbawieni wszelkiéj komunikacyi z prawym brzegiem Dunaju, wystawieni na łup armii austryackiéj zajmującéj brzeg lewy.... tymczasem nietylko nikt nie następował, lecz przeciwnie massy wojsk zwycięzkich cofały się, a nakoniec i strzały dały się słyszeć tak armatnie jak i karabinowe.... ale to były salwy przy obchodzonem nabożeństwie dziękczynnem za zwycięztwo nad Napoleonem. Ostatniego dnia naszego pobytu na wyspie Lobau, ku wieczorowi gdy zgłodniały marzę bezsennie nad brzegiem Dunaju, wezwany zostałem do szefa szwadronu Łubieńskiego, zastaję go z Pacem, proszą mnie na bankiet! Jankowski Antoni, przypłynął na łodzi z Wiednia i przywiózł owym pp. pułkownikom, wódki, bułek i gotowanego mięsa.... Ci zaś częstują mnię najprzód wódką, wypiłem więc kieliszek na ich zdrowie, dostałem bułkę i ka-

wałek mięsa... gdybym był na tem poprzestał, może bym był radości żalem nieprzypłacił, ale mnię namówiono po tem jedzeniu wypić drugi kieliszek wódki... i upiłem się tak, jak nigdy w życiu. Widać że żołądek czczy od kilku dni stał się nadzwyczajnie drażliwym... chorowałem całą noc, i byłem o dużo słabszy jak przed owym posiłkiem, tymczasem nazajutrz zrana wołają na koń! siadam bezwładny, aż tu przechodzimy po nowym moście na prawy brzeg Dunaju i zastajemy nasz pułk pod majorem Dautancourt z Francyi przybyły uszykowany. Major na wszystkie strony pyta o wieś Saint Vite? nikt o niéj nie wie. Niemcy odpowiadają że nigdy o takiéj wsi nie słyszeli... dochodzi wreszcie ta zagadka do mnie ledwie siedzącego na koniu, ja odpowiadam: Sankt-Veit (Fajt) pod Schönbrunem! zaraz się znajdują przewodnicy i tam ciągniemy od zwodniczego Dunaju, i od straszliwéj wyspy Lobau. Odbywam ten marsz pod protekcyą kolegi Wincentego Mikułowskiego i dostaje się do rozkosznéj kwatery w St. Wicie, do mieszkania byłego posła francuzkiego! tam przespawszy kilka godzin na wonnéj murawie w rozkwitłym ogrodzie, ozdrowiałem zupełnie. Pierwszem staraniem mojem było kupić konia od porucznika Olszewskiego, który jak się powiedziało, pod Essling miał stopę zgruchotaną od kuli armatniéj, z któréj rany wykurował go nasz nieoszacowany doktor pułkowy baron Girardot, Olszewski już nie był zdatnym do służby, wrócił do kraju, i nie miałem późniéj o nim wiadomości, był z lubelskiego. Odstąpiwszy konia pod Napoleona, jak to wyżéj opisałem, był mi bardzo pożądany koń normandzki Olszewskiego, pojechałem więc do Wiednia odwiedzić rannego kolegę, i ztargowałem od niego konia z łatwością, bo jemu było potrzeba pieniędzy na zdrowie i drogę, a mnie konia; lecz i tu traf osobliwszy, Olszewski miał kwaterę na Kohlmarku u osoby mnie znajoméj bankierowéj pani Dick-

mann, urodzonéj baronownie Sala, ta była chorą, może więcéj od Olszewskiego, który prócz rany był zdrów, otóż ta dama wiedeńska była potem winna wyzdrowienie doktorowi Girardot, tak to wojna nie same klęski niesie za sobą, i wojna się przyczynia do cywilizacyi ludów, a stolica Wiedeń nie jedno polepszenie i zaprowadzenie zawdzięcza Francuzom z czasów ich tam pobytu w latach 1805 i 1809.

Pobyt nasz niedługi we wsi świętego Wita nie przypomina mi nic znaczniejszego, jak tylko surowy rozkaz dzienny Napoleona, o pewnym jenerale dywizyi od jazdy, którego on objeżdżając stanowiska wojsk zastał bez butów... niech to posłuży młodym czytelnikom za naukę ile to czujności i pilności wymaga każda służba, a mianowicie służba wojskowa.

Wkrótce po wypoczęciu w St. Veit, wymaszerował cały nasz pułk ku Styryi, jeżeli się nie mylę, w komendzie jenerała Colbert, który z korpusem jazdy wysłany był dla komunikacyi z księciem Eugeniuszem idącym z Włoch. Na górze Simering gdzie teraz koléj żelazna podaje pamięci potomków kilka imion inżynierów Polaków, spotkaliśmy się z przednią strażą wice-króla, i tak było dopełnione polecenie nam dane.

Ztamtąd nasz pułk pod oddzielnem dowództwem pułkownika Krasińskiego udał się do Winerisch Neustadt, gdzie potrzeba było wypocząć naszym koniom, bo marsz z St. Veit aż do spotkania się z przednią strażą włoskiéj armii przynajmniéj 12 mil wynoszący, odbył się dniem i nocą, można mówić bez wypoczynku.

Po kilku dniach wyprawiony byłem przez pułkownika Krasińskiego z podjazdem do Eisenstadt, dóbr księcia Esterhazego, już na Węgrach.... W tem mieście a raczéj w pałacu, zastaję garnizon w mundurach granatowych z ponsowemi wyłogami i spodniami, przypominający mi nawet krojem dawną piechotę polską, a na

czele téj gwardyi księcia Esterhazego, kapitana Pawłowskiego dawnego konfederata Barskiego! Można sobie wystawić nasze wzajemne zadziwienie, przyjął mnię ten weteran jak najgrzeczniéj i cały mój oddział, zaopatrzył różnemi radami jak sobie mamy postępować w Węgrzech. Jakoż z Eisenstadt udałem się do Oedenburg, gdzie już zastałem szwadron szefa Łubieńskiego. W Oedenburgu byliśmy bardzo przyjaźnie przyjmowani, staliśmy jak gdyby w pokoju, do czego i uprzejmość Tomasza Łubieńskiego wiele się przyczyniała; jednakże gdy mnię raz wysłał z podjazdem do Günz, albo przynajmniéj na drogę do Günz prowadzącą, nie mogłem daleko ujechać, bom się spotkał z mocnym oddziałem huzarów, i musiałem się cofnąć do Oedenburga, nie dopełniwszy zamierzonego zlecenia, ale i nieścigany przez huzarów, którzy zapewne wiedzieli że w tem mieście stoimy w znaczniejszéj sile. W Oedenburgu zachorowałem tak dalece, że gdy nadszedł rozkaz opuszczenia tego miasta a udania się ku Wiedniowi na drugą przeprawę przez Dunaj, szef mój szwadronu Stokowski pożyczył mi swego koczyka do marszu, i w tym przyjechałem aż pod pamiętną wyspę Lobau, d. 4go lipca wieczorem. Ledwieśmy przyszli pod Dunaj, i ja siadłem na konia, bo już wojska ze wszech stron zaczynały się zbliżać do mostów i niewypadało się z tyłu wlec w kolasie, aż tu spada deszcz i grad nadzwyczajny, zchyliłem się na konia okryty płaszczem, a grad tak mnię wytrzepał po plecach jak żeby kto bił laskami . . . przyznam się iż zrazu pomyślałem, że ta wyspa może zaczarowana przez geniusze nieprzyjaźne Napoleonowi. . . lecz jakem ujrzał potrójne mosty na Dunaju, rzekę przepasaną owym łańcuchem ogromnym, zdobyczą Sobieskiego na tureckim wezyrze, flotyllę marynarki francuzkiéj pilnującą tego łańcucha i mostów, aż tu! przez wyspę Lobau gościniec sypany i reverberami oświetlony, jak gdy-

by na bulwarach paryzkich; dziwiłem się przeciwnie szczęściu które dozwoliło po 40 dniach przechodzić tę samą potężną rzekę w tem samem miejscu.... przybywszy wreszcie na wyspę Lobau, zastanowiliśmy się w bliskości namiotu Cesarza, i zabrali się do noclegu. Tym czasem ja, jeszcze czując się słabym, udałem się do mojego ulubionego lekarstwa, snu, i opowiedziawszy moich podkomendnych, ułożyłem się w jakimś rowku, który sądziłem że będzie dla mnie zaciszem pokrzepiającem... Aż tu mnie budzą dwie kanonady; jedna niebieska, druga z 80 dział francuzkich, a może i tyleż ze strony austryackiéj, przytem ulewa! zerwałem się na nogi, i z kolegami rozważaliśmy w pokorze, jak kanonada dwóch potęg ziemskich zdawała się być igraszką dziecinną w porównaniu z gromem niebieskim....

Wtenczàs to Napoleon wśród téj burzy, wykonywał owe oskrzydlenie lewego boku pozycyi austryackiéj, które miało w skutku, że armia ich, zmuszona była zmienić front, lewem skrzydłem w tył, i że odrazu, bez bitwy, opuściła pozycyą frontową którą była umocniła przez sześć niedziel. Gdy przyszła koléj marszu na nas, było już może blisko południa 5go lipca, słońce jaśniało w całem blasku, a ja zmoczone do pół ciała szaty, z rozkoszą suszyłem na sobie przy ogniu lipcowego słońca, a z większą jeszcze rozkoszą umysłu, przebywałem ostatnie koryto Dunaju na jednym z siedmiu mostów, rzuconych nań jeden blisko drugiego, tak że na raz siedm kolumn przechodziło Dunaj! Otóż to tak manewrować kochani rodacy! 80 armat w jednéj bateryi, a debuszować siedmiu kolumnami.... Ciągnęliśmy daleko, daleko, udając się zawsze w prawo, a armia austryacka paradowała w blasku słonecznym, cała rozwinięta, prawem skrzydłem prostopadle do Dunaju. Nakoniec zatrzymano nas, rozwinięto w jednéj linii, cały pułk wystąpiwszy w całym blasku naszéj parady w czap-

kach odkrytych i piórach białych założonych... ledwieśmy się uszykowali rozpoczął się bój... można sobie wystawić jaki to był ogień, kiedy z obu stron było do 400,000 wojska a armat przynajmniéj 1000.— Nie byłem w bitwie pod Lipskiem — jak może późniéj zdążę opisać — lecz nigdy podobnego ognia nie słyszałem, jak w ten dzień pierwszéj bitwy Wagramskiéj, ogień ten może po części, dla tego tak imponował słuchowi, że staliśmy opodal rozwinięci w nieruchoméj linii przez co sami niebyliśmy w ogniu, a zatem bliskie strzały nie ogłuszały ucha... nieustanny po całéj przestrzeni niezmierzonéj równiny, nieprzerwanie trzeszczący karabinowy ogień — jeżeli małe obrazy wolno porównywać z wielkimi, wzniosłymi, wrzał w ogromnym rozmiarze, tak jak wre woda kipiąca, a strzały armatnie wtórują tym organom jak bas w muzyce. Jakkolwiek już dnia pierwszego, był tak ogromny i powszechny ogień, naszemu pułkowi nie przyszło zbliżyć się do niego, ciągleśmy z początku byli postępowali ku prawemu skrzydłu naszemu, potem zwracaliśmy się ku środkowi i tak nas zastała noc oświetlona połyskiem kilku wsi palących się.

Kolega Mikułowski pisze do mnie: że piątego lipca flankierował ku prawemu skrzydłu z huzarami i dragonami, których po kilku wzięto wniewolę, i że w tem flankierowaniu porucznik Prażmowski omało nie dostał się w ręce nieprzyjacielskie, ale ja o tym szczególe nie pamiętam. Jakoż było nas ośm szwadronów, trudno żeby oficer ograniczony do swego plutonu wiedział co się dzieje po 30 innych. Wracam więc do tego, że przy zwolniałych ale przez noc całą nieustających strzałach, tak dalece że nawet piechota saska ztarła się z francuzką przez nocną pomyłkę; pułk nasz rozłożył się do noclegu, mniéj więcéj w centralnéj pozycyi, przy ogromnym parku artyleryi, a ja jako konwalescent przepędzi-

łem noc pod armatą, która mi dostarczyła swéj gościnności. Musiała jednak wrzawa wojenna uciszyć się o późnéj godzinie, gdyż pamiętam jak byłem raptownie obudzony nagłą kanonadą przy różanéj zorzy.... Zaledwie mój mastalerz wziął był mego ogiera Andaluza do napojenia, aż tu trąbią na koń! wsiadam na owego od Olszewskiego kupionego normanda, na siodło służącego z sakwami przewieszonemi, i bezzwłocznie udajemy się w ogromnéj kolumnie, kawaleryi rozwiniętymi szwadronami, kłusem, ku naszemu lewemu skrzydłu; w kolumnie naszéj były także saskie niebieskie huzary reputowane za bardzo dzielne. Ledwieśmy ruszyli, kapitan Jerzmanowski został ranny, aż w tem mój koń jakiś skok taki daje, że myślałem iż jest nieochybnie od kuli armatniéj trafiony; moi życzliwi żołnierze, zaraz w głos: nasz porucznik zginął! ja się oglądam, sam nie wiedząc co się stało, ale nie czuję nic, aż patrzę tuż za mną koń kasztanowaty dzielnego żołnierza Lewandowskiego, z nim pada, a mój koń wciąż skacze; zdaje się że kula przeleciała tak szczęśliwie po między nogi mojego konia, że tylko raziła go powietrzem albo piaskiem, którym ja sam cały byłem obsypany, ale z tego strzału nikt nie zginął tylko ów koń z mojego plutonu... Gdy się to dzieje, przybywa w czwał mój poczciwy mastalerz Jędrzéj Iwończanin, i w takim ogniu, odmienia mi konia... to cnota służącego! lubo się bym był obszedł bez téj przysługi, bo koń na którym siedziałem był doskonały, ale poczciwy mój „Rygiel“ nie mógł tego ścierpieć, żeby porucznik miał zginąć na siodle i czapraku nie oficerskim! — Idziemy ciągle w kolumnie naprzód, poprzedzeni teraz przez ogromną bateryą, którą wieść podaje na sto armat, a kawaleryi tyle ile tylko było pod ręką. Skutek tego kolosalnego natarcia był ten, żeśmy odparli księcia Lichtensteina, który śmiałym i potężnym ruchem na lewe skrzydło nasze co tylko

że nie odciął nas od naszych mostów na Dunaju. Piękny to był widok dla nas Polaków nacierać w kolumnie kilkunastu tysięcy jazdy w trop za bateryą kilkadziesiąt dział lekkokonnych w kierunku owych gór Kahlenberg i Bizamberg, ledwie nie u ich podnóża, z których szczytu Jan III przed 126 laty spuszczał swe pancerne chorągwie na ratunek Wiednia i chrześciaństwa! W téj saméj godzinie przy blasku tego samego słońca, zdawało nam się że jego duch błogosławi nam prawnukom, jego towarzyszom broni, a w każdym wznosił się umysł i chęć odpowiadania godnie takim pamiątkom....

Sam Napoleon kierował tym wspaniałym ruchem, który równie odparł zuchwałe natarcie z taką dzielnością i pomysłu i wykonania, z jaką było przeciwko niemu przedsięwzięte. Po usunięciu tego niebezpieczeństwa, które musiało się obrócić na korzyść Napoleona, on się oddalił od swego lewego skrzydła, i nasz pułk udawszy się w prawo ku środkowéj stronie ogromnego pola bitwy, stanął rozwinięty w jednéj linii, naszem lewem skrzydłem naprzód. W tem stanowisku służyliśmy bezwątpienia artyleryi przeciwnéj za cel, ale też dla tego, w tym widocznym i imponującym szyku postawiono nas; kanonada do nas najwięcéj od lewego sięgająca, aczkolwiek trwała kilka godzin nie sprawiła nam znacznéj straty, przynajmniéj w korpusie oficerów nieprzypominam sobie żadnéj. Staliśmy tak aż nam oświadczono imieniem cesarza: że bitwa będzie wygrana, że marszałek Davoust na naszem prawem skrzydle wygraną zdecydował... Po południu mieliśmy należeć do wielkiego ruchu jazdy, przeznaczonego na korzystanie z wygranéj, i przełamanie linii środkowéj armii przeciwnéj, tak: żeby owe skrzydło jéj prawe które się było tak śmiało wysunęło, zostało odcięte. Attak ten połączonéj jazdy, miał prowadzić marszałek Bessières, lecz kula armatnia poraziła go z koniem; objął po nim

dowództwo tego zamierzonego ruchu, jenerał Lassale, lecz kula karabinowa ugodziła go w czoło i położyła koniec zawodowi tego bohatera przyjaciela Polaków. Objął dowództwo jenerał Walter, lecz ten, ani rozkazów cesarza nie był otrzymał, ani talentu a raczéj moralnéj odwagi nie miał, ażeby na siebie przyjąć tak wielką ale świetną odpowiedzialność; skończyło się więc na tem, że jenerał Macdonald, namówił naszego pułkownika Krasińskiego żeby korzystał ze sposobności i otworzył czyli rozpoczął attak kawaleryi. Posuwaliśmy się po tych nieprzejrzanych równinach w zupełnem rozwinięciu pułku, atoli pułkownik Krasiński exaltowany wezwaniem Macdonalda, rozpoczął zaraz natarcie z pierwszym szwadronem pułku, i oddalił się na czas dłuższy od naszéj linii która została na prawem naszem skrzydle pod dowództwem Gros-majora Delaitre, zaś Gros-major Dautancourt prowadził cztery szwadrony lewego skrzydła. — Tym czasem zjawił się pukł 2gi ułanów księcia Schwarzemberga... Adjutant major Duvivier przypadł do naszego szwadronu i nieczekając dalekich komend p. majora Delaitre, zagrzał nas energicznie do rzucenia się natychmiast, obces na owych ułanów, co też nasz cały trzeci szwadron pod dowództwem szefa Stokowskiego natychmiast wykonał, jednakże gdy oba pułki nacierające już już do siebie się zbliżyły, pokazały się doły przez piechotę austryacką pokopane, które przeszkadzały tak ułanom Schwarzemberga jak i nam do porządnego frontowego natarcia, tym czasem ułani widząc, że my nie mamy lanc, ale z pałaszami na nich nacieramy, zaczęli piki rzucać, a brać się do dobycia pałaszów, to było późno, i dowodem że nie mieli w sobie zaufania, jakoż choć kupkami tylko wysuwając się z pomiędzy owych dołów pokopanych, prawie w oka mgnieniu ich przewróciliśmy... Inne szwadrony ułanów Schwarzemberga przychodziły im na pomoc, pułki lek-

kiéj jazdy austryackiéj są albowiem bardzo liczne, wten czas zaczęło się uganianie naszych z ułanami temi i dziwny a nieszczęsny wypadek, że obie strony wyzywały się najobelżywszymi wyrazami w mowie rodowitéj... Gdy tak ucieramy się zawsze zwycięzko z temi ułanami, przybywa im na pomoc pułk dragonów Rysza, nam zaś strzelce konni gwardyi; ustępują ułani i dragoni w rozsypce, nasz pułk zaś zbiera się i szykuje. Oto jest opowiadanie bitwy naszéj pod Wagram z mego stanowiska, to jest drugiego plutonu w trzeciéj kompanii, pomiędzy bracią Jankowskiemi z których starszy prowadził pierwszy pluton, a młodszy trzeci — zaś kapitan Roztworowski prowadził kompanią czyli szwadron bojowy pod szefem Stokowskim, to tylko mogę przyświadczyć co z bliska widziałem, że kapitan Duvivier, kapitan Roztworowski i Antoni Jankowski— jak wszędzie i zawsze— odznaczyli się w naszem natarciu. Co się działo w innych szwadronach, tego dokładnie wiedzieć nie mogę, wiem tylko że pierwszy szwadron którego najprzód poprowadził był pułkownik Krasiński, więcéj razy nacierał jak nasz, tak dalece że w Iéj kompanii nie zostało żadnego oficera: ranni byli szef szwadronu Kozietulski, kapitan Łubieński Franciszek, porucznik Jaraczewski. Porucznik Śliwowski między innemi; zabici: porucznik Mogielnicki i dwóch świeżo awansowanych oficerów Marczyński i Wielhorski. Co się tyczy ognia armatniego którym nas nieprzyjaciel ostrzeliwał i liczby zdobytych przez nas armat różne są zdania: kolega Mikułowski nic mi o téj pamiętnéj bitwie nie pisze, odmiennego od moich własnych wspomnień, ś. p. kolega Niegolewski w swojem dziele wydrukował liczbę zdobytych przez nas armat 45, zaś Buletyn 26ty podaje, że szasery zdobyły 4 armat, a my 2. — Buletyn pisze że szasery same przewróciły trzy bataliony piechoty, a ja utrzymuję że szasery tego dnia wielkiego, nigdzie nie ruszali bez

nas, tylko nas posiłkowali... Czytając pana Thiersa i buletyn 26ty zdawało by się: że malarz panoramy téj bitwy, był najlepiéj informowany; tam my zajmujemy miejsce nam właściwe; jedno uchybienie, że nam malarz dał proporce, których jeszcze na ten czas nie mieliśmy. Straciwszy tyle oficerów w zabitych i rannych, mieliśmy oczywiście znaczną stratę i w szeregowych; trofeem téj naszéj szarży był rotmistrz książe Auersberg i kilku oficerów.

Kolega Walenty Zwierkowski przypomina mi, że miał konia jednego zabitego pod Essling a drugiego pod Wagram, które dwa upadki i pchnięcie piką pod Wagram, przyczyniły się nie mało do odnowienia jego rany od pałasza anglików, i były powodem że wkrótce potem wrócił do kraju.

Wielki to był dzień dla całéj armii francuzkiéj, wielki dla nas, bośmy dopiero pierwszy raz pod Wagram, walczyli całym pułkiem w jedno połączonym, a to jak się wkrótce pokaże z niepospolitem zadowolnieniem Napoleona... Gdy nieprzyjaciel ustąpił a my się szykowali, pułkownik Krasiński oddał mi na placu bitwy komendę Iéj kompanii, i dodał mi Antoniego Jankowskiego o którem dopiero co wspomniałem że się w moich oczach odznaczył.

Po zebraniu się pułku ruszyliśmy zaraz w pogoń za armią austryacką; ale kiedy nie były dopełnione owe ruchy jazdy jakie mieli wykonywać marszałek Bessières i Jenerał Lasalle — więc armia rejterująca cofała się w wielkim porządku; wreszcie robiło się co raz ciemniéj i przybyliśmy pod noc, jeśli się nie mylę do *Wolkersdorf*, gdzie była albo miała być główna kwatera cesarza.— Są autorowie co piszą, że téj nocy miał miejsce alarm i popłoch w bliskości głównéj kwatery, tego nie pamiętam, ale to wiem, że ledwie trochę wypocząwszy, kazano Imu szwadronowi siadać na koń, i ja

z moją nową komendą i z Jankowskim, puściłem się pod dowództwem szefa szwadronu Tomasza Łubieńskiego, na zasłanianie armii od mniemanego ataku arcyksięcia Jana; nie przypominam sobie, ale mi się zdaje, że i tam miałem towarzyszem kochanego kolegę Mikułowskiego; był rozkaz dotarcia aż do pierwszych pocztów arcyksięcia, chociażby aż do Marchek; w tym kierunku, dotarliśmy aż do rzeki March, nigdzie nie spotykając nieprzyjaciela, ale wszystkie wsie, wszystkie pola szerokiéj równiny Marchfeld zwanéj, przepełnione były rannemi ludźmi i końmi, oraz trupami ludzi i koni, w dniach 7. 8. 9 i 10 lipca! Można sobie wystawić, w jakiem powietrzu i w jakich mękach uczucia, spędziliśmy te cztery doby, niewspominając już o głodzie i pragnieniu, kiedy pola niemal całe były spalone od ognia armat, które sobie przez zboża dojrzałe torowały czarne szerokie drogi, a w tym pożarze całych pól, ulegali spaleniu się ranni żołnierze; było i wiele wsi, jedna koło drugiéj spalonych, ale czy siedmnaście? jak mówiono, tego twierdzić nie mogę. Pod *Raschdorf* widziałem pagórki z amputowanych nóg i rąk... a te jeżeli przysypane zostały ziemią, łatwo utworzyły mogiły jakich już kształt miały. Najgęściejsze pobojowisko zdało nam się być pod *Aderklau;* gdzie tylko była jaka najmniejsza woda, tam było widać mnóstwo rannych którzy się pościągali do wody, i tak zastaliśmy jednego żołnierza austryackiego, który sam jeden żył jeszcze, wśród mnóstwa pomarłych otaczających sadzaweczkę. W *Wagram* gdzie była główna kwatera arcyksięcia Karola, zastaliśmy wielki konwoj, może tysiąca fiakrów i wozów wysłanych z Wiednia, dla zbierania rannych; daliśmy znać przełożonemu, o tych nieszczęśliwych którycheśmy napotykali w naszym marszu. Izba, w któréj nocował był arcyksiążę, była przestrzelona dwiema kulami armatniemi... było to miejsce i pole do rozpa-

mlętywania głębokiego... Nieznośne to było położenie nasze, obserwacyjne arcyksięcia Jana; aż pewnego dnia, spotyka się nasz patrol z niemieckim, a ten że niemiecki, nie z Francuzami — nuże do ataku na siebie, aż tu nasi poznają czerwonych Sasów, a jako polacy mówią wszelkiemi językami, więc zgoda, i spotkanie tem milsze, bo nas Sasi zluzowali, i mieliśmy właśnie rozkaz, póty na Marchfeld przebywać, aż nas kawalerya saska zastąpi.

A zatem w dniu 10m lipca opuściliśmy zapowietrzoną okolicę pobojowiska Wagramskiego i przybyliśmy na nocleg do miasteczka Stadt-Laa, tu jak najkróciéj zabawiwszy, śpieszyliśmy pod *Znajm*, spodziewając się tam walnéj bitwy, ale przybyliśmy po już odbytych kilku rozprawach dzielnych a krwawych, z których ostatnia kończyła się właśnie, gdyśmy nadciągnęli pod Znajm a lubo właśnie spodziewaliśmy się walnéj bitwy za nadejściem marszałka Davousta *oczekiwanego*, rozeszła się *nieoczekiwana* wiadomość o zawieszeniu broni, za świeżem przybyciem księcia Lichtensteina jenerała austyackiego do głównéj kwatery Napoleona. — Dostał zatem rozkaz cały nasz pułk o godzinie 3éj z południa wybrać się na całą noc do Schönbrun dla objęcia tam straży przy głównéj kwaterze Napoleona, który tam miał stanąć niezawodnie nazajutrz: A więc nasz szwadron Iszy to jest Isza i piąta kompania, niewypocząwszy po bitwie Wagramskiéj, przebywszy cztery doby trudów, podsłuchów i podjazdów na Marchfeld, umaszerowawszy przynajmniéj 12 mil z pod Wagram do Znajm, musiał znowu odbyć prawie bez zatrzymania się drugie mil 12 i więcéj z pod Znajmu do Schrönbrunn, a zatem w 60 godzinach ujechalismy blisko 30 mil, wszelako nie mieliśmy koni odpsutych, albo mało co. Najwięcéj szkodzi koniom marsz nocny, gdy jeźdźcy nie mogąc się wstrzymać od snu, drzymią na koniach. Tego też dowódzcy

jazdy najbardziéj przestrzegać powinni, zważając: że koń odpsuty, lub przez zaniedbanie okucia okulawiony, tyle znaczy na wojnie, co koń zabity, i że jazda, więcéj traci, przez złe kulbaczenie, i nieporządek, jak od ognia. Dla tego to przyjętą jest zasada: że jazda potrzebuje jeszcze więcéj wprawy do wojny, niżeli piechota, u któréj także: nawyknienie do marszu, czyli do chodzenia, przy dobrem obuwiu, jest niemal pierwszym warunkiem zwycięzkiéj kampanii. Czytelnicy raczą darować nam te przydłuższe uwagi nad marszami wojsk, jest albowiem obowiązkiem weterana, zwracać uwagę młodych lubowników wojskowości na szczegóły, o których w dalszych wojnach, a zwłaszcza 1812 roku rozpaczliwie wspominać będziemy.

Z pod *Znajmu* kapitan Szeptycki, bez wezwania, ale wprost z narodowego natchnienia, wiedząc że dobra *Frain* należące do familii Mniszków, posiadały piękną holendernię, posłał tam brygadiera z 4ma szwoleżerami na załogę, żeby ten zawód pięknych krów nie popadł pod nóż zwycięzkiéj piechoty, tak jak niektóre nasze konie oficerskie na wyspie Lobau. — Przybywszy pod Schönbrunn, zajęliśmy najbliższe pałacu wioski; Iszy szwadron stanął w Mejdling, a znużeni upałem, kurzawą, bezsennością, rzuciło nas się kilku oficerów na słomę dla odpoczynku: w tem przybiega do naszéj izby Niemiec, zaklinając, żeby który z nas poszedł rozpoznać gwałty jakie nasi żołnierze popełniają u jakiejś damy. Ja pełniłem obowiązki kapitana od pola bitwy Wagramskiéj, lecz widząc młodszych oficerów, mocno śpiących po tak wielkiem znużeniu, przypasałem pałasz i kazałem Niemcowi prowadzić mnię na miejsce nadużycia. Pani owa, wybiega naprzeciwko mnie, i spotyka mnie, w języku francuzkim niemal temi słowy: „Ah! przybywaj pan ratować mnię nieszczęśliwą, bez niczyjéj obrony zostawioną kobietę!. . . żeby mi przynajmniéj

dano na kwaterę Francuzów! ale nie tych Polaków, na pół dzikich barbarzyńców i t. d.— W tem ja poznawszy w oskarżonych ludzi z kompanii Iéj mojego świeżego dowództwa, i takich, których miałem za lepszych, zapytuję ich groźno: jakie to są nadużycia, których się dopuszczają?... na to jeden z nich odpowiada: Panie! wiesz jakie my i konie nasze odbyliśmy marsze... ta pani nic nam jeść dać niechce, a gniewa się, żeśmy konie puścili na paszę w jéj sadzie, nie mając nic dla koni... Gdy ja tak z żołnierzami rozmawiam, mięsza się moja dama, i z zalęknieniem, odzywa się do mnie: „ah! w jakim to języku, pan rozmawiasz z tymi ludźmi“?...— po polsku, odrzekłem— ah! to pan może polak jesteś! — tak jest — ah! ja nieszczęśliwa! a ja pana tak obraziłam!— nie pani, owszem, jesteś szczęśliwa, że natrafiłaś na Polaków, bo gdybyś Francuzów tak była przyjęła, nie byłabyś miała nawet czasu i sposobności poskarżenia się... wcale się nie obrażam, że pani Polaków sądzisz być barbarzyńcami, to tylko dowodzi że ich nie znasz i wychowana jesteś w uprzedzeniu i nienawiści ku nam... ale ci ludzie, od dwóch dni ciągle są w marszu, oni i konie ich nic nie jedli; nie możesz pani odmówić im posiłku, a jak go dasz dobrowolnie, nie doznasz od moich żołnierzy, tylko grzeczności, za to ci ręczę. I tak się stało, kobieta, poczuwająca się, że Polaków obraziła, musiała potem starać się, udobruchać ich, dostarczając im co mogła.

Jak nadciągnęła gwardya cesarska piesza, pułk nasz został rozłożony w trzech wsiach noszących nazwę: *Lanzensdorf*.

Pierwszy szwadron, to jest kompania Isza mego dowodztwa i 5ta Kapitana Gorajskiego, stanęliśmy w najoddaleńszym punkcie, to jest górnem Lanzensdorf. Tę wieś zastaliśmy na pół zrabowaną i od mieszkańców prawie zupełnie opuszczoną, dopiero zaczęli powracać, poznawszy

żeś my nie Francuzi, za naszemi namowami i widząc nasze ludzkie postępowanie.

Tu straciliśmy wkrótce kochanego powszechnie Stanisława Gorajskiego, kapitana 5téj kompanii, którego wątłe zdrowie nie mogło znieść tylu trudów. Atoli doktor Girardot odbywszy sekcyą jego piersi, przekonał nas, że pacyent nie mógł żyć. Pochowaliśmy go z honorami wojskowemi, na jakie się w tych okolicznościach zdobyć mogliśmy — nie pamiętam, czy mu jaki pomnik w kościele, lub na cmentarzu został położony? mam zamiar będąc w Wiedniu odwiedzić miejsce spoczynku tego zacnego kolegi, którego patryotyzm naraził, na ofiary nad siły, ciągle albowiem był cierpiącym — o ile go zapamiętam.

Napoleon powróciwszy do Schönbrunn, zaraz się zajął przeglądem swoich wojsk, tak przybywających ciągle, jako też tych które zbierały dla niego Wawrzyny, na polach włoskich, węgierskich, austryackich i morawskich. Codziennie dziedziniec pałacu schönbrunskiego był napełniony wojskiem i różnymi oddziałami artylerii, pociągów różnego rodzaju, oraz takimi pułkami, które Napoleon chciał wynagradzać za bitwy odbyte, przyszła kolej i na nasz pułk. Mieliśmy rozkaz wystąpienia w zupełnym komplecie ludzi i koni obecnych przy pułku, jak do lustracyi inspektora.

Oficerowie ranni, lecz mogący chodzić, jako to: szef Kozietulski i kapitan Iéj kompanii Franciszek Łubieński, oraz inni, pełni nadziei łask i nagród, przybyli z Wiednia: kapitan Łubieński którego ja zastępowałem, prosił mię żebym mu napisał jak najdokładniéj sytuacyą kompanii, wiedząc że Napoleon od niéj jako od prawego skrzydła zacznie swoję lustracyę. Pułk nasz ciągnął w całéj paradzie, podzielony na dwa regimenta po 4 szwadrony bojowe; pierwszym dowodził major Delaitre, drugim Dautancourt, oboma, niby brygadą pułkownik Krasiński.

Szliśmy upojeni tryumfem, marząc tylko o pomyślnościach; tymczasem, żadnemu z tylu dowódzców, nieprzyszło na myśl, posłać adjutanta pułkowego naprzód: żeby się zapytał o miejsce szyku i zaprowadził pułk na takowe. Weterani majorowie sądzili, że ktoś ze sztabu cesarskiego w tym celu do nas przybędzie; po prostu stracili głowę, mając po raz pierwszy popisywać się z bliska przed samą osobą Napoleona... to niech młodym oficerom służy za naukę, że musi to nie tak łatwo być dowodzić armijami, kiedy ludzie tacy jak jenerałowie Delaitre i Dautancourt nie umieli dać rady, każdy tylko czterem i to małym bardzo szwadronom.

Przybyliśmy więc poza prawą oficynę pałacu i po rozgłośnéj pretensyonalnéj komendzie pp. majorów, zaczynamy się szykować z tyłu za oficyną; w tem na głos donośny Dautancourta przybiega jenerał Durosnel adjutant cesarski, i woła na gwałt: dla Boga! Co Panowie robicie? gdzie się kryjecie! nie tu wasze miejsce, ale w pierwszéj linii przed pałacem..... Zmieszani tem bardziej nasi dowódzcy, tym naglącym rozkazem prowadzą nas do bramy dziedzińca, mijamy owe Lwy u wnijścia spoczywające, i zastajemy cały dziedziniec przepełniony, wojskami rozmaitemi, artyleryą, pociągami, nakoniec czoło naszéj kolumny trafia na jakieś zapasy cegieł i wapna i rusztowania przysposobione do jakiéjś reparacyi; majorowie i szef Łubieński wydają różne komendy chcąc wybrnąć z tego labiryntu; istotnie poruszenia nasze w tym tumulcie były trudne, i mogło się zdawać cesarzowi że to skutek naszéj nieznajomości obrotów wojskowych; w tem nadbiega jenerał Durosnel i woła: „Kto tu dowodzi Iszą kompanią?“ — Odpowiadam, ja — WMP. jedź do Cesarza, on WMP. żąda — ja kieruję konia ku cesarzowi, aż tu przypadają do mnie pułkownik Krasiński, Delaitre, wołając: co ty robisz! gdzie jedziesz! — ja odpowiadam: że Cesarz kazał mnie

wołać — milczenie, zadziwienie — a ja stoję na koniu przed Cesarzem i salutuję go pałaszem; On spogląda z dołu do góry na mnie, i głosem surowym pyta: „Qui êtes Vous?“ (kto jesteś) odpowiadam: dowódzca Iszéj kompanii regimentu szwoleżerów — na to Cesarz: A! dobrze, — i dotykając się ziemi palcami prawéj ręki, mówi do mnie: Pan tu, tu, uszykuj swoję kompanię przedemną — ja wracam do pułku i komenderuję mojéj kompanii: czwórkami marsz! — przypadają do mnie szefowie szwadronu, Łubieński, Pac, myśląc żem dostał pomieszania zmysłów, co ty robisz! wołają — ja do nich: pełnię rozkaz Cesarza, znowu milczenie i zadziwienie — ja przyprowadzam kompanię i szykuję ją, nie bez migów Cesarza gdzie mam stanąć, i wyrównywam ją przyzwoicie; gdym uszykował kompanią Iszą, posyła znowu Cesarz jenerała Durosnel po Szeptyckiego dowódzcę 5téj kompanii, od śmierci Gorajskiego; gdy ten przybywa przed Cesarza wskazuje mu Napoleon na nas, i mówi: widzisz kompanię pierwszą, uszykuj że się przy niéj w linii; co gdy Szeptycki uskutecznił, dał rozkaz przez jenerała adjutanta, żeby cały pułk stosownie do stanowiska Igo szwadronu uszykował się.

Siedzieliśmy na koniach oczywiście z dobytemi pałaszami, w tem Napoleon woła na pułkownika Krasińskiego: „Każ pułkowniku z koni z siąść“ — Krasiński komenderuje pośpiesznie: „z koni!“ nie kazawszy wprzód pochować pałaszy, co jest uchybieniem krzyczącem w regulaminie, dopiero my podwładni musieliśmy każdy osobno komenderować do schowania pałaszy, a potem, do z siadania z koni. Ale nie dość na tem. . . gdyśmy zsiedli z koni, pokazało się, że nie jesteśmy w szyku lustracyjnym, ale w bojowym. . . . . znowu gniew Cesarza, znowu zwłoka. . . a Kozietulski, Franciszek Łubieński mój kapitan, i insi ranni oficerowie, widząc że się zanosi na burzę. . . gdzieś pochowali się i znikli.

Ustawiłem więc kompanię czemprędzéj w szyku lustracyjnym i stanąłem na samem onéj prawem skrzydle, pieszo, trzymając za sobą konia w szeregu o cuglach przez lewe ramie na piersiach w lewéj ręce według regulaminu, a prawę rękę przykładając do czapki.

Nadchodzi Napoleon, za nim jenerałowie służbowi, pułkownik Krasiński, major Delaitre, szef szwadronu Łubieński — zaś z gradusów przed pałacowych przypatruje się świetny orszak sztabowy i mnóstwo jenerałów zagranicznych, bo było zawieszenie broni.

Napoleon idzie prosto na mnie i stanąwszy przedemną, pyta surowo: to WMP. dowodzisz kompanią? — tak jest Naj. Panie — wiele ludzi przytomnych — 84 — wiele zabitych? wskazałem liczbę — wiele rannych — tyle — wiele w marszu pozostałych? — tyle — wiele w zakładzie we Francyi? — tyle — jaki ogół ludzi i koni? — tyle; te pytania następowały tak prędko, jedne po drugiem, że trzeba było być dobrze przygotowanym, i posiadać język francuzki, ażeby Cesarza niezniecierpliwić: istotnie niewiem coby się było stało, gdyby Franciszek Łubieński, który się jąkał, i nie był koniecznie mocny we francuzczyznie, był tak naglęco nagabany. . . zdaje się że Cesarz był zadowolony moim sposobem odpowiadania, równie prędkim jak jego pytania, bo spozierał na mnie z natężeniem, i jakiemś upodobaniem, z którego wynikło, że w dobrym wcale humorze, rzecze do mnie: *c'est bien, voyons les livrets!*" — (to dobrze, zobaczmy teraz książki) — „na to ja: nie ma ich Naj. Panie! — Jak to, nie ma ich?" — „Nigdy ich nie było Naj. Panie!" — „Jak to Loubinski (Łubieński) to twój szwadron a nie ma książeczek?!" — na to Łubieński, którego Napoleon znał bliżéj, a który nie był przyjacielem Krasińskiego, odpowiada: Naj. Panie! nie ja dowodzę regimentem". Tu Napoleon domyślając się, że chciano

szkodzić Krasińskiemu, którego on lubił, przywołuje majora Delaitre, i już pełen gniewu, krzyczy na niego: „Cóż to, pułkowniku Delaitre! ja WMPanu poruczyłem formacyę tego regimentu i zostawiasz go bez książeczek? ... cóż to WMPan sobie myślisz, że to ja chciałem mieć pułk Arabów? (*un poulk d'Arabes*)“. To powiedział Napoleon mieszając wyobrażenia kozackie z egipskiemi, dla tego że znał Delaitra adjutantem Klebera, i poruczył mu był dowództwo Mameluków, nim go awansował na majora do naszego pułku. Delaitre coś przebąknął na uniewinnienie się ze strony kosztów formacyi pułku i t. p. tak że Napoleon opuściwszy go, zwrócił swój podwójny gniew na intendenta Daru, który był inspektorem jeneralnym gwardyi. Tego więc kazawszy w okamgnieniu do siebie przywołać — a był to pan orderowy z gwiazdą na piersiach — Napoleon tupając nogą, krzyknął na niego: „czyto tak administruje jego wojskami, żeby regiment jego gwardyi był bez książeczek? i t. d. Daru chciał coś odpowiedzieć... ale uniesienie się Napoleona wzrastało coraz bardziéj i krzyknął: „Odprowadzić tego nędznika z oczu moich! niech go nie widzę! (*qu' il disparaisse! que je ne le voye plus!*)“ a odwracając się rozgniewany ku naszemu pułkowi, te same słowa powtórzył: precz z nimi, niech się na nich nie patrzę! ... Ale w tem kiedyśmy dosiedli koni, i czwórkami w prawo galopem przez pierwszą boczną bramę wylecieli w okamgnieniu, Napoleon, ten dopiero tak srogi Napoleon — czyli raczéj pan swoich zmysłów — widząc że wielu zagranicznych mężów patrzało się z bliska na tę scenę, powraca ku pałacowi uśmiechając się cały i odzywa się do zagranicznych jenerałów: „*Ces gens là, ne savent que se battre!*“ (Ci ludzie tylko się bić umieją). Otóż to pochwała do zanotowania sobie każdemu potomkowi tych ochotników co słu-

żyli w gwardyi Napoleona, a którego słowa pamięci przekazuje czytelników moich żołnierskich wspomnień.

Napoleon istotnie sądził, czyli nikt mu wystawić nie śmiał, że nasze opóźnienie i nieforemne wystąpienie nie pochodziło z niewyćwiczenia w mustrze, ale z natłoku i ciasnoty na dziedzińcu schönbruńskiem, dla tego zaraz nazajutrz, czy drugiego dnia zesłał do nas jenerała Durosnel jako inspektora i nauczyciela manewrów; tenże z zadziwieniem postrzegł: że my pod względem manewrów nie mniéj umiemy co każdy pułk inny gwardyi konnéj. Zaś co się tyczy książeczek, rzecz się tak miała: Krasiński, gdy Napoleon w kampanii pruskiéj za protekcyą księcia Alexandra Sapiehy, przeznaczył go na pułkownika mającego się tworzyć pułku gwardyi konnéj polskiéj, z chełpliwości jemu, a prawdę powiedziawszy, nadto wielu z nas właściwéj, oświadczył: że ta formacya będzie kosztowała, nic albo bardzo mało, bo młodzież polska wezwana do gwardyi Napoleona, będzie ze wszech stron dawnéj Polski garnęła się na wyścigi o swoim koszcie.... Stósownie do tego, damy warszawskie zajęły się wzorami haftów dla naszych mundurów — jak to już opisaliśmy w pierwszym oddziale naszych wspomnień — i w skutku téj chełpliwości, powiedział Napoleon w dekrecie z d. 6go kwietnia 1807 w Finkenstein wydanym, w artykule szóstym: że szwoleżery polskie będą mieć tę samą płacę co strzelcy konne gwardyi — to jest 25 soldów francuzkich dziennie — zaś w artykule siódmym, dodał: że koszt pierwszego ekwipowania, tym co nie mieli dostatecznych funduszów własnnych, potrącony będzie aż do umorzenia z żołdu, licząc po 15 soldów dziennie.

Z tego powodu więc, majorowie organizatorowie pułku, Delaitre i Dautancourt niezaprowadzili książecze z przyczyny, że żołnierzom nie 25 soldów, jak gaża powinna była wynosić, ale tylko 15 soldów wypłacali;

a że od samego zawiązku organizacyi, oddziały pułku ciągle były w ruchu wojennym, tak dalece, że dopiero pod Wagram cały pułk wystąpił po raz pierwszy razem, i to jeszcze nie zupełnie — bo śp. kolega Niegolewski pisał do nas, że dopiero pod Wagram przybył, i że zakład pułku był w Chantilly; więc major Delaitre słusznie się wytłómaczył dla czego, Cesarz nie znalazł książeczek na rewii. Musieliśmy zatem w stanowiskach w Lanzensdorf pisać książeczki dzień i noc, w czem mnie w kompanii Iéj dopomagał mój naówczas wachmistrz szef Malinowski — późniejszy kapitan adjutant major pułku.

Gdy nakoniec jenerał Durosnel, zdał raport Cesarzowi najpochlebniejszy o pułku, że w nim znalazł duch najlepszy, umiejętność manewrów i porządek nic nie zostawujący do życzenia; Napoleon kazał znowu całemu pułkowi wystąpić przed siebie na paradzie w Schönbrunn, w obec tych samych widzów swoich i zagranicznych, którzy byli świadkami naszego niby upokorzenia na poprzedniéj rewii. Wystąpiliśmy więc w okazaléj postawie, Napoleon wyszedł do nas uśmiechając się, i nie wdając się już w żadną inspekcyę kazał nam przed sobą defilować plutonami, i dawał oznaki swego zupełnego zadowolenia; jakoż wkrótce otrzymaliśmy różne nagrody: krzyże legii honorowej i dotacye wieczyste; ja sam dostałem dotacyę 500 franków wieczystą na *Monte di Milano*, która mi skutkiem wypadków późniejszych przepadła, inni podostawali takowę na kanałach francuzkich, które po dziś dzień istnieją.

Wkrótce potem Napoleon postanowił był utworzyć order: *Des Trois Toisons*, to jest: trzech run złotych połączonych; chciał żeby w każdym pułku był podany oficer i jeden szeregowy tylko do tego nowego orderu, a to za wyborem przez pułk najzasłużeńszych — w naszym więc pułku byli podani do tego znamienitego zaszczytu:

kapitan Seweryn Fredro i wachmistrz Stanisław Wąsowicz (z krakowskiego województwa) ale ten dekret cesarski nigdy nie przyszedł do skutku.

W czasie tego zawieszenia broni, przybyło wiele ziomków do główněj kwatery i do Cesarza z Polski, jako to: pułkownik Malczewski kuryerem od księcia Józefa Poniatowskiego, książę Alexander Sapieha, jenerał Wołodkiewicz, jenerał Bronikowski; a w deputacyi: Ignacy Potocki, Miączyński, Tadeusz Matuszewicz, i wielu innych. Obchodziliśmy też dzień 15go sierpnia urodzin Cesarza z wielką okazałością, wojsko w ucztach korpusowych militarnie, cywilni i dyplomaci, w illuminacyach i transparentach. Jenerał Bronikowski miał kwaterę w pałacu arcyksięcia Karola, książę Alexander Sapieha w pałacu księżněj Lubomirskiéj, Czartoryskiéj z domu.

Jenerał Bronikowski miał formować legią polską, kilku oficerów naszych i podoficerów przeszło do téj organizacyi z awansem; atoli skończyło się na utworzeniu jednego pułku piechoty i to w mieście Augsburg, który pułk przybrał miano 4go pułku legii nadwiślańskiéj i otrzymał przeznaczenie do Hiszpanii.

Zawieszenie broni przedłużało się, umowy o pokój były trudne, Napoleon gromadził nieustannie przybywające posiłki, i chcąc pokazać armię swoją, odbył na równinach pod Penzing ogromną i wspaniałą rewię z manewrami w ogniu, na którą jak przynależało wystąpił nasz pułk w możebnym komplecie i w błyszczącéj paradzie, był to widok dla nas zajmujący, a dla licznych widzów z Wiednia i okolic ciekawy.

Gdy nakoniec traktat pokoju został podpisany d. 14 października, pułk nasz otrzymał rozkaz rozstawienia się po stacyach od Linz do granicy bawarskiéj, celem eskortowania odjeżdżającego Cesarza. Wtenczas to, nastąpił w Schönbrunn wypadek, że student niemiecki na-

zwiskiem Stabs chciał Napoleona pozbawić życia, o czem się nadmienia jako o zdarzeniu wówczas głośnem, lubo to nie należy bynajmniéj do wspomnień o naszym pułku. W Lincu nasz pułk był rozstawiony po stacyach według Nrów kompanii, mnie się dostało eskortować Cesarza z szefem szwadronu Tomaszem Łubieńskim aż do pierwszéj stacyi w Bawaryi. Cesarz jechał w poczwórnéj wielkiéj karecie zajmując tylne siedzenie po prawéj a jenerał Duroc po lewéj ręce; przednie siedzenie pełne było stosów depesz przeczytanych i czytać się mających. Co chwila marszałek dworu Duroc rozpieczętował kopertę i wyrzucał ją oknem, a depeszę czytał Cesarzowi.... Ja jechałem około drzwiczek lewych ze strony Duroca, szef Łubieński koło drzwiczek prawych. Napoleon miał głowę związaną kolorowym fularem, przypatrywałem mu się ciągle i dziwiłem nadzwyczajnéj słodyczy, jaka była w jego ustach rozlana, słodycz ust która południowym mieszkańcom jest właściwa, owe *os rotundum*, Horacyusza. Wszystkie rysy twarzy Napoleona zapowiadały dobroć, tylko oczy były nader bystre i zmieniające charakter całéj twarzy, dowolnie. Poznawszy Łubieńskiego, którego żona Konstancya z Ossolińskich, była niemal towarzyszką Cesarzowéj Józefiny — wychylił się prawie z okna i zapytał: „Nuż Łubieński „co tam nowego u was słychać?“ Łubieński na to: „Mnież to Wasza Ces. Mość możesz pytać o nowiny!“ „Ja chcę mówić co tam u was Polaków słychać? — „Powiadają nam że odzyskamy nową Galicyę“... — „Et Zamosk aussi“ — (i Zamość także) odrzekł Cesarz natychmiast. Na granicy Bawaryi przyjęto Cesarza łukami tryumfalnymi i z wszelką oznaką uciechy i uszanowania. Cesarz podążył do Münich, zkąd d. 22go października otrzymawszy ratyfikacyą pokoju odjechał do Paryża.

Po odjeździe Cesarza do Münich, pułk nasz połączywszy się, postąpił za nim do téj stolicy Bawaryi, już wtenczas świetnéj, ale która późniéj zasłynęła zbiorami ciekawości i sztuk pięknych — czego ja jednak od owego czasu jeszcze nie widziałem.

W Münich jako dowódzca kompanii miałem kwaterę w domu pięknym, zamożnym ale nie arystokratycznym. Przyjmowano nas z serdecznością i uprzejmością, zaproszonego od mojego gospodarstwa do licznego stołu, posadzono mnię na pierwszem miejscu —, gospodyni zasiadła blisko mnie po prawéj ręce, i rozdawała rosół, gdy się odbyłem z tą potrawą, gospodyni wstaje i talerz mi odbiera. . . ja jako oficer polski drożę się, nie chcę przystać na taką przysługę. . . lecz gospodarz domu odzywa się: „Niech pan pozwoli, taki jest u nas obyczaj“. Jakoż ta gospodyni, w pałacu, ubrana wykwintnie, nietylko mnie ale wszystkim u stołu farfurki poodmieniała; siadła znowu przy mnie, rozdawała następującą potrawę, znowu zbierała talerze i tak wciąż.

Niema ta drobna okoliczność związku z naszym pułkiem, ale niech posłuży za pamiątkę jakie były obyczaje w stolicy bawarskiéj w r. 1809.

Przechodziliśmy wolnym marszem, piękne kraje: Bawaryi, Witembergu i Baden, wszędzie dziwiąc się i *zazdroszcząc* uprawie rolnéj i sadowniczéj; aż nakoniec przebyliśmy Ren po moście łyżwowym. Na samym lewym brzegu Renu jako granicy Francyi, był wielki łuk tryumfalny, nie rozebrany jeszcze po przejeździe Napoleona, na tym łuku był napis łaciński: MAGNUS BELLO MAJOR PACE!... Jechali koło mnie jako na czele pułku major Delaitre i szef szwadronu Pac — jeden z braci Skalskich szeregowców w mojéj kompanii Iéj, podjeżdża do mnie z lewego boku, i przyłożywszy prawą rękę do czapki, niby to melduje mi: „Panie poruczniku!—

pokazując napis łuku tryumfalnego — widzisz pan jak to znają i szanują naszego Majora z Pacem!“ Tak zakończamy wspomnienia nasze o roku 1809, nie pewni, czy wiek i oczy dozwolą nam jeszcze przedstawić czytelnikom dalsze lata i korzystać z uwag dość licznych przez dawnych kolegów nam dostarczonych.

Pisałem w Jasienicy w miesiącu styczniu r. 1859.

Józef Załuski.

ZAPISKI ORNITOLOGICZNE.

XI.

JASKÓŁKA OKNÓWKA.

Zdarzenie udowodniające łatwość porodu i szybkość w wykształcaniu się młodego stworzenia bez żadnéj pomocy rodzicielskiéj lub obcéj, jest ciekawem, o tyle o ile się oczom ludzkim przedstawiło, gdyż w całym świecie zwierzęcym jest to podstawą szybkiéj i bezpiecznéj reprodukcyi.— W lesie Czajowickim kobieta ze wsi szukała grzybów i łażąc po gęstwinach nadybała leżącą sarnę o kilka kroków przed nią pod drzewem, widząc że rodzi, przyczaiła się chcąc jéj zabrać sarneczkę. Gdy ta już na świat przyszła, wstaje i posuwa się ku niej, w tém postrzega, iż będą bliźnięta, więc się znowu wstrzymuje i po ukończeniu porodu biegnie złowić oboje małych, a tu sarna się zrywa, za nią pierwsze sarniątko i drugie się podnosi, byłoby nieochybnie uciekło, gdyby nie widłaty grab, którego widły były za wązkie, i w które

---

Patrz zeszyt marcowy.

mój rogaczyk wskoczył i zawiesił się; matka zaś z pierwszym swym płodem już w swawolnych skokach odbiegała szkodliwego człowieka i znikła jéj z oczów. W tem ja nadszedłem i słuchałem opowiadania zadyszanéj kobiety, wziąłem rogaczyka już silnie szamocącego się i przekonałem się że już o własnéj mocy uciec zdoła. Tu dowód siły od pierwszéj chwili przyjścia na świat, a w kilku słowach udowodnię jak po wykłuciu z jajka niektóre pisklęta już są obdarzone instynktem, chroniącym je od niebezpieczeństwa.

Ile razy poznałem że samiczka kaczek, chruścieli, kurek wodnych, cietrzewi i t. d. zlatuje od małych piskląt, zawsze starałem się odkryć małe, już to dla przekonania się o ich kształcie, — już o ich stosunku do matki, lub o stanie ich ubarwienia, i zawsze przekonałem się, że każde z nich pojedynczo, jak i wszystkie razem pojmują głos ostrzeżenia matki, bo dziwnym instynktem prowadzone umieją takie kryjówki wynaleść, że oko ludzkie je niepostrzeże, ba i więcéj nawet powiem, *wyżeł nie zwietrzy:* kaczuszki mchem jeszcze obrosłe, zanurzają się instynktowo tak głęboko w wodę że li dzióbek po nozdrza na powierzchni pozostawiają, a przeczuwając i tam prześladowanie, chyłkiem się z wody wynoszą i zapychają się między korzenie, lub w szuwary i rzeczywiście znikają; jeżeli i tam nie czują bezpieczeństwa, wyłażą na stały ląd i szukają schronienia w oddaleniu znacznem. Pisklęta kurek i chruścieli, bekasów i innych szczudłatych ptaków, jeszcze ciemno omszone, już się umieją tak chować że niepodobieństwo je odkryć. Zawzięcie prześladując pisklęta wszystkich dla mnie przystępnych gatunków, aby zbadać ich naturę, zgłębić to zadziwiające porozumienie matki z dziećmi, widziałem podziwienia godne zdarzenia. I tak n. p. odkryłem młode na bagnie igrające pisklęta, lub też za matką szukające pożywienia, w jednéj chwili, nikną mi

z oczów i godziny całe trawiłem na ich odszukaniu, często nieotrzymawszy żadnego skutku, lub też jedno i drugie odkryłem wtłoczone do kępinki, w dziurze myszy lub szczura, lub też siedzące, odkryte, lecz w tak zastosowanym kształcie ciała do miejsca a tak nieruchomie, że od bryłki błota rozpoznać je nie można było. Ostrzeżone o niebezpieczeństwie ptaszęta tak skamieniałe siedzieć będą godziny całe, i dopóki matka niezawoła lub głód ich nareszcie nieprzymusi do ruchu. Cietrzewie na czystéj łące przed oczami giną, i tak głęboko pod mech, w dziury, w trawy i pod krzaki się zapychają, że pies nawet wiatru nie ma żadnego i sam widziałem jak kilkanaście razy przez to samo piskle przeskakiwał nie zwietrzywszy je.

W tych badaniach są zaiste rozkoszne chwile, pobudzające do głębokich marzeń. I tak w czasie lęgu na pewnéj przestrzeni po ostrzeżeniu przez samiczki danem, cisza panuje jak gdyby żadnego ptaszka tam nie było, gdy badacz potrafi tak swą osobę ukryć, iż oszuka samiczki, nic pociesznicjszego jak zobaczyć że na jeden głos, jedno piśnięcie, ożywia się to miejsce pierwéj zostające bez życia, wszystko się rusza i biega, piszczy i kwili i znowu na znak dany w okamgnieniu przestrzeń cała jak wymieciona jest, a chociaż ten łażący drobiazg zmienił miejsce przebiegłszy w inne, on i tam znajdzie doskonałe kryjówki. To ostrzeganie wzajemne widziemy i w wykształconych zupełnie już ptakach, wszędzie są pomocne ptaki które drugich ostrzegają; na wodach rybitwy i niektóre gatunki kaczek, na bagnach czajki i kuligi, między śpiewakami dobroczynne jaskółki i ciekawe a mądre sikory. Jedno przeraźliwe świstnięcie, szybciejszy lot niż zwykle jak szukający schronienia, zagęganie mocne, świergotanie przyśpieszone, czasem znowu jedna nóta wydana lecz nienaturalnym przeraźliwym głosem, to są telegrafy których znaki ptaki dosko-

nale rozumieją.— Zdarza się że znak popłochu dany a niezrozumiany, więc go z naciskiem powtarzają, lub też niektóre zarozumiałe ptaki, niechcą wierzyć i zapytują, *czy istotnie uciekać trzeba*, w tedy w przelocie ostrzegający śpiesznie powtarza i daléj leci uratować ofiary lekomyślne.— Przed nadchodzącą burzą słyszymy wszędzie te uszom naszym prawie nieznane tony, widzimy przyśpieszone loty i ruchy obce naszym ptakom. Na bagnie i wśród wielkich wód jest to uroczysta chwila; gdy fletowemi tonami kuligi ostrzegają współmieszkańców, inne ptaki gdy krążą nad ziemią jak dobroczynne istoty, na oko ciężkie a tak bystrym lotem obdarzone mewy, z rozpostartemi skrzydłami, jak białe cienie stają w powietrzu; to znowu ruszą ku prądowi powietrza, stają znowu i jak żartując z fal i burzy, szyją przeciw wiatru lekkie jak motyle, kołyszą się chwilę i znowu podobne do kształtnéj łódki, daléj płyną po powietrzu Wszystkie ptaki już myślą o schronieniu, te pojedynczo, tamte w skupionych hurmach zrywają się jedne lotem, drugie na nogach dopomagając skrzydłami, te z wody się zrywają śpiesznie, ostrzegając się wzajemnie i głosem się zachęcając do szybciejszego lotu, reszta znowu na wodzie wiosłuje pletwami dążąc ku trzcinie, i nim Bóg zagra piorunami a oświeci tę sztuczną ciemnicę błyskawicami, — już wszystko schronione jak pod parasolami, spostrzegamy jedynie tych mazgai, których wszędzie za nadto, którzy na nic — i nigdy czasu nie mają i nigdzie na czas nieprzybywają, ci mazgaje ptasiego rodu niemal w każdym gatunku istniejące z lamentem lecą, pewnie jak i nasi ludzcy mazgaje, skarżąc się na niesprawiedliwość losu i na nieszczęście, które ich tak niezasłużenie na swe ciosy wybrało, a mimo powtórzonych nauk, mimo podobnych niebezpieczeństw, zawsze ci sami, niczego się nie nauczą; nie

niespamiętają zawsze i wszędzie przybywają za późno, mazgaje!

Lecz wróćmy się do kolonii naszych jaskółek tam zaszły ciekawe zmiany. — Na jednéj linii kilkadziesiąt gniazd, jedno do drugiego podobne tak że ich rozeznać nie można, blisko razem lepione, bo to często dzieci przy rodzicach się osiedlają, już z przywiązania, już to dla opieki i korzystania z doświadczenia starych Tyle tam wlatuje i wylatuje oknówek, że nikt nie jest w stanie je porachować; żaden badacz nie może stanowczo powiedzieć, dla czego tam ustawicznie zazierają co tam za interesa mieć mogą tak młode jak i stare. Ja z pewnością twierdzić nie śmiem, lecz posądzam jedne i drugie; przecie instynkt to przeczucie, a przeczucie przewiduje ból i smutek, radość i rozkosz w przyszłości; jakże mogę przypuścić żeby te stworzenia obdarzone instynktem, tu i owdzie nie przeczuwały złego i dobrego, niezdając sobie sprawy, nie oznaczając co się ma stać, lecz się niepokoić i cieszyć czasem muszą? Doskonałe oknówki wychowawszy już dorosłe pisklęta, widzą że się lube dzieci same żywią i żadnéj opieki niepotrzebują a wiedzą że w téj zimnéj Polsce, lato mija jak biczem trzasł i podróż długa w jesieni nie przebaczy, trzeba jeszcze znieść jajka i wychować drugą rodzinę. Dzieci dorosłe dla czule kochającego się stadła wielce niewygodne, powiedziałbym żenujące, bo to już wiele wie, resztę bystrością przeczuwa, a ciekawe do zadziwienia, wszędzie patrzy, wszystko podsłuchuje i mimo ostrożności rodziców, nie jedno zobaczyć mogą o *czem na rok przyszły wiedzieć dopiero powinny*. Rodzice przemyśliwają nad tem jak zrobić, aby ta dziatwa się nareszcie odczepiła, a dziatwa umiłowawszy rodzinną lepiankę, — przeczuwając coś złego, ustawicznie w kolebkę doziera, czy tam jakiéj zmiany nie ma i wszyscy koniecznie w lepiance spać muszą. Ku wieczorowi, po

dniu pracy i znużenia, każdy śpieszy do domu na spoczynek, bywają i między oknówkami roztargnieni, którzy wchodzą do obcego domu przez roztargnienie, może też są jak między nami co pod pozorem roztargnienia, różne korzyści wyciągają, bo dobrze mówi Francuz: „Że nie ma straszniejszego głuchego, jak ten co niechce słyszeć“. Jabym to samo o dystraktach powiedział, że są udani znowu najniebezpieczniejszemi. Oknówki więc młode w tym rzędzie lepianek niepoznają swojéj, lub też udają, — ja tego niewiem, — i pakują się do obcéj, zły przykład niestety zawsze ponętny, pcha się brat za siostrą, siostra za bratem i cała rodzina lokuje się w obcéj chacie; a tu przylatują spóźnieni właściciele, dom zajęty, hałas więc wielki, już rozgoszczonym i ogrzanym przykro wyruszyć, bo noc chłodna nadchodzi, przybyszom równie pilno spocząć, świergocze i piszczy drużyna, nadlatują stare, napominają, jedna do gniazda włazi i wypędza, druga czeka aby jeszcze połajać i odgonić, nareszcie radzi nie radzi dystrakty muszą uciekać. A cóż to dopiero się dzieje jak te niedelikatne oknówki wlecą do gniazda, gdzie kilka piskląt jeszcze się znajduje lub też samiczka na jajach spóźnionych siedzi; o wtedy po ostrzeżeniu samca, samiczki lub sąsiadki, cała kolonia doświadczonych oknówek przejęta zgrozą, leci karcić, wszystkie piszczą, wszystkie potępiają i nareszcie indyskretów wypędzają, którzy potym despeckie muszą nocować na dachu lub gzymsie. Tak samo się kończy stosunek z rodzicami, jak samiczka zniesie jaja; młodzież swawolna odgonioną bywa, nocuje z początku w bliskości gniazda, potem po drzewach, skupia się z drugiemi rodzinami z pod opieki wyzutemi, rośnie gromadka do kilkadziesiąt i kilkaset a przekonawszy się że ich rodzice innemi dziećmi zatrudnieni, wędrują ku południowi i to są pierwsze podróżujące jaskółki, które stanowią awangardę i mimo młodego wieku, mimo

płochości przywiązanéj do niego, niezboczą ani na stopę z wytkniętéj drogi, i tam gdzie ciepło i gdzie powietrze obfituje w owady, czekają na przybycie w sierpniu lub wrześniu głównego korpusu. — Do saméj nocy gwar i hałas w takiéj kolonii nie do opisania; starszyzna pełniąca obowiązki policyantów i żandarmów ustawicznie lata, napomina i karci, to znowu prosi i zaklina jak konstable angielskie, to nagania dokuczliwie jak nieucywilizowana policya, nareszcie gdy płaszcz swój ciemny noc rozpostarła, a firmament zapalił miliardy swych świczek promienistych, uspokoiły się jaskółczęta, spoczywając do ranka który znowu wezwie do pracy i ruchu.

Kiedy rolnik boże dary sierpem i kosą na ziemię wali, spieszy się aby schować bezpiecznie owoc swéj pracy, a pług wyjeżdża znowu przewracać rolę i ręka znowu rzuca ziarno na przyszłość; kiedy człowiek przy swéj pracy i zajęciu chwilowo zapomina że przyroda powoli już żałobę przywdziewa i kwiatek po kwiatku, listek po listku zrzuca z siebie, zrzuca te barwiste ozdoby których dosyć podziwiać nie możemy; kiedy mgła niemal co dzień rano zasłonę spuszcza na przyrodę, ten woal pokrywający wstydliwą a w jesieni rozbierającą się naturę, wtedy gromadzą się jaskółki, pokrążą, pobujają na pożegnanie, zaświergotają, jak która umie, śpiew zachęcający do podróży i odlecą na długo, my spuszczamy wzrok ku ziemi bo na widnokręgu już nas nie bawią lube wirujące cienie i w pracy szukamy pociechy, w pracy koło matki ziemi staramy się zapewnić przyszłość, w pracy wdzięcznej i zajmującéj znajdujemy siłę i wytrwałość do oczekiwania pełnego tęsknoty, spóźnionéj wiosny!

Jak i dymówki lecą ku Węgrom i Włochom, kąpią się w Dunaju, Bohu, Dnieprze i Tybrze, późniéj lecą odwiedzić kolebkę sztuki i wiedzy, po ruinach głazo-

wych dawnéj potęgi, zbierają muszki i owady, świergocząc nad grobami wielkich mężów i wojowników, ku zimie opuszczają Europę i dążą przez morze do Azyi i Afryki, daléj i daléj zmierzają ku cieplikowi koniecznie potrzebnemu do łatwego wypierzenia i tak niemal w ciągłéj podróży schodzi zima i znowu powrót rozpocząć wypada. Kilku autorów a między innymi Buffon podają iż w roku 1779 mieszczanin z Bazylei uwiązał na cienkim druciku blaszkę z napisem:

Hirondelle
Qui est si belle,
Dis moi, l'hiver, où vas tu? *)

powracająca jaskółka miała na odwrotnéj stronie napis:

à Athènes
Chez Antoine,
Pourquoi t' en informes tu? **)

W lecie czyli na wiosnę lecą ku wysokiej północy. Podróżujący badacze przyrody widywali je w Szwecyi i Norwegii północnéj, nawet w Laponii, lecz tam jedną rodzinę tylko wywodzą i spieszą aby uciec przed mroźną tak wczesną jesienią. Twierdzą autorowie, lecz to badacze książkowi, gabinetowi, co skrócić usiłują przyrodę całą, do rozmiarów łatwo okiem zmierzonych, co naukę zamknęli w długości i szerokości części ptaka i podług tych rozmiarów i proporcyj oznaczają rodzaje i gatunki, ciesząc się nad temi wynalazkami, jak dzieci nad popsutą zabawką, a gawiedź płytka poklaskuje by-

---

*) Jaskółko tak piękna, powiedz mi gdzie na zimę lecisz?
**) Do Aten, do Antoniego, dla czego mnie o to pytasz?

strości badawczego rozumu, ci badacze niemowlęta naukowi twierdzą więc, że jaskółki nie mają instynktu i twierdzenie popierają tym axiomatem: „gdyby miały in„stynkt, nienarażałyby się w przybyciu wiosennem na „śmierć pochodzącą z zimna lub głodu, nienarażałyby „się na burze i przeciwne wiatry, nienarażałyby nareszcie „pisklęta na zagładę.“ A cóż wy myślicie, że świat żyjątek, i świat stworzeń niewyjmując króla przyrody, może zawsze chcieć i niechcieć, może zawsze podług upodobania i woli omijać niebezpieczeństwa, urągać śmierci, zabezpieczać instynktem i rozumem przyszłość? O nie, są prawa które pędzą naprzód i hamulec nic niepomoże, nie zawsze instynkt i rozum może ominąć niebezpieczeństwo, nikt nie wie i wiedzieć nie może jaka śmierć go czeka? Posłuszeństwo oto łańcuch otaczający świat cały, biada temu kto się wywinąć chce z tych Boskich kajdan, biada temu który poznać niechce celu i użyteczności tych niewidzialnych ogniw, na posłuszeństwie stoi cała natura, — i tę dobroczynną chorągiew pod którą garną się wsze stworzenia odbiega li człowiek, ten pan przyrody, zuchwalec, dufny w swój rozum, oparty na woli, szamocze się i rwie błogosławione łańcuchy, ucieka a błądzi, narzeka a słuchać nie umie, chciałby powrócić a stracił kierunek, w rozpaczy pyta co uczynić wypadnie? Zapomniał że każdy musi czynić co powinien, a niech się dzieje wola Boża nad wszystkiemi i wszystkim!

Jaskółka przeczuwa że będzie głód i zimno, że przyjdzie stracić dzieci, smutnieje, żałośnie lecz nie zuchwale, piszczy i narzeka, lecz się poddaje pod wyroki. W Afryce i Azyi już przeczuwać musi złe co na nią czeka, bo obdarzona instynktem jak wszystkie lotne żyjątka, pamiętna tych naszych zimnych i słotnych wiosen, a leci, bo lecić musi, tak prawa odwieczne nakazały i z pod nich wyłamać się nikt nie może. Z drugiéj zaś

strony rażący kolor czarnego nieszczęścia znika pomału przed rozkoszną pamięcią chwil miłości i lęgu, serce przyspieszonem biciem popędza do podróży, krew szybciéj obiega organizm, spieszą się do ojczyzny ptaszyny, bo wiedzą że w ich ojczyznie dobrze, wiedzą że Bóg miłosierny stawia w swem miłosierdziu pociechę przy nieszczęściu, lekarstwo przy truciźnie. Niemal wszyscy autorowie opisują gniazda kolonii oknówek na gołych skałach, na których corocznie lepią swe budyneczki. Ja tych kolonij w żadnym kraju nie spostrzegłem; wprawdzie w mych wycieczkach w nasze urocze góry, widywałem uganiające oknówki wysoko w górach, nawet nad szczytami tychże, lecz to tłómaczyłem zawsze pogonią za wznoszącemi się owadami i łatwością lotu naszych ptasząt, spostrzegając ich lepianki na kościołach i cerkwiach, na domach proboszczy i dziedziców, nareszcie na karczmach, bo innych murowanych budynków w tamtych stronach nie zauważałem, mimo wiedzy o tem twierdzeniu autorów, mimo usilnego szukania, lepianek oknówek na skałach nieznalazłem.

Dawniéj tyle było murowanych gmachów i pamiątek w całości po szczytach naszego podgórza i nad rzekami, tyle miejsc dogodnych dla gniazd oknówek, lecz to się coraz więcéj rozpada i niebawem pamiątki siły i wielkości, pamiątki sławy i panowania, pamiątki wielkich zasług i ofiar, runą ku nizinom lub też utopią się w rwiących falach rzek, i serca li czyste, przechowywać je będą, a usta dobroczynne z generacyi do generacyi przekazywać, aby niezapomnieli czem byli i czem być mogą w przyszłości. Czas ten świdrujący robak, *niedbałość ten rak toczący człowieka*, lekkomyślność płocha żyjąca z dnia na dzień, nie dozwalająca myśleć o obowiązkach dla jutra, a nareszcie ta bieda, niezmęczona nigdy, — ślęcząca nad nami, jak nienasycony wampir, dokonały nareszcie zniszczenia. Drewno

zgniło, robaki podziurawiły, wapno i cyment, śniegi i deszcze wypłukały, mróz rozparł kamienie, mury się rozpękały, runął jeden kamień, po nim drugi, — i tak daléj, — aż się wyłom zrobił, podobny do wyłomu w murze fortecznym, z którym kule i bomby się pasowały nareszcie runęła i ściana, — został silniejszy filar tylko, — a gruzy pamiątek toczyły się ku nizinie. Rozpadł się gmach, historya jego już ciemna, niebawem w legendę przechodzi. Człowiek u stóp tego rozbicia mieszkający, często zbiera porozrzucane kamienie, świętokradzką ręką sięga wyżéj, łamie resztę i kleci budynek lub gorzelnię! Potępiłby go każdy, któryby niezajrzał głęboko pod zasłonę rodzinnego kółka, lecz tam czasem bieda dokucza już w drugiéj generacyi, tam nieszczęście gniecie ósmy lat dziesiątek, dziwić się nie może, pożałuje, popłacze, odwróci rozczulonym wyrazem ozdobioną twarz i niema siły potępić! Zwiedzałem ja wiele podobnych pamiątek po naszym kraju, nie jedna przykuła mnie do siebie na chwile długie, szukałem ptasząt które zawsze życia dowodzą i nienadybałem jak sowy i puhacze, śmierć, pustki i zagładę! Im więc więcéj rozpadywać się będą te gmachy, tem mniéj miejsca mieć będą oknówki do gnieżdżenia, być więc może iż późniéj zmuszone będą emigrować ku skałom i tam lepić gniazda, do dziś dnia nigdzie ich tam niepostrzegałem.

I oknówkom zarzut czynią że w pasiekach szkody robią, lecz to niedorzeczna potwarz! Jakżeby tym dzióbkiem który ma ledwie dwie linie długości, mogła objąć pszczołę? musiałaby ją brać w połowie ciała, jak tancerkę do tańca, o tem niedorzecznem twierdzeniu przekonali się i ci którzy pracowali nad wynalezieniem zarzutów, mając czasem jaskółki w pokoju puszczali im pszczoły, lecz dobroczynne ptaszęta na nie nawet uwagi niezwracały i dopiero gdy głód je zmusił do szuka-

nia obcego im pokarmu, szamotały się z pszczołami nie mogąc ująć dzióbkiem, ani też połknąć; cóż wynikło? oto że broniący się owad ukłuł w paszczę lub szyję ptaszynę, ona zesmutniała, napuchła, przebolała dzień cały i z życiem się pożegnać musiała; śmierć jéj przekonała badacza, a drugi pewnie znowu te same experymenta rozpocznie, bo podaniu najczęściéj ludzie nie wierzą i własnemi oczami, własnym kosztem doświadczać chcą. Doświadczenie jednego nie jest doświadczeniem dla drugiego, nawet w najbliższym stosunku! I tak ojciec życie strawił, siły stargał na doświadczeniu, nauczające skutki przekazuje synowi, a ten dufny w swe siły, z wiarą w postęp, uśmiecha się zarozumiale i brnie tą samą przepaścistą drogą co brnął ojciec, dziwi się, a grzęźnie daléj, niepopatrzy nawet na spuściznę użyteczną po ojcu! I tak się dzieje niestety w nauce, że uczeń chce sam doświadczenia przechodzić, te same co nauczyciel przechodził, jest to brak ufności i zarozumiałość w swe własne siły. Gdzieżby była już w prawdziwym i pożytecznym postępie zabiegła ludzkość, gdyby umiała korzystać z doświadczenia poprzedników, gdyby wierzyła w prawdę przekazanych doświadczeń, lecz zdaje się iż tak chce Opatrzność i zwątpienie kładzie za hamulec postępowi! Prawdę mówi francuzkie przysłowie: że prawdziwe doświadczenie bywa to które jest wynikiem przez swe całe życie popełnionych głupstw!

Inny zarzut: że oknówki lepiąc gniazda walają mur i nieczystość zaszczepiają. Zaiste te foremne półkule nie szpecą domu, są prawie poddachem przylepione, a gdybyśmy innéj nieczystości po domach nie mieli jak te które nam jaskółki przynoszą, jeszcze byśmy na przykład ochędóstwa służyć mogli. Boli mnie zawsze, bo to trąci obczyzną, jak widzę okrutną ręką zrucane lepianki naszych pożytecznych towarzyszek, które im bliżéj nas się gnieżdżą, tem szybciéj uwalniają nas od doku-

czliwych owadów, po drugie że pradziady nasze szanowali jaskółki i wierzyli że im błogosławieństwo do domu przynoszą jak bociany, i pewnie żaden nie byłby śmiał podnieść ręki na to dobroczynne żyjątko; a wieśniak nasz który pamiątki tak sumiennie przechowuje i niczego się tak nieboi jak nowości, szanuje jaskółki i opiekuje się niemi, wierzy że mu błogosławieństwo do chaty przynoszą. To nie zabobon, to nie śmieszny przesąd, bo w Słowiańszczyźnie zawsze jaskółki szanowano i my je szanować musimy, już to jako pamiątka przekazana, już to aby nie razić sąsiada wieśniaka, który złem okiem spogląda na te postępowe zwyczaje, jak n. p. strzelać bociany, dla powiększenia stanu zwierzyny, a w imieniu czystości zrzucać gniazda jaskółek, już to z wdzięczności za usługi które nam ta ptaszyna oddaje, a nareszcie już dla tego, że kto z sercem i uczuciem dla piękności na nie pogląda, ten się często rozczuli, często utonie w zbawiennem marzeniu, a pewnie jaskółka mu nieraz rozwieje chmury nagromadzone na jego czole. Wiem że u nas jeszcze nie łowią i nie pożywają jaskółek jak w południowéj Francyi, we Włoszech, w Sycylii i na Malcie, gdzie krociami w czasie odpoczynku przed zamorską podróżą, znoszą na targi i chciwi ludzie pożerają te ptaki wielkości ledwie włoskiego orzecha, ale my przecie z swawoli nie jedną zabijamy, a swawola okrutnie to każąca wada, często dla zabawki lub wprawy w strzelaniu młodzież pusta zrzuca z powietrza bujające pożyteczne ptaki, i to złe i szkodliwe przyzwyczajenie! Bóg stworzył pożyteczne stworzenia a ludziom dał rozum, aby poznać ten pożytek *stworzył je najczęściej drobne i kształtne*, *a niesmaczne*, aby je szanowano, dla czegoż poniewierać mamy dobrodziejstwa od Opatrzności nam dane, dla czegoż i w tem ma być człowiek zaślepionym zuchwalcem i sobie szkodliwym.

Na tem kończę opis *Jaskółki oknówki*, i jeżeli was zabawiłem i zająłem, jeżeli która z myśli tu skreślonych zawadzi w pamięci waszéj mili czytelnicy i zachowa się na przyszłość, to mnie wynagrodźcie zaraz obietnicą, że wpływać będziecie na kółka was otaczające, aby jaskółki kochano i szanowano, jak je kochali poprzednicy nasi, we wszystkich słowiańskich narodach, a pewny jestem że kto na te lube ptaszyny często badawczem okiem rzucać będzie, zajmie się niemi, pokocha je, pozwoli im klecić lepianki, — i słuchać będzie ch nucenia, a na końcu z zachowawczym naszym chłopkiem powiem, one, — te dobroczynne ptaszyny, błogosławieństwo na wasze domy sprowadzą, a tego wam pewnie potrzeba.

Olejów 19 stycznia 1859 r.

Kazimierz Wodzicki.

JESZCZE PARĘ MYŚLI

WZGLĘDEM UREGULOWANIA STOSUNKÓW WŁOŚCIAŃSKICH

w Królestwie Polskiem *).

Uregulowanie stosunków włościańskich w Królestwie, jako ściśle połączone z interesem właścicieli i wierzycieli hipotecznych, a nadto mające bezpośredni związek z produkcyą rolną krajową, bardzo mocno wszystkich prawie tutejszych mieszkańców obchodzi.

Tą jedynie ważnością przedmiotu przejęty, zamierzam odpowiedzieć na niektóre zarzuty poczynione przez p. Sulimę w *Dodatku do Czasu* za miesiąc wrzesień r. z., przeciwko projektowaniu przezemnie w *Dodatku do Czasu*

---

*) Lubo kwestya w któréj autor przesyła odpowiedź przeciętą została świeżym ukazem, wszelako przez wzgląd na interes jaki się wiąże do tego przedmiotu, a zwłaszcza na niesłychanie późne wydawanie zeszytów *Dodatku do Czasu* przez cenzurę warszawską, umieszczamy nadesłaną bardzo opóźnioną pracę. (P. A.)

za miesiąc czerwiec t. r. poprzedzeniu uwłaszczenia włościan ich oczynszowaniem.

1. P. Sulima obok łaskawego przyznania (str. 531), że podany przezemnie projekt jest bardzo szczęśliwie pomyślany, główną wadę tego projektu w tem upatruje, że on jest *czysto prywatnym* (str. 529), i że nie przedstawiam żadnéj rękojmi, iż środki jakie proponuję będą z pewnością oczynszowaniu posiłkować (str. 520).

Do winy téj najzupełniéj się przyznaję; projekt mój jest *czysto prywatny*, lecz nie spodziewałem się, że mu to za winę poczytane będzie, nie wiedziałem nadto, że projekt bezpośredniego uwłaszczenia ma za sobą jaką urzędową powagę.

Zdawało mi się, że skoro pod względem stosunków właścicieli dóbr prywatnych z włościanami w nich osiedlonemi, zapadł dotąd tylko ukaz z dnia 7go czerwca 1846 roku, który do czasu wydania ogólnych przepisów o urządzeniu włościan zniósł jedynie darmochy i najmy przymusowe, a zresztą wszystko in statu quo utrzymał, dozwalając wszakże (artykułem 5ym) właścicielom zawierać z włościanami umowy o oczynszowanie; ci zatem którzy proponują aby zniesienie robocizny nastąpiło w skutek uwłaszczenia, tak samo nie wiedzą czyli rząd pójdzie za ich zdaniem jak i ci, którzy proponują aby zniesienie to nastąpiło w skutek oczynszowania.

Przyznaję i to także iż nie mogę dać żadnéj rękojmi, że rząd zrobi ulgę w podatkach dla tych właścicieli, którzy czynszować będą miejscowych włościan, pomimo długów dobra obciążających; lecz i pan Sulima nie daje także żadnéj rękojmi że rząd dozwoli właścicielom odbierać do ręki całą indemnizacyę przyznaną za odjęcie gruntów włościańskich, a wierzycielom hipotecznym, którzy dotąd zabezpieczeni byli na całéj przestrzeni dominialnéj i włościańskiéj, każe poprzestać na hipotece samych tylko gruntów dominialnych.

2. P. Sulima utrzymuje że rezultata przywiedzionego przezemnie rachunku, dla tego tylko wypadły na korzyść oczynszowania, to jest wykazały większą pomoc pieniężną jakąby otrzymali właściciele w razie udzielenia pożyczki Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, na podstawie taxy pod warunkiem oczynszowania miejscowych włościan, jak w razie udzielenia obligów indemnizacyjnych po poprzedniem uwłaszczeniu włościan iż:

a) przyjąłem w rachunku jakoby jedno gospodarstwo włościańskie trzechdniowe wynosiło 20 morgów, co ma być za wiele (str. 522);

b) wartość jednéj włóki gruntów w posiadaniu włościańskiem będącej, wziąłem do rachunku przecięciowo po złp. 2,800, gdy ona ma znacznie więcéj wynosić (str. 521);

c) kurs obligów indemnizacyjnych przyjąłem na 80 %, gdy on również znacznie więcéj wyniesie (str. 522).

Zanim przystąpię do rozbioru tych trzech zarzutów, przytoczę naprzód zrobiony przezemnie rachunek, który wywołał tę krytykę.

Włościanie osiedleni w dobrach rządowych i prywatnych zajmując przecięciowo po 20 morgów miary nowopolskiéj, posiadają w ogóle 222,564 włók; przyjmując przeto wartość włóki na złp. 2,800 indemnizacya wynosiłaby złp. 623,179,200, że zaś obligi te nie będą stały wyżéj jak po 80 %, zatem właściciele dóbr otrzymaliby rzeczywiście tylko . . . . . złp. 498,543,360.

Gdyby zaś przyszło do oczynszowania poprzedzonego udzieleniem pożyczki Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego na podstawie taxy, w takim razie na 574,664 włók gruntów dominialnych i włościańskich możnaby dać

Z przeniesienia złp. 498,543,360.

pożyczki po zł. pols. 1500 na włókę czyli . . . . złp. 862,000,000
a że dotychczasowa pożyczka wynosi . . . złp. 360,000,000

dodatkowa wynosiłaby złp. 502,000,000
nadto pożyczka odnowiona wynosiłaby . . złp. 89,000,000

zatem pożyczka dodatkowa i odnowiona czyniłyby . . . . złp. 591,000,000
a licząc że listy zastawne IV okresu stać będą po 90 %, właściciele dóbr otrzymają . . . . złp. 532,000,000.

to jest więcéj jak w razie uwłaszczenia o złp. 33,456,640.

Przechodząc teraz z kolei powołane trzy zarzuty, znajdziemy:

ad *a*) W całym moim artykule nigdzie nie przywiodłem, że jedno gospodarstwo trzechdniowe wynosi morgów 20, lecz tylko że przecięciowo uposażenie włościan w dobrach prywatnych wynosi 20 morgów. Jeżeli zaś zważemy, że z rachunku tego wyłączone zostały osady niedochodzące trzech morgów; że oprócz osad pańszczyźnianych kmiecych, jest także bardzo wiele osad czynszowych dwuwłócznych i większych; że w większéj części dóbr po-rządowych osady włościańskie przeszło po włóce zajmują — to z pewnością twierdzić można, że przecięciowe uposażenie włościan nie jest mniejsze od 20 morgów.

Zresztą zarzut ten nie przeciwko mnie lecz za mnąby przemawiał — gdyby bowiem przecięciowe uposażenie jednéj osady włościańskiéj wyno-

siło, nie 20 lecz mniéj np. 15 morgów miary nowopolskiéj, w takim razie kapitał indemnizacyjny wynosiłby nie złp. 498,543,360, lecz o $^1/_4$ część mniéj, czyli złp. 373,907,520.

ad *b*) Przecięciową wartość włóki gruntu w Królestwie podałem na złp. 3,500, a mianowicie gruntów dominialnych na złp. 3,833, a włościańskich na złp. 2,800. P. Sulima uważa te cyfry za niskiemi, zapominając zapewne, że w ogół dóbr wchodzą także i rządowe, gdzie czynsz jest bardzo umiarkowany, że są okolice gdzie jeszcze z łatwością dostać można ziemi płacąc po złp. 2,000 za włókę i to właśnie w dużych obszarach, co mocno wpływa na zniżenie przecięciowéj wartości jednéj włóki gruntu.

ad *c*) Jeżeli kurs listów zastawnych, których ogólna wartość nie dochodziłaby $^2/_3$ części ogólnéj wartości gruntów zastawionych Towarzystwu Kredytowemu Ziemskiemu podałem do porównania tylko na 90% to czyliż utrzymywać można, że kurs obligów indemnizacyjnych, których ogólna wartość ma wyrównywać ogólnéj wartości gruntów zajmowanych przez włościan jest podaną za wysoko po 80 %?

Lecz zobaczmy czyli rzeczywiście potrzebowałem zniżać szacunek włóki zajmowanéj przez włościan do złp. 2,800, a kurs obligów indemnizacyjnych do 80 % aby wykazać, iż wartość dodatkowéj i odnowionéj pożyczki Towarzystwa kredytowego Ziemskiego wyniesie więcéj jak wartość przyznać się mogącéj indemnizacyi za odjęcie gruntów włościańskich.

Przypuśćmy na chwilę, że szacunek włóki gruntów właścicielskich wynosi nie 2,800 lecz 3,500 złp., a kurs obligów indemnizacyjnych nie 80 % lecz 90 %; w takim razie indemnizacya za 222,564 włók miary nowo-

polskiéj wynosiłaby złp. 778,974,000, które licząc po 90 % warte byłyby w gotowiźnie złp. 701,076,600.

Otóż dla zrównoważenia téj — śmiało rzec mogę — sztucznéj podwyżki, dosyć byłoby zaprojektować, aby przy udzielaniu odnowionéj pożyczki IV okresu Towarzystwa kredytowego Ziemskiego dawać przecięciowo na włókę, nie po złp. 1,500, lecz po złp. 1,900 — w takim razie na 574,664 włók gruntów dominialnych i włościańskich możnaby

dać pożyczki	złp.	1,091,861,600
a że dotychczasowa pożyczka wynosi . . .	złp.	360,000,000
dodatkowa wynosiłaby	złp.	731,861,600
do tego pożyczka odnowiona	złp.	89,000,000
zatem pożyczka dodatkowa i odnowiona czyniłyby	złp.	820,861,600

a licząc że listy zastawne IV Okresu stać będą po 90 %, właściciele dóbr otrzymaliby w gotowiźnie . . . . złp. 738,775440.

to jest więcéj jak w razie uwłaszczenia złp. 37,698,840.

Porównanie powyższe dostatecznie przekonywa iż niepotrzebowałem zniżać ani szacunku włóki ani kursu obligów indemnizacyjnych aby wykazać że właściciele dóbr mogą bez uwłaszczenia włościan otrzymać większą pomoc przez wypuszczenie IV seryi listów zastawnych opartéj na taxie; cyfry przeto jakie pierwotnie podałem, szacunku włóki zajmowanéj przez włościan na złp. 2,800, a kursu obligów indemnizacyjnych na 80 %, dla tego jedynie w téj wysokości zamieściłem, iż zdawało mi się że one są najodpowiedniejsze rzeczywistości — tak jak

6*

z drugiéj strony uważam, że dla utrzymania kredytu listów zastawnych pożyczka IV Okresu nie powinnaby przecięciowo wynosić na włókę więcéj jak złp. 1500.

3. P. Sulima rozbierając przykład jaki przytoczyłem dla pokazania co za rezultaty wyniknęłyby z przyjęcia jego projektu, iż właściciel dóbr może bez względu na wysokość długów obciążających jego majątek, podnieść dla siebie całą indemnizacyę za grunta włościańskie, a wierzytelności oparte dotąd na gruntach dominialnych i włościańskich, pozostawić przy hipotece samych tylko gruntów dominialnych dziwi się:

a) że Towarzystwo Kredytowe Ziemskie udzieliło 30,000 złp. pożyczki na wieś wartującą tylko złp. 100,000 (str. 524),

b) że Bank Polski na wioskę wartującą tylko 100,000 złp. i już obciążoną wierzytelnością Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego złp. 30,000, udzielił pożyczkę 20,000 złp. (str. 525),

c) że znaleźli się jeszcze tacy, którzy zgodzili się umieścić swoje kapitały na wiosce, którą już ciążą długi wynoszące połowę szacunku tejże wioski (str. 525),

d) że we wsi wartującéj złp. 100,000 jest tak dużo gruntów włościańskich, iż przyznać się mająca indemnizacya wynosi złp. 50,000. (str. 525).

Rozbierzmy te cztery zarzuty:

ad *a*) P. Sulima utrzymuje, że Towarzystwo Kredytowe Ziemskie nie przyznaje tak wysokich pożyczek (30,000 na wieś wartującą złp. 100,000) — tymczasem powszechnie jest wiadomo, iż *paręset* dóbr położonych w krakowskiem i lubelskiem ma przyznane pożyczki nie tak jak tu przytoczyłem niedochodzące $1/_3$ ich wartości, lecz przechodzące jéj połowę.

ad *b)* Ukazem Cesarskim z dnia 14go lipca 1845 roku, Bank Polski upoważniony został do rozpożyczenia ze swoich funduszów na dobra prywatne summy 20,000,000 złp. do wysokości $^2/_3$ szacunku każdych respective dóbr. Na wioskę wartującą przeto złp. 100,0000 Bank Polski może pożyczyć . . . . złp. 66,666 gr. 20.
że zaś na téj wiosce zahipotekowana już jest wierzytelność Tow. Kredytowego Ziemskiego w summie . . . . złp. 30,000 —
Bank ma prawo udzielić pożyczkę w summie . . . . złp. 36,666 gr. 20.
Podając więc pożyczkę Banku Polskiego na . . . . złp. 20,000 —
czyli mniéj o . . . . złp. 16,666 gr. 20.
niezasłużyłem o ile mi się zdaje na przytoczony przez p. Sulimę zarzut (str. 525): „Bank Polski „lepiéj dba od p. Aleksandra Ludwiga o pewność „swoich pożyczek, bo nigdy złp. 20,000 po 30,000 „złp. Towarzystwa na wioskę tak niskiéj warto„ści nie pożycza“, i owszem pamiętałem że Bank taxując tę wioskę przyjmie dla pewności swego kapitału szacunek niższy $^1/_4$ część od rzeczywistego, czyli zamiast 100,000 złp. tylko 75,000 złp., $^2/_3$ części tego szacunku wyniosą . . . złp. 50,000
z czego strąciwszy wierzytelność Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego . . . złp. 30,000
Bank Polski udzieli tylko . . . . . . złp. 20,000

ad *c)* P. Sulima dziwi się, że znalazł się taki, który pożyczył na wioskę obciążoną już długami dochodzącemi połowy jéj wartości.

Wzajemnie nam dziwić by się potrzeba, że p. Sulima jakoby w Królestwie Polskiem piszący nie

wie czy nie chce wiedzieć, iż własność ziemska Królestwa obciążona jest przeszło 1,000,000,000 złp. długu, i że na parę tysiącach majątków ziemskich długi przewyższają połowę ich wartości.

ad *d*) Podług podanéj przezemnie taxy przecięciowa wartość jednéj włóki gruntów włościańskich wynosi złp. 2800 — a folwarcznych złp. 3,833; a zatem we wsi którą jako przykład przywiodłem, byłoby blisko 18 włók gruntów włościańskich, za które indemnizacya wynosiłaby złp. 50,000, i przeszło 13 włók gruntów dworskich — otóż wiadomo powszechnie że jest przynajmniéj *kilkaset* dóbr w Królestwie gdzie grunta włościańskie wynoszą więcéj jak $^3/_5$ ogólnéj rozległości respective dóbr.

4. P. Sulima dziwi się niezmiernie (str. 535) jak mogłem zaprojektować aby włościanie przez 6 lat po ich oczynszowaniu byli obowiązani wychodzić na najem, uważa to bowiem za zupełnie przeciwne ukazowi z dnia 7go czerwca 1846 roku, który zniósł wszelki najem przymusowy.

Przedewszystkiem przytoczyć wypada, że najem przymusowy nie został wcale pomimo zapadnięcia ukazu z dnia 7go czerwca 1846 r. skasowany od włościan trzymających grunta na podstawie kontraktów piśmiennych zobowiązujących ich do odbywania obok czynszu najmu przymusowego — tu bowiem rząd uważał najem ten jako kompletujący czynsz w gotowiźnie uiszczany.

Jeżeli zatem pomimo ukazu z roku 1846 najem przymusowy w bardzo wielu wsiach został utrzymany, jakkolwiek w niektórych kontraktach ani co do ilości dni, ani co do wysokości wynagrodzenia nie jest wcale określony — nie ma powodu dla czegoby rząd miał zabraniać aby przy zawieraniu kontraktów czynszowych wolno było zastrzegać odbywanie przez lat 6 najmu co do ilości dni, rodzaju roboty i wysokości wynagrodzenia

dokładnie określonego; tem bardziéj że w istocie rzeczy nie ma żadnéj różnicy czyli kto zastrzeże w kontrakcie wieczysto-czynszowym, że przez pierwsze 6 lat po oczynszowaniu włościanie obowiązani będą obok opłacania 1200 złp. czynszu odrabiać 100 dni rocznie do żniwa, a po upływie lat sześciu uwolnieni zostaną od odrabiania 100 dni do żniwa, obok jednoczesnego podniesienia opłaty czynszu do złp. 1,400; lub też że włościanie płacić będą złp. 1400 rocznego czynszu, a niezależnie od tego przez pierwsze sześć lat wychodzić na najem do żniwa dni 100 za opłatą po złp. 2 za jeden dzień — to ostatnie zastrzeżenie jest nawet dla obudwóch stron korzystniejsze; bo gdy w pierwszym razie dziedzic musi skonsumować te 100 dni, a tem samem wymagać ich od włościan, pomimo że mógłby nająć innych ludzi za cenę niższą od 2 złp., w drugim razie mając tylko prawo do żądania najmu, może takowego wcale niewymagać. Tym sposobem najem ten straci zaraz w pierwszym roku naturę przymusowego, gdyż i ilość dni i cena najmu będzie zupełnie dobrowolną, i jeden osadnik mający mniejszą rodzinę będzie go mógł wcale nie odbywać, drugi obarczony liczniejszą rodziną, lub mający mniejszą osadę, może nie 20 lecz 60 dni odbyć do żniwa, aby mieć z czego czynsz zapłacić.

5. P. Sulima obstając za dozwoleniem właścicielom dóbr podniesienia całego kapitału indemnizacyjnego bez względu na wysokość długów dobra obciążających, którym pragnie tylko przekazać na bezpieczeństwo grunta dominialne, utrzymuje:

a) że skoro pańszczyzna nie jest niczem innem jak tylko kapitałem obrotowym (str. 527), zatem obligi indemnizacyjne, które tę pańszczyznę po uwłaszczeniu zastąpią nie do rąk wierzycieli lecz właściciela dóbr przejśćby powinny.

b) że gdyby który z wierzycieli nie chciał poprzestać na hipotece gruntów dominialnych, będzie miał prawo (str. 527) wystawić dobra na przymusowe wywłaszczenie.

Rozbierzmy to usprawiedliwienie:

ad *a*) Właściciel dóbr nawet obdłużonych ma prawo ciągnąć z dóbr wszelkie dochody właśnie dla tego aby mógł między innemi zapłacić procent hipotecznym wierzycielom — ma prawo przeto zużywać pańszczyznę tak samo jak po oczynszowaniu będzie miał prawo pobierać corocznie czynsze, w obudwu tych bowiem razach nie narusza kapitału lecz tylko bierze procent.

Jeżeli wszakże część dóbr przestaje do ich składu należeć, a tem samem przynosić dochód, wynagrodzenie za przestrzeń odpadłą nie może należeć do dziedzica, który podług prawa hipotecznego ma niższe prawo od wszystkich wierzycieli majątek jego obciążających, którzy też niezaprzeczenie mają pierwszeństwo przed właścicielem do odebrania wynagrodzenia za odpadającą przestrzeń.

Dla tego też gdyby który z właścicieli dóbr obdłużonych chciał był przed rokiem 1846, wtenczas kiedy jeszcze układy zawierane pomiędzy właścicielami dóbr i włościanami nie uległy wcale zatwierdzeniu władz administracyjnych, uwolnić włościan od odbywania powinności w naturze za jednorazowem wynagrodzeniem, właściwy wydział hipoteczny nie byłby pozwolił na wzięcie tego okupu przez właściciela, a p. Sulima nadaremnieby wołał (str. 527): „W czem lepszy ma być wierzyciel „od właściciela, by jemu a nie właścicielowi ka„pitał taki przysądzać — tego prawdziwie pojąć „niepodobna.“

Prawo hipoteczne nie ogranicza się nawet na daniu wierzycielowi pierwszeństwa przed właścicielem do podniesienia bonifikacyi za grunta odpadające, daje mu ono prawo niezgodzić się na umówiony szacunek pomiędzy stronami, to jest że dziedzic dóbr obdłużonych nie mógł nawet przed rokiem 1846 uwolnić włościan od odbywania powinności za dobrowolnie umówionem jednorazowem wynagrodzeniem, pomimo przekazania całkowitego wynagrodzenia na rzecz wierzycieli, jeżeli wynagrodzenie to nie przewyższało wszystkich wierzytelności, a pozostali wierzyciele nie zgadzali się na wypuszczenie z pod zastawy gruntów włościańskich; w tym ostatnim razie włościanie mogli tylko albo nie wchodzić z właścicielami w układ o okup, albo poręczyć za długi właściciela, to jest dać wierzycielom ewikcyą na okupionych przez siebie gruntach, które tem samem nieodpadały już od reszty gruntów dominialnych i pozostawały w całkowitości pod zastawą.

Zastrzeżenie takie było niezbędnie potrzebnem dla zasłonięcia wierzycieli od strat na jakie narażeniby zostali, gdyby właściciele dóbr nadmiernie obdłużonych dla obejścia praw wierzycieli, wziąwszy poprzednio tajemnie część wynagrodzenia do ręki, odstępowali następnie włościanom pańszczyźnianym zajmowane przez nich grunta za summy znacznie niższe od skapitalizowanych czynszów.

Obowiązujące pod tym względem przepisy tak dalece nawet posunęły szanowanie praw wierzycieli hipotecznych, że podług postanowienia rady administracyjnéj z dnia 18go czerwca 1852 roku, przy wywłaszczeniu części dóbr na rządowy lub inny publiczny użytek — jakkolwiek wynagrodzenie za odpadającą przestrzeń wypłaca rząd, a tem

samem żadna zmowa na stratę wierzycieli nie może mieć miejsca, aby jednak właściciele dóbr obdłużonych nie byli mniéj dbali o wysokość wynagrodzenia, a przez to nie narazili na jaki uszczerbek wierzycieli hipotecznych; — artykuł 18ty powołanego dopiero postanowienia opiewa: „Jeżeli szacunek przez rząd postąpiony nie wy„starcza na zaspokojenie wierzycieli, po datę wnie„sionego ostrzeżenia, do hipoteki wpisanych i na „zaspokojenie należności uprzywilejowanych, w ta„kim razie należy zawiadomić wszystkich mających „wpisy hipoteczne o zamiarze zajęcia nieruchomo„ści, aby praw swoich przy oszacowaniu pilno„wali. Zawiadomienie to powinno im być wręczo„ne przynajmniéj na dni 8 przed terminem do „oszacowania wyznaczyć się mającym z dodaniem „czasu na odległość ich zamieszkania.“

P. Sulima jednym zamachem pióra chce obalić główną podstawę prawa hipotecznego, wyjmując z pod zastawy w całem Królestwie grunta zajmowane przez włościan, i jak powyżéj dosłownie przytoczyłem, mocno się dziwi że są tacy, którzy inaczéj od niego prawo hipoteczne pojmują.

ad *b*) Wprawdzie p. Sulima nie chcąc niejako zupełnie zapomnieć o obowiązującem u nas prawie hipotecznem, powiada (str. 527), że wierzyciele, którzy nie będą chcieli czekać na ich zaspokojenie, w przyszłości przez właściciela będą mieli pozostawioną wolność subhastowania majątków, lecz wszędzie tam gdzie wierzytelność przewyższa wartość gruntów dominialnych, wolność ta ograniczy się na poniesieniu nowych wydatków, z których część jeszcze się nie zwróci, i zyska się tylko zupełną pewność, że wartość gruntów dominialnych nie pokrywa długów dobra obciążających — naturalne

następstwo wyjęcia z pod zastawy gruntów włościańskich, które sam dziedzic obciążając majątek długami, oddał pod zastawę.

6. P. Sulima utrzymuje, że nie proponował wcale aby za podstawę do obrachowania wysokości wynagrodzenia przypadającego właścicielom za uwłaszczenie włościan, rachować wartość dnia pieszego równo w całym kraju po złp. 1. (str. 539).

Pisząc to p. Sulima nie miał widać pod ręką artykułu swego zamieszczonego w *Dodatku do Czasu* za miesiąc listopad 1857 roku gdzie znajdujemy (str. 420): „Czyli zasada do oszacowania zagrody na złp. 3,000, „bezwzględnie na okolice, w któréj zagroda jest położona, a zatem bezwzględnie na rodzaj gleby wzięta „i ustanowiona jedynie na podstawie oszacowania dnia „pieszego pańszczyzny na złp. 1, jest sprawiedliwą lub „nie, *i czyli mogłaby być przyjętą do oszacowania gruntów włościańskich przy uwłaszczeniu włościan w całym „kraju?*

„Zdaje nam się że łatwiejszéj, więcéj postępowanie „upraszczającéj, a nawet prawniejszéj, słuszniejszéj i z wolą i myślą rządu zgodniejszéj zasady wynaleść trudno.

„Jest łatwą, bo łatwy i gotowy już rachunek prowadzi za sobą, to jest ocenienie każdego kawałka ziemi, „przez ilość dni pieszych po złp. 1 oszacowanych, z niego odrabianych, a dnie ciągłe, sprzężajne, z łatwością „sposobem gospodarskim do dni pieszych zredukować „można.

„Jest postępowanie upraszczającą, bo uwalnia od klasyfikacyi, detaxacyi i pomiaru gruntów; wszystko to „bowiem jest w saméj naturze dzisiejszéj pańszczyzny, „którą za podstawę bierzemy. Albowiem gdzie gorsze „są grunta, tam zwykle jest ich więcéj do zagrody przywiązanych, na tęż samą ilość dni pańszczyźnianych „w tygodniu. To jest że są okolice gdzie włościanie też

„same 3 dni na tydzień robią z 5 morgów, które w innych okolicach robią z morgów 7 lub 10 i t. p. w miarę ich dobroci. Pańszczyzna więc od wieków dopełniła już klasyfikacyi, detaxacyi, pomiaru.“

„Jest prawną i słuszną, bo najprzód używalność odwieczna, przez nikogo nieskarżona, moc prawa jéj nadaje. Powtóre każde nowe urządzenie, na podstawie praw dawnych dopełnione być winno, jeżeli niczyim prawom nie ma przesądzać i tych nadwerężać. Mając więc zasadę z prawa odwiecznego, że się tak wyrazimy, pod stopami naszemi, bo na zasadzie téj od wieków stoją strony obiedwie, pocóż koniecznie kuć nową zasadę, i w kuźni téj otwierać wrota do nadużyć, wymyślać zachody, trudność i koszta od wieków już usunięte i rzecz całą na niepotrzebną przewłokę i jeszcze niepotrzebniejsze koszta i trudności narażać?“

„Jest nakoniec z wolą i myślą rządu zgodna, bo po ukazie roku 1846, już u nas nie może być właściwie mowy o nadaniu włościan własnością, tylko o wykupieniu pojedynczem każdego z pańszczyzny. Wspomniony bowiem ukaz nadał już własnością chłopów, a to bezwzględnie na wartość gruntów: 1) Zabraniając dziedzicom wcielenia gruntów włościańskich do gruntów dworskich. 2) Wkładając na dziedziców obowiązek koniecznego w przeciągu lat 3 osiedlania opuszczonych gospodarstw. 2) Zabraniając pod jakim bądź pozorem rugować włościan osiadłych. 4) Zabraniając nawet w razie pretensyi za długi u włościan, tamować im możność wydalenia się z gruntu i przenoszenia się z miejsca na miejsce, i ukaz ten jest z całą ścisłością w wykonanie wprowadzony. Już więc dzisiaj są włościanie ogólnemi właścicielami wszystkich gruntów włościańskich w całym kraju, i to na mocy niczem cofnąć się niemogącego najwyższego ukazu, o wykupnie więc tylko ich z pańszczyzny mowa być może, a zatem winni

„oni też pańszczyznę dziedzicom zapłacić, czyli co na „jedno wychodzi, pańszczyzna a nie grunt szacowana „być winna przy uwłaszczeniu, a ztąd oszacowanie dnia „pieszego jest jedynie zgodną z ukazem roku 1846 „zasadą.“

7. P. Sulima utrzymuje (str. 541), że jedną z przyczyn robiących go tak gorliwym zwolennikiem uwłaszczenia, że nawet przeciwny jest oczynszowaniu, któreby przeprowadziło tylko włościan do uwłaszczenia, jest ta przyczyna aby się niewystawiać na niekorzystne porównanie w umysłach ludu, zasad koniecznych dla właścicieli dóbr prywatnych z zasadami przez rząd przyjętemi.

P. Sulima nie zwrócił widać uwagi, że jeżeli rząd przystąpi do bezpośredniego uwłaszczenia włościan pańszczyźnianych w dobrach prywatnych osiedlonych, to tem bardziéj uwłaszczy, — jeśli nie wcześniéj jak włościan osiedlonych w dobrach prywatnych, to przynajmniéj jednocześnie z niemi— włościan osiedlonych w dobrach rządowych, których $^3/_4$ części już jest urządzonych i oczynszowanych; inaczéj bowiem za lat trzydzieści kilka stan włościan osiedlonych w dobrach prywatnych byłby znacznie lepszym od stanu włościan osiedlonych w dobrach rządowych — pierwsi bowiem po umorzeniu obligów indemnizacyjnych płaciliby tylko podatki skarbowe i ponosili ciężary gminne, gdy włościanie osiedleni w dobrach rządowych, prócz podatków skarbowych i ciężarów gminnych płaciliby nadto czynsz z gruntu — po jednoczesnem przeto uwłaszczeniu pozostanie znowu ta sama różnica pomiędzy opłatami wnoszonemi przez włościan osiedlonych w dobrach prywatnych i rządowych.

8. P. Sulima w obronie podanego przez siebie projektu, przytacza (str. 531), że do jego urzeczywistnie-

nia nie wzywa się niczyjéj pomocy wyjąwszy stron głównie interesowanych.

Mnieby się zdawało, że do urzeczywistnienia projektu p. Sulimy, potrzeba bardzo ważnéj rzeczy, o któréj wcale nie wspomina to jest zupełnego obalenia prawa hipotecznego.

P. Sulima przyznać raczył, że mnie o złe chęci dla właścicieli (str. 519 i 520) posądzić nie można — z jakąż przykrością wyznać mi wypada, iż nie mogę coś podobnego powiedzieć o chęciach p. Sulimy dla wierzycieli hipotecznych.

Pomijając bowiem zdeptanie kardynalnych zasad prawa hipotecznego, p. Sulima pała przeciw nim jakąś nienawiścią która mu niedozwala z zimną krwią na ich interesa się zapatrywać i dla tego często sam z sobą jest w sprzeczności.

Wtenczas kiedy wszystkim jest wiadomo, że niezależnie od wierzytelności Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, kilkaset milionów złotych polskich zahipotekowanych jest na dobrach prywatnych, co i sam p. Sulima przyznaje, utrzymując (str. 534), że dodatkowa i odnowiona pożyczka Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego kilkaset milionów złotych polskich wynoszące, pójdą na zaspokojenie wierzycieli hipotecznych, w drugiem miejscu przywodzi że hipotecznych kapitalistów jest (str. 523) bardzo mało: „a wszyscy co są, tylko przy-
„padkowo, w skutku rozmaitych najczęściéj spadkowych
„stosunków, nie w chęci pomożenia rolnictwu, ale przez
„niemożność odebrania kapitałów, z temiż na hipotekach
„dóbr ziemskich pozostali.“

Jeżeli przeto kapitaliści w skutku spadkowych stosunków pozostali z swemi summami na dobrach, są to więc dawni posiadacze dóbr, na których p. Sulima tem samem niepotrzebnie się tak unosi.

W podanym przezemnie projekcie starałem się niespuszczać z uwagi tak interesów właścicieli jak i kapitalistów, bo zdawało mi się, że o prawach tak jednych jak drugich zapominać nie należy.

Widząc, że dokonanie uregulowania stosunków włościańskich jest konecznem, projektowałem aby dla ułatwienia właścicielom przeprowadzenia téj reformy gospodarczéj, udzielić im odnowioną i dodatkową pożyczkę Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego na taxie opartą.

Pożyczka ta posłużyłaby właścicielom niezadłużonym do zaprowadzenia gospodarstwa parobczanego, a zadłużonych uwolniłaby od długów prywatnych, od których wygórowane procenta płacić są zniewoleni.

Jakkolwiek zaś i ci ostatni po zastąpieniu długów prywatnych długiem amortyzującym się Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, mogliby szukać u kapitalistów prywatnych dodatkowéj pożyczki, tem łatwiéj zaciągnąć się mogącéj, gdy świeża taxa szacunek majątku udeterminuje; aby jednak nie obciążać nadmiernie hipotek dóbr prywatnych, — a szczególniéj aby przyjść w pomoc tym właścicielom, którzy mają dobra tak bardzo obdłużone, że dodatkowa i odnowiona pożyczka Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego część tylko długów prywatnych zastąpi, projektowałem aby takich właścicieli rząd uwolnił od ponoszenia przez niejaki czas podatków skarbowych, wyraźnie dodając, że jeżeli skarb nie byłby w stanie tego niewielkiego wydatku przez lat kilkanaście ponieść, w takim razie wypadałoby nałożyć nowy podatek na spadki w prostéj linii, co właśnie dotknęłoby kapitalistów, którzyby tem samem przyczynili się do poniesienia kosztów, jakie za sobą pociągnie potrzeba uregulowania stosunków włościańskich, chociaż oni i drugiego doznaliby uszczerbku w razie przyjęcia mojego projektu, bo wypuszczenie w obieg 591,000,000 złp.

w listach zastawnych, wpłynęłoby bez najmniejszéj wątpliwości na zniżenie stopy procentowéj, a tem samem i dochodów kapitalistów, z czegoby znowu korzystali właściciele ziemscy potrzebujący obok pożyczki podwyższonéj Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego jeszcze sum prywatnych.

Gdyby p. Sulima utrzymywał, że powołana wyżéj pomoc dla właścicieli jest za mała, że należy zawieszać podatki i tym nawet, których ja wyłączyć od tego dobrodziejstwa proponowałem, a mianowicie:

a) właścicielom, którzy nie przystąpią do Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego;

b) właścicielom, którzy całą lub część pożyczki dodatkowéj i odnowionéj Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego wezmą do ręki;

c) właścicielom tych dóbr gdzie włościanie są już oczynszowani i odbywają tylko dodatkowe powinności w naturze;

d) właścicielom tych dóbr gdzie włościanie jakkolwiek stałą tygodniową robociznę odbywający, zajmują mniéj jak $^2/_{10}$ części ogólnéj rozległości dóbr;

jednem słowem, gdyby był zdania, że należy zawieszać podatki wszystkim właścicielom, którzy czynszować będą osiedlonych w ich dobrach włościan, gdyby daléj utrzymywał, że należy zawieszać podatki nie tak jak ja proponowałem po złp. 2 gr. 15 za każdy utracony dzień robocizny sprzężajnéj, a po złp. 1 za każdy utracony dzień robocizny pieszéj, lecz za dnie sprzężajne po 5 złp., a za dnie piesze po 2 złp. — i gdyby na pokrycie tego wydatku proponował nie już opłatę stęplową od sukcesyi w prostéj linii ale podatek dochodowy, możnaby w takim razie zarzucać p. Sulimie, że za wielkich ofiar po kapitalistach na rzecz właścicieli ziemskich wymaga, lecz nie możnaby mu zarzucić że idzie mu o wyrządzenie krzywdy pewnéj części kapitalistów,

a mianowicie tym, którzy ulokowali swoje summy na dobrach zasiedlonych przez włościan.

Tymczasem w projekcie p. Sulimy widzimy na pierwszym planie nie chęć przyjścia w pomoc właścicielom ziemskim czynszującym osiedlonych u nich włościan, lecz chęć ukrzywdzenia wierzycieli mających zabezpieczone swoje summy na dobrach zasiedlonych włościanami: bo nietylko proponuje znaglić wierzycieli hipotecznych do brania al-pari obligów indemnizacyjnych, ale co ważniejsza dozwolić właścicielom dóbr najbardziéj nawet obdłużonych wziąść do ręki całą indemnizacyę za grunta włościańskie, a znaglić wierzycieli, którzy dotąd mieli zabezpieczone swoje summy na gruntach dominialnych i włościańskich, pozostać przy hipotece samych tylko gruntów dominialnych.

Pisałem w Warszawie w miesiącu lutym 1859 roku.

Aleksander Ludwig.

TRACHIŃSKIE DZIEWICE.

Tragedya Sofoklesa.

Osoby:

Dejanejra; żona Heraklesa.
Służebnica.
Hyllos; syn Dejanejry i Heraklesa.
Chór dziewic trachińskich.
Lichas.
Poseł.
Mamka.
Starzec.
Herakles.

WSTĘP.

(PROLOGOS).

Rzecz dzieje się przed pałacem króla Keyksa w Trachis.

DEJANEJRA.

Sędziwe śmiertelników przysłowie opiewa:
„czy fortuna zawistna ludziom, czy życzliwa,
„nie zbadasz, póki życie ich nie dójdzie kresu“.
Ja przecie, nim do ciemnic zstąpiłam Hadesu,
wiem, że mnie dręczy ciężko los niemiłosierny.
Bo jeszcze w domu ojca Ojneja w Pleuronie
mieszkając, do małżeństwa w duszy wstręt niezmierny
miałam, jak żadna w dziewic Etolijskich gronie.
Tam potok Acheloos za mną się ubiegał,
w trzech kształtach na rodzica prośbami nalegał,
z istnego wprzód buchaja w postać zwitą smoka
z pstrokatą siercią, wreszcie mieniąc się w otroka
z buchaja łbem, a z gęsto porośniętéj brody
lały się ponikami czystéj zdroju wody.
Takiego oczekując w domu zalotnika,
życzyłam śmierci raczéj sobie, nieszczęśnica,
niżby mię czekać miała tak straszna łożnica.
Nareszcie duszę promień radości przenika:

syn Alkmeny i Zeusa zacny się nagodził,
co z owym walkę stoczył i mnie wyswobodził.
Wżdy nie opiszę boju — nic też niewiem prawie —
niech skreśli, kto bez trwogi siedział przy rozprawie.
Jam niema, drżąca w sercu na tę myśl truchlała,
by kiedy nie przymnożył męki wdzięk mi ciała.
Pomyślny koniec znojom zrządził Zeus, stróż boju,
nuż w istocie pomyślny. Odkąd żoną swoją
Herakles mnie nazywa, ja wciąż się frasuję
o męża i strach strachem żywię. Bo noc długa
strapienie zsyła na mnie; to przejąwszy druga
nową następnéj nocy troskę przekazuje.
I mamy wprawdzie dziatki; wżdy on je widuje
czasami tylko, niby kmieć odległe pole,
raz gdy sprząta, raz drugi gdy obsiewa rolę.
Taki los wiódł małżonka do domu i z domu;
odrabiał on pańszczyznę, sama niewiem, komu!
A teraz, gdy zwycięzko wyszedł z walk tych znoju;
najzjadlejsze me serce troski niepokoją.
Dzielnego bo Ifita gdy życia pozbawił,
nam tu w Trachinie przyszło na wygnaniu siedzieć
u przyjaciela; on zaś gdzie pobiegł, niewiedzieć;
mnie tylko żalu więcéj po sobie zostawił.
Wiem prawie, że go jakieś nieszczęście spotkało;
w gościnie bowiem bawi czasu już nie mało;
piętnasty miesiąc mija — gońca dotąd nie ma,
zaiste uciążliwa dola go tam trzyma.
Ot tę tabliczkę dał mi, wychodząc z tych progów,
by klęsk nie sprowadziła, często błagam bogów.

SŁUŻEBNICA.

Dejanejro! pani! często z twéj źrzenicy
dostrzegłam łzy śród jęków płynące okwicie,
że nic nie wiesz o męża Herakla pobycie.
Teraz, nuż słusza, żeby radą niewolnicy

pouczyć panią, powiem zwięźle moje zdanie.
Bogataś, pani, w synów; otóż z nich jednemu
chciéj poruczyć małżonka twego odszukanie.
Hyllowi mianowicie, gdyż godzi się temu,
jeźli go trochę dola obchodzi rodzica,
dociekać, czy statecznie szczęście mu przyświeca!
Ot właśnie pędem biegnąc domu już dopada.
Skoro więc w porę dana zdaje ci się rada,
z niéj i z syna korzystaj teraz podług woli.

(Hyllos nadchodzi).

DEJANEJRA.

Drogi synu! i w uściech ludzi podłej doli
znajdzie się zacna rada. Oto ta kobieta,
acz służy, mnie szlachetną mową dzisiaj wita.

HYLLOS.

Jaką? mów, matko, jeźli wiedzieć ją się godzi.

DEJANEJRA.

Że hańbą się okryjesz, synu mój, nie dociec,
gdzie na wędrówce bawi od tak dawna ociec.

HYLLOS.

Wiem, jeźli wiarogodna powieść mnie dochodzi.

DEJANEJRA.

I gdzież według pogłoski rodzic osiadł w świecie?

HYLLOS.

W orkę łońskiego roku Lidijskiéj kobiecie
na długo się zaprzedał, jak głoszą, w niewolę.

DEJANEJRA.

O wszystkiem się dowiemy, nuż tę przeżył dolę.

HYLLOS.

Wszelako już, tak słychać, ztamtąd uwolniony.

DEJANEJRA.

Kędyż przebywa teraz, żyw lub pogrzebiony?

HYLLOS.

Podobno wtargnął z wojskiem w Eubojską ziemicę,
lub wkroczy nie zadługo w Euryta stolicę.

DEJANEJRA.

Wiesz-li, że mi nie mylne wyroki, mój synu,
zostawił rodzic, zwisłe nad ową krainą?

HYLLOS.

Nic nie wiem, matko! Powiedz, cóż wróżą wyrocznie?

DEJANEJRA.

Albo z żywota końcem tam na zawsze spocznie,
albo zwycięzkim laurem uwieńczywszy skronie
będzie wiódł nadal życie na dostatków łonie.
W téj więc stanowczéj chwili nie pobieżysz, synu,
połączyć z nim twe siły do dzielnego czynu?
Bo nas wespół ocali ojca ocalenie,
a upad do upadku wspólnego pożenie.

HYLLOS.

Natychmiast pójdę, matko! Gdybym sądy boże
był znał, oddawna stałbym już przy ojca boku,
teraz, gdy wiem, usilnie starania dołożę,
by prawdy dójść, aż szczera stanie na widoku,
acz szczęście, co niezłomnie z ojcem się przyjaźni,
nam w smutku żyć zabrania i w zbytniéj bojaźni.

DEJANEJRA.

Bież synu! Bo ten nawet, co późno przychodzi,
zysk ma z wieści, że komuś dobrze się powodzi.
(Hyllos odchodzi).

(*Pierwsze wystąpienie chóru.* Parodos).

Śpiew chóru.

Strofa 1.

Heliosa, Heliosa,
co go noc gwiazdami tkana
rodząc wwodzi na niebiosa,
od światłości pokonana —
i do łoża snu układa,
boga światła słowy temi
błagam: Kędyż syn przesiada —
syn Alkmeny — na téj ziemi,
boże ogniem gorejący?
Czy po głębiach mórz się pławi,
żali w jednéj z ziem dwóch bawi,
mów — tyś wzrokiem przodujący.

Antistrofa 1.

Ach! bo prze tęsknotę srogą
Dejanejrę wywalczoną
widzę, by ptaszkę niebogą,
w żalu wciąż nieutuloną.
Choć łez wysechł zdrój w zrzenicy,
rzęsa przecie we łzach tonie
bez przestanku dla tęsknicy.
Na małżonka w obcéj stronie
pomną dręczy obraz trwogi,
że na wdowiem łożu marnie
więdnąc czeka, aż zagarnie
ją nieszczęsną los złowrogi.

Strofa 2.

Jak fale nieprzebrane na szerokiem morzu,
kiedy Notos i Borras szalenie się srożą,
to naprzód się wspinają, to w tył tłumnie toczą,
tak mnożą się i Kadma wnuka trudy tłoczą,
by kretyjskie bałwany, mnogie. Wżdy ktoś z bogów
szczęśliwego wstrzymuje od Hadesa progów.

Antistrofa 2.

Z czcią cię karcąc przeciwną radę ci przynoszę:
w dni szczęśliwsze nadziei nie trać, pani, proszę;
i wszechwładny Kronida nie miał mocy tyle,
śmiertelnym zatruć wszystkie bólem życia chwile.
Wkoło roskosz do wszystkich i strapienie dąży,
jak po niebie gościńcem jednym Arktos krąży.

EPODOS.

Noc gwiaździsta, niedola, bogactwa niestałe;
wnet przeminą. Tam roskosz a bieda tu wleci.
Zaczem ty też, królowo, nadzieje miéj trwałe;
któż słyszał, żeby Zeus tak dbał mało o dzieci!

(*Pierwsze Epejzodion*).

DEJANEJRA.

Słysząc, jak słusznie wnoszę, że ból mi doskwiera,
przybiegłaś; lecz jak duszę trawi i pożera,
nie doświadczaj; trosk takich nieświadomaś ninie.
Bo młodość rzeźwa w owéj osobnéj krainie
podrasta, kędy bóg nie dopieka posuchy,
ni deszcz nie wstrząsa niczem, ni wiatrów podmuchy.
Znojów wolna roskosznie młodość błoga bieży,
aż która za dziewicy miano żony dzierzy
i wespół ma w podziale pełne trosek noce,
kiedy się o małżonka lub dzieci kłopoce.

Otenczas się przekona, baczna na swą dolę,
jak nieznośne mi trwale dokuczają bole!
Oh! już z strapienia oczy w łzach pływały nieraz
Lecz więcéj nic mnie nad *to*, co wam powiem teraz
nie zmartwiło. Ostatni raz gdy się wyprawił
książę Herakles w drogę, wtedy pozostawił
tablicę starą w domu z rytemi roskazy,
krórych nie śmiał objawić dawniéj mi, choć boje
mordercze na wyprawach staczał tyle razy;
bo przewag chciał dokonać, nie gardło dać swoje.
Wżdy teraz, by przed śmiercią, rzekł, w oprawie wiele
wdowiéj mam odziedziczyć — nadto co w podziele
z ojcowskiéj posiadłości każde weźmie z dzieci,
i czas oznaczył naprzód. „Bo gdy miesiąc trzeci
„po roku minie, odkąd z krajem się rozstałem,
„natenczas", mówił, „albo gardło pewnie dałem,
„lub przeżywszy wskazany czas, już za powrotem
„przebędę niezatrutą dni resztę kłopotem".
Tak więc, bo tak niezmienne bogów chcą wyrocznie,
po Heraklowych trudach, sam dodał, wypocznie;
ręcząc, że słyszał niegdyś na sędziwym dębie
w Dodońskim lasku dwa to wróżące gołębie.
A sprawdzić się powinno wszystko według czasu
rozmiaru wkrótce. To też ze słodkiego wczasu
nocnego, drogie, przestrach zatrwożoną budzi,
że stracić mogę męża, najlepszego z ludzi.

PRZODOWNICA CHÓRU.

Stłum niedobre przeczucia. Uwieńczony śpieszy
mąż, widzę, jakiś ku nam; może cię pocieszy.

GONIEC. (nadchodzi).

Dejanejro! Pani! pierwszy troskę z głowy
wywabię ci, bo żyje, wiedz, syn Alkmenowy,

i zwycięzcą z wyprawy wraca do swych progów,
niosąc pierwiastki łupów dla rodzinnych bogów.

DEJANEJRA.

Jakie-to mi przynosisz, starcze wiadomości?

GONIEC.

Że małżonek wielbiony już tu w pobliskości
z siły zwycięzkiéj pocztem wnet przed tobą stanie.

DEJANEJRA.

Któż o tem doniósł tobie, obcy czy mieszczanie?

GONIEC.

Na wygonie pastewnym Lichas poseł jawnie
ogłaszał w obec wielu. Ja słysząc, niebawnie
przybiegłem, by doniósłszy pierwszy o tem tobie,
odnieść korzyść choć małą, zyszcząc wdzięczność sobie.

DEJANEJRA.

Sam czemuż się ociąga, gdy mu szczęście służy?

GONIEC.

Niewiasto! mnóstwo przeszkód doznał na podróży.
Melijski lud go tłumnie obstąpił do koła
i bada i nalega, tak że ujść nie zdoła.
Bo gdy każdy chce słyszeć, o co tęskny stoi,
nie puści, aż ciekawość swoją zaspokoi,
Tak on, uległszy woli ich, chociaż się zżyma,
został; lecz wnet własnemi ujrzysz go oczyma.

DEJANEJRA.

O Zeusie, co nieżęte Ojty dzierżysz smugi,
przecież nas pocieszyłeś po trosce przydługiéj!

Radujcie się niewiasty, wesoło, rozgłośnie,
wy w domu, wy przed domem, bo mi serce rośnie,
słysząc wieść niespodzianą, co tak brzmi radośnie!

CHÓR.

(hymn dziękczynno-bachancki).

Niech się rozlega radość krzykami,
dziewice, cały dom, —
Głoście, młodzieńcy, Apollona z nami,
opiekuna, co grom
niechybny ciska z kołczanu;

Nastrójcie, dziewki, głosy do peanu!
Artemis, jego krew,
panią Ortygską, myśliwą jeleni
świetlistą, niech czci śpiew, —
i nimfom złóżcie sąsiednim hołd pieni.

Pląsam polotnie i nie wzgardzę snadnie
piszczałki dźwiękiem, co mem sercem władnie.
Oto, oto, bluszcz mię nęci,
Ewoi! Ewoi! pochwytuje
i w bachanckim wirze kręci!
Hei! ha! Pean! pokrzykuję.

Patrz, pani kochana, na własne już oczy
oglądasz ot orszak, co ku nam się toczy.

(Lichas prowadząc branki wojenne zbliża się do pałacu).

DEJANEJRA. (do chóru).

Widzę, niewiasty drogie, śledzę bacznem okiem
orszaku, że nie zdoła ujść przed moim wzrokiem.

(do Lichasa).

Jakkolwiek późno przybył, chętnie witam posła,
byleby radość późna wieść jego przyniosła.

LICHAS.

Z pomyślną wieścią spieszę; mnie też witasz rada,
niewiasto, w miarę czynu. Uczcić bo wypada
szlachetnem słowem męża, co piękny czyn zdziała.

DEJANEJRA.

Najdroższy, powiedz naprzód, o co naprzód pytam,
czy Herakla małżonka żywego powitam?

LICHAS.

Kiedym się z nim rozstawał, jaśniał zdrowiem ciała
i żaden ból nie nękał dzielnéj sił krzepkości.

DEJANEJRA.

Gdzie? powiedz. W obcym kraju czy w ojczystéj włości?

LICHAS.

Jest przylądek w Eubei; tam w hojnéj ofiarze
dzięk Zeusowi Keneos daje na ołtarze.

DEJANEJRA.

Slubował-li, czy tak mu wyrocznie kazały?

LICHAS.

Slubował, gdy gród mieczem zdobył spustoszały
tych niewiast, które widzisz ot na oczy żywe.

DEJANEJRA.

Przebóg! Zkąd one rodem? Kto te nieszczęśliwe?
Luto mi ich, nuż dosyć lutować ich doli!

LICHAS.

Ten wybór branek sobie on i bogom gwoli
zabrał, kiedy Euryta gród z gruntu rozwalił.

DEJANEJRA.

Czy koło tego miasta, odkąd się oddalił,
mąż mój niepoliczonych dni czas wciąż przesiadał?

LICHAS.

Nie. W Lidyi prawie cały czas, jak sam powiadał,
sprzedany w ciężkim jarzmie przejęczał niewoli.
Lecz niechaj nad powieścią moją nie zaboli
twe serce, pani; Zeus bo sprawcą klęski owéj.
Więc cały rok sprzedany (jego mówię słowy)
do niewoli, Omfali cudzoziemce służył.
A żywcem tak sromotną obelgą dotknięty,
sam sobie uroczyście ślub przysięgi świętéj
przyrzekł wykonać: sprawcę spólnego téj doli
wraz z dziećmi i małżonką zabrać do niewoli.
Płonnego nie rzekł słowa. Skoro była zmyta
przewina, z mytnem wojskiem do grodu Euryta
spieszył — współwinowajcą swojego cierpienia
tego jedynie mieniąc z śmiertelnych plemienia.
On to Herakla, kiedy po dawnej przyjaźni
w gościnę doń zajechał, przymówkami drażni
i zgubne knując plany w duszy, nieprzerwanie
przycina, że choć bełty niechybne w kołczanie
dzierży, z synami jego niechaj się nie mierzy,
że w haniebnéj niewoli a nie wolnym zginie;
a kiedy przy biesiadzie Herakles we winie
nad siły przebrał miary, z domu go wyrzucił.
Tém rozżarty Ifita, skoro śledzić wrócił
na Tiryntyjskie wzgórza rozbiegnione konie,
oko zwracając ku téj, myśl ku innéj stronie,

z wierzchołka góry stroméj w parów pchnął głęboki.
Oburzył się tem rodzic wszystkich, Zeus wysoki,
dzierżący tron na wzniosłym Olimpowym szczycie;
i sprzedał go w kraj obcy w swym gniewie, że skrycie
temu tylko z śmiertelnych śmiał odebrać życie.
Inaczéj przebaczyłby mszczącemu się jawnie
Zeus Heraklowi chętnie, bo zwyciężył prawnie.
Wżdy pychy bóstwa nader nie lubią chełpliwéj;
a owi samochwalcy dla mowy złośliwéj
już wszyscy zaludnili Hadesu ciemnice,
miasto w niewoli jęczy, a ot te dziewice,
szczęśliwe dawniéj, teraz w ciężkiem utrapieniu
do ciebie przyszły. One, posłuszny zleceniu,
przyprowadziłem, pani, według woli męża.
Sam gdy w ofierze świętéj za szczęście oręża
Zeusowi rodzinnemu dzięki da, przybędzie —
wiedz o tem. Choć niczego bowiem me orędzie,
do myśli wżdy przypada najmiléj to słowo.

PRZODOWNICA CHÓRU.

Czy ci radości jawnéj nie sprawia, królowo,
obecność tych i poseł błogą swoją mową.

DEJANEJRA.

Cóż wstępu do méj duszy radości zabrania,
kiedy ją do niéj męża chlubny czyn nakłania?
Tak — tak, co słyszę, widzę, do niéj mię przymusza
choć tem się zdoła trworzyć rozważniejszych dusza,
że szczęśliwemu może powinąć się noga.
Bo, drogie, serce boleść przejęła mi sroga
na widok tych niebożąt, co po obcym kraju
bezdome, utraciwszy ojców się tułają —
i niegdyś córki mężów szlachetnego rodu,
obecnie życie w nędzy niewolnicze wiodą!

Obym nie doczekała, o Zeusie zwycięzki!
abyś na dziatki moje takie walił klęski —
przynajmniéj za dni moich nie czyń tego, boże,
do tyla tych niewolnic widokiem się trwożę.

(do Joli).

Nieboga! mów kto jesteś, niewiasto dziewicza?
Wdową czy matką? lubo z kształtu i oblicza
wszystkiegoś nieświadoma — lecz zacnego rodu.
Lichasie! Kto ta obca? z jakiego narodu?
Któż matką? kto jéj ojcem? Jéj bowiem się żalę
najwięcéj, sama los też znosi godnie wcale!

LICHAS.

Któż ją wie? przecz mię pytasz? lecz nuż wzrok nie zwodzi,
nie z najgorszego gniazda w kraju tym pochodzi.

DEJANEJRA.

Czy z grododzierców domu? córką-li Euryta?

LICHAS.

Nie wiem. Któż tam ciekawie o to bada, pyta!

DEJANEJRA.

A towarzyszki w drodze nie rzekły-ć imienia?

LICHAS.

Bynajmniéj, dokonałem milczkiem polecenia.

DEJANEJRA.

Więc mów, kto jesteś, biedna, sama z własnéj woli.
Mnie bowiem być nieznaną i *to* ciebie boli.

LICHAS.

I teraz jak poprzednio, milczenie zachowa;
bo nigdyby biednego nie wyrzekła słowa,

lecz ciągie opłakując swéj niedoli brzemię,
łzy roni nieszczęśliwa, odkąd ojców ziemię
wyniosłą opuściła. Nie znać jéj nazwiska
i rodu, gorzéj dla niéj — wżdy względy uzyska!

DEJANEJRA.

Przymuszać jéj nie będę. Jak jéj się podoba
niech czyni, niech do domu wnijdzie, by żałoba
badaniem mem sprawiona bólu; co ją bodzie
już dosyć, nie zdwoiła. My także bez zwłoki
spieszmy do grodu wszyscy — ty, byś, gdzie chcesz, kroki
obrócił — ja, bym wszystko przyrządziła w grodzie.

(Lichas z brankami odchodzi; gdy Dejanejra to samo czynić zamyśla, zastępuje jéj drogę).

GONIEC.

Wpierw pani, chwilkę jeszcze zostań się tu, proszę,
aby skoro się dowiesz od tych oddalona,
kogo masz w domu, z oczu twych spadła zasłona;
bo ja wszystkiego świadom, prawdę ci donoszę.

DEJANEJRA.

Przecz zastępujesz drogę? z jakiego powodu?

GONIEC.

Postój i słuchaj. Słowa moje cię nie zwiodą;
i przedtem nie doznałaś z méj strony zawodu.

DEJANEJRA.

Czy owych mam tu dotąd zawezwać na nowo,
czy też mnie i tym tylko powierzysz twe słowo?

GONIEC.

Owi niech idą. Tobie i tym się nie wzbraniam.

DEJANEJRA.

Już poszli. Do twéj wieści ucho teraz skłaniam.

Z. WĘCLEWSKI.

DO CÓRKI ADAMA.

Córko Adama! tyś nam powinna
Być ideałem Polskiéj dziewicy —
Twem ziemskiem Niebem — ziemia rodzinna
Twym wzorem — żywot Boga - Rodzicy —

* * *

Bo choć zrodzona na obcéj ziemi,
Choć chrzest przyjęłaś z wód obcéj rzeki —
I wychowanéj między obcemi,
Dźwięk mowy naszéj był Ci daleki.....

* * *

Lecz Cię twój Ojciec za pierwszém tchnieniem
Potęgą słowa, siłą modlitwy,
Ofiarą serca, duszy pragnieniem,
Złożył na łonie rodzinnéj Litwy!

* * *

Córko Adama! na wysokości,
Wieszczy duch Ojca twego się święci —
Tyś krew krwi Jego — kość Jego kości —
Stańże się godną Jego pamięci?.....

Dziecię swobody z piętnem tułactwa,
Na świat przyniosłaś palmę rodzinną —
Jak przyrodzona kapłanka bractwa,
Co przed ofiarą drzeć nie powinno!

KRYSTYNA.

ŁUKASZ STEMPEL.

(Z prawdziwego zdarzenia).

Gdzie dzisiaj w Warszawie przy ulicy Podwal, stoi w dziedzieńcu za żelażną kratą, dom duży piętrowy numerem 521 oznaczony, tam w pierwszych latach tego wieku stały jeszcze drewniane budowle będące tyłami małego domu murowanego frontem do ulicy Rycerskiéj stojącego. W tym domku i w wozowniach do niego należących, mieścił się wówczas warsztat Stelmacha i następnie fabrykanta powozów Sperlinga, z Saxonii przybyłego, który jak zwykle niemieccy rzemieślnicy, pracowity i skrzętny, w ciągu lat kilkunastu dorobił się dosyć znacznego majątku.

Był on wdowcem i miał przy sobie dwie córki, starsza Wilchelmina z niemki urodzona, przybyła z nim razem z rodzinnego kraju małą dziewczynką, — druga Anusia blisko o lat 20 młodsza urodziła się w Warszawie z drugiéj żony Sperlinga, polki, którą był zaślubił, gdy większa zamożność dozwoliła mu urządzić zakład rzemieślniczy na własny rachunek.

Matka Anusi była córką ubogiego szlachcica i panną respektową na dworze jednego wielkiego pana, któremu Sperling dostarczał i naprawiał pojazdy; ztąd znajomość jéj i małżeństwo ze zbogaconym fabrykantem. Z powodu długiego pobytu na pańskim dworze, nabyła ona pewnéj ogłady i znajomości wyższego świata, których było to skutkiem, że gdy została matką i gdy córeczka jéj pierwsze lata dziecinne przeżyła, zajęła się troskliwie jéj wychowaniem i na pensyę ją posyłała, sądząc że tym sposobem świetniejszy jéj los zapewni, jak prostéj żonie rzemieślnika. Lecz Bóg niedozwolił jéj doczekać téj pociechy. Po kilkunasto letniem pożyciu z mężem wyłącznie swojem rzemiosłem zajętym, a nie wglądającym w to co się w domu działo, spędzonem w ustawicznych nieporozumieniach z pasierbicą i w troskliwych staraniach o wychowanie własnéj córki, dotkniętą została ta dobra matka niebezpieczną chorobą i z ciężkim żalem świat ten opuściła, lękając się o los szesnasto-letniéj Anusi, którą musiała zostawić pod przemocą starszéj siostry nienawidzącéj nieszczęśliwą sierotę i przewodzącéj nad własnym ojcem.

A miała liczne powody do téj nienawiści. Była o 20 lat starszą i do tego brzydką, kiedy Anusia doszła dopiero do tego młodocianego wieku, w którym się jéj wdzięki najpiękniéj rozwijać zaczęły. Była wychowana na prostą i rządną rzemieślniczkę, bez żadnego wyobrażenia wyższych uczuć, ani téj powierzchownéj ogłady, którą dobre wychowanie nadaje; Anusia zaś odziedziczyła po matce serce czułe, domyślające się tych wzruszeń których jeszcze niedoznawało, i miała powierzchowność tak ujmującą, iż jéj nikt dobrego wychowania nie odmawiał. Nakoniec Wilchelmina źle mówiła po polsku i była protestantką, Anusia zaś Polką i gorliwą katoliczką.

Z tego porównania wnosić można jakie było pożycie tych dwóch córek Sperlinga, po śmierci drugiéj jego żony, i że młodsza była ciągłą ofiarą złości i przemocy starszéj. Stan ten tyle dla Anusi dotkliwy i poniżający, pogorszył się jeszcze, gdy się wykryło że młody i dorodny lecz ubogi szlachcic, a dworski jednego z magnatów w Warszawie zamieszkałych, pokochał Anusię i to w tym samym czasie gdy starszy czeladnik Sperlinga, powodowany tą nadzieją że będzie mógł po nim całą fabrykę objąć, otrzymał jego zezwolenie na poślubienie Wilhelminy, z którą od dawna w nader przyjaźnych zostawał stosunkach.

Niedogadzało to bowiem widokom téj drugiéj pary, aby Anusia miała teraz a nawet kiedykolwiek iść za mąż bo ich zamiarem było, zmusić ją do tego, przez przykrości jéj wyrządzane, aby dom ojcowski opuściła i do jakiego państwa na pannę respektową lub służącą przeszła, zapewniając przytem iż w tym razie, otrzyma od ojca pewną sumę gotówką, aby się tylko reszty majątku w fabryce będącego zrzekła.

Szlachcic, którego nazwiska wymienić nie mogę, dla przyczyn jawnych z dalszego ciągu téj powiastki, szlachcic mówię ktory się starał o Anusię, odwiódł ją od zbytniéj uległości wymaganiom siostry, dodał jéj otuchy i skłonił do odwołania się do sprawiedliwości ojca, i w końcu zapewnił ją że w każdym razie znajdzie pomoc i opiekę u pani kasztelanowéj na któréj dworze zostawał, gdyby przyszło do tego aby musiała opuścić dom ojcowski.

Gdy Anusia idąc za tą radą, zmieniła swój sposób postępowania, i zamiast ślepéj uległości, opór wymaganiom siostry stawiać zaczęła, domyśliła się ta za czyim wpływem i namową, zmiana ta w usposobieniu siostry nastąpiła. Wyjednała zatem u ojca zakaz dla szlachcica bywania w jego domu, a dla Anusi widywania się z nim,

i gdy zakazy te nieskutkowały, zleciła swemu narzeczonemu, aby jakim bądź sposobem przerwał stosunki między dwoma kochankami. Zatem poszły naprzód groźby i krzywdzące potwarze na szlachcica publicznie rzucane; następnie czatowanie na niego gdy się do domu skradał, i rozkaz dany ludziom do fabryki należącym aby go pochwycili i zbili. Ostrzeżony przez Anusię o zdradzieckich zamiarach swego przeciwnika, nie dał on się wszelakoż odstręczyć od tego aby nie miał jéj widywać, i tylko podwajając ostrożności nieprzychodził inaczéj do domu Sperlinga, jak uzbrojony w pistolet, którego samo pokazanie, powinno było według niego odstraszyć tych coby go pokrzywdzić chcieli.

Udało mu się to rzeczywiście razy kilka, i stróże na straży w podwórzu postawieni, albo udali że go niewidzą, albo wypuścili przytrzymanego gdy im broń zabójczą pokazał.

Rozjątrzony niewykonaniem rozkazów przez ludzi swoich, podburzony ustawicznemi wyrzutami Wilchelminy, postanowił jéj narzeczony wykonać osobiście zlecenia od niéj odebrane, aby się oczyścić z posądzenia o tchórzostwo, którem go ciągle trapiła. Jakoż gdy mu dano znać że oblubieniec Anusi przybył jednego wieczora i że go czeladź otoczyła w podwórzu, nieśmiejąc go się czepić, — wypadł jak zapamiętały z izby odepchnął ludzi otaczających szlachcica, gwałtownie napadł na niego i pięścią w twarz go uderzył. Pokrzywdzony, uniesiony słuszną chęcią pomszczenia zniewagi, odepchnął napastnika, dobył pistolet i bez namysłu dał ognia, tak iż wystrzał śmiertelnie w same piersi tamtego ugodził.

Łatwo się domyśleć jakie były skutki tego nieszczęśliwego wypadku. Młodzieniec sprawca śmierci napadającego na niego nieprzyjaciela, nieruszył się z miejsca, dał się pochwycić, związać i do władzy odprowadzić, bo liczył na to że zabójstwo w obronie własnéj osoby

popełnione, za zbrodnię poczytane mu nie zostanie, tem bardziéj iż mu się zdawało że może polegać na protekcyi możnego pana na którego dworze przebywał, i że mu ten krzywdy wyrządzić niedozwoli, i że kara na jaką zasłużył na kilku miesiącach wieży się ograniczy. Nieszczęśliwy nieprzewidywał tego, że świadkowie w téj sprawie słuchani, ulegając natchnieniom mściwéj Wilchelminy, przedstawią ten wypadek, jako zabójstwo rozmyślnie dokonane i że sędziowie Pruscy nie będą mieli na względzie ani stanu szlacheckiego obwinionego, ani protekcyi i starań opiekującego się nim pana polskiego. Starania te ten tylko miały skutek, że w sądzie oddalono zarzut rozmyślnego zabójstwa i że z tego powodu winowajcę nie na śmierć lecz na kilkunasto letnie więzienie skazano.

Od sześciu lat odsiadywał już srogą i niezasłużoną karę oblubieniec Anusi, w tym ochydnym gmachu, który z powodu dawnego przeznaczenia *Prochownią* zwano, a na którego frontonie był ten dziwny napis: *Nie miejsce ale zbrodnia człowieka hańbi.* On właśnie czuł się być shańbionym nie przez swój występek, lecz przez miejsce w którem za niego pokutował. Bo miejsce to było siedliskiem zbrodniarzy, a on popełniwszy zabójstwo w obronie honoru i osoby swojéj nie był zbrodniarzem; bo nosił ubiór ochydny i musiał w nim wychodzić z innemi więźniami na ulicę do roboty i przedstawiać się tak patrzącym, którzy mogli w pamięci zachować jego rysy i wskazywać go kiedyś palcem, jako dawnego mieszkańca prochowni; bo jego nazwisko było zapisane w księdze potępieńców i tem samem na wieczną hańbę skazane. Dla tego gdy w cierpieniach swoich zanosił

modły do Boga, prosił nie o wolność, ale o śmierć bo czuł to że na wolności, ani oka pokazać ani nazwiska wymienić by nie mógł.

Jedna tylko dozgonnie mu wierna Anusia, przynosiła niekiedy słowa pociechy i nadziei, i osładzała jak mogła przykrości jego uwięzienia. Owa skromna i nieśmiała dziewczyna, nabrała odwagi i stanowczego zdania, skoro miłość i obowiązki poświęcenia po niéj wymagały. Potrafiła ona zapoznać się i nawet zaprzyjaźnić za pomocą pochlebstw i datków z żoną odźwiernego więzienia, i u niéj czasem widywać ukochanego, i dostarczać mu przedmiotów do których używania nawykł na wolności. Ona donosiła mu bądź ustnie, bądź na piśmie co się działo, i wykonywała jego polecenie gdy trzeba było żądać pomocy u dawnych przyjaciół i opiekunów.

Przez nią tedy doszła naszego więźnia w jesieni roku 1806 wiadomość o spodziewanem przybyciu armii Napoleońskiéj, i o mającym się organizować Księstwie Warszawskiem i wojsku narodowem. Dnia jednego odbił się i o mury Prochowni odgłos wesela i radości, który brzmiał w pieśni i w okrzykach po całem mieście; widziano z okien więzienia jak się dawno niewidziane, a polskie mundury po ulicach snuły, jak już powołani pod ojczyste chorągwie chodzili z muzyką po mieście powoływać do służby ochotników. Nasz winowajca zadrżał cały z uniesienia na ten widok i na te odgłosy; odezwało się w niem uczucie i nadzieja chwały, dla niego straconéj, zapragnął wolności aby mógł pójść na wojnę po chwałę i po śmierć.... i zalał się łzami gdy mu kajdany na nogach zabrzękły.... „Jeden tylko dzień wolności ale z karabinem w ręku na bitwie“ zawołał rzucając się na twarde posłanie. „Nie wznosiłbym już więcéj modłów do Ciebie o Boże, bo ten dzień dałby mi śmierć, któréj dla świętych przykazań twoich Panie sam sobie zadać nie mogę“.

Nastąpiła długa chwila ponurego milczenia... rozmyślał co czynić jak się z murów więzienia wydobyć.... i po długim namyśle, postanowił zasięgnąć rady Anusi... ona tylko mogła mu dodać odwagi, dopomódz i oswobodzić z niewoli .... i za pośrednictwem żony odźwiernego przesłał jéj te kilka wyrazów, ołówkiem na brudnym kawałeczku papieru skreślone:

„Chcę pójść do wojska; trzeba mi to ułatwić bo inaczéj to sobie życie odbiorę“.

Zadrżała Anusia przeczytawszy tę kartkę, która z przerażenia z rąk jéj wypadła — po chwili milczenia schyliła się po kartkę, rzuciła ją do ognia, jakby się obawiała wydania tajemnicy gdyby jéj niezniszczyła, a potem stanąwszy w oknie, oparła twarz na dłoni lewéj ręki, którą prawą podtrzymywała i długo poglądała przed sobą na ulicę, jakby szukała rady, co czynić wypada aby kochanemu więźniowi dopomódz. Nie była ona już od dawna w ojcowskim domu, który dla prześladowania siostry i obojętności ojca musiała opuścić, i znajdowała się właśnie u pani kasztelanowéj, na któréj dworze był dawniéj jéj oblubieniec. Nie mogąc nic sama wymyślić aby przyjść w pomoc nieszczęśliwemu przyjacielowi swemu, pobiegła do pokojów pańskich, z postanowieniem błagania u pani rady i pomocy.

Zastała kasztelanowę w stołowéj sali zajętą jakiemsiś żołnierzem świeżo w mundur narodowy przybranym, który właśnie kłaniał się do nóg znać dziękując za łaskę doznaną. Miał on na sobie kurtkę seledynową z czarnemi wyłogami, i czapkę czworograniastą takiegoż koloru, szablę przy boku i pistolet na temblaku do pasa przymocowanym.

— Patrzaj Anusiu— rzekła z uśmiechem pani kasztelanowa do wchodzącéj — jaki się to piękny hułan z tego prusaka zrobił.

— Jakto z prusaka? zapytała nieśmiało Anusia.

— A tak jest, bo niedawno jeszcze był on w mundur pruski przystrojony, chociaż to poczciwy nasz mazur, ale skoro go puszczono ze służby, stawił się do swego państwa na jednego ze szeregowców których z dóbr dostawić mamy. Oto widzisz tam jeszcze leży jego mundur. To rzekłszy wróciła pani do swoich pokojów; Anusia zaś uderzona nową myślą która się nagle w jéj głowie objawiła, zbliżyła się do żołnierza i rzekła:

— Wszak sprzedacie ten mundur pruski, bo co wam po tem.

— A sprzedam, tylko kto to co za to da — trzebać to zanieść do żyda.

— Nie potrzeba — ja go kupię — i żywo sięgnęła do skromnéj sakiewki, zapłaciła parę talarów za mundur i uszczęśliwiona poniosła go do mieszkania starego kredencerza, w którym największe zaufanie pokładała, i z tamtąd pośpieszyła do Prochowni i doręczyła powiernicy swojéj następujący bilet do naszego więźnia.

„Jutro o siódméj wieczorem, wszystko będzie gotowe w pałacu u kredencerza Antoniego“.

Nie myślał on dotąd nigdy o wyłamaniu się z więzienia, bo nie widział dla siebie żadnego sposobu zasłonienia się od hańby, gdyby z prochowni na wolność wyszedł, i wolał zejść ze świata zapomniany w więzieniu, jak narażać się na ciągłą obawę aby go palcem wytykano jako zbrodniarza. Ale teraz gdy się zdarzała sposobność szukania chlubnéj śmierci wśród bojów, gdy wpadł na tę myśl iż wstępując do wojska pod zmyślonem nazwiskiem i nikomu nieznany, mógłby się wmięszać między ludzi honoru bez obawy zarzutu z ich strony, i z czasem może na ich szacunek zasłużyć a zawsze z łatwością chwalebną śmierć znaleść, teraz mówię, postanowił uciec z więzienia, i dopełnić choćby z narażeniem życia tego, co w owéj chwili łatwo i bez żadnego niebezpieczeństwa dokonać można było. Od chwili bowiem wyjścia

wojska pruskiego, zaciągała tak zwana municypalność na wszystkie warty w mieście; a ta municypalność składała się ze spokojnych mieszkańców Warszawy, żadnego wyobrażenia o obowiązkach wojskowych niemających, powiększéj części starych i niezdolnych do wojska, bo wszystko co było młode i zdolne, ciągnęło pod chorągwie narodowe. Taka straż przy więzieniu zuchwałemi przestępcami napełnionem, więcéj się tych obawiała których strzedz miała, jak w nich obawy wzbudzała.

W dniu naznaczonym wyszedł nasz więzień zrana na roboty publiczne, wraz z kilku towarzyszami niedoli pod strażą dwóch stróżów improwizowanych żołnierzy, którzy nad wieczorem uczęstowani przez więźni w szynku, sami bez nich powrócili do prochowni. Przed siódmą stanął już dawny narzeczony Anusi w miejscu naznaczonem; w kwadrans potem przemieniony w żołnierza pruskiego, ścisnął ją po raz ostatni zaręczając jéj wdzięczność i wierność do śmierci, i w godzinę potem był już na wielkim trakcie prowadzącym od Warszawy do Łęczycy.

Z położenia swego środkującego między Warszawą, Poznaniem a Toruniem, obraną została Łęczyca za punkt koncentrowania zapasów i zakładów wojennych i zbierania się nowo zaciężnych bądź to ochotników, bądź przez panów stósownie do posiadanych dymów do wojska dostarczanych, których tam rozdzielano między nowo tworzące się pułki. Nadzwyczajny też ruch panował w tem mieście w początku grudnia 1806 roku. Obywatele okoliczni zjeżdżali się codziennie, aby się cieszyć widokiem zbierających się szeregów, i dopełnić bądź osobiście, bądź przez dostawionych szeregowych, nowe obowiązki względem kraju i monarchy. Zamożniejsi zajmowali po domach większe izby, w których mogli otwierać gościnne stoły dla uboższych braci szlachty zaciągających się do wojska. Tam trwały nieustające jak

kolwiek skromne biesiady, ztamtąd rozlegały się po mieście często ponawiane okrzyki wiwatów za wielkiego Napoleona, i zawsze z towarzyszeniem fałszywych klarynetów wnoszone. Po ulicach uwijało się mnóstwo dopiero co przybranych wojaków, dla których spędzeni krawcy żydowscy dzień i noc mundury szyli. Szlachta w kolory właściwych ziemstw przybrana, przechodziła się z gęstą miną po ulicach, przysłuchując się z upodobaniem szczękowi pałaszy po bruku powłóczonych, a czasem trzymając się po kilku pod ręce rozpierała nawzajem kroki idących, niepewne lub krzywione skutkiem powtarzanych wiwatów.

Niektórzy sadzili na koniach wśród tego zgiełku roztrącali żydów i ich stragany. Przed sklepami odbywał się nieustający jarmark, między nowo przyjętemi szeregowcami w mundury przybranemi, sprzedającemi kożuchy, sukmany i inne szczątki odzieży, a żydami kupującemi za bezcen te ostatnie znamiona rolniczego powołania nowych wojowników. Wśród tego zgiełku ulicznego przejeżdżały z trudnością fury z sianem, ze słomą i ze zbożem na potrzeby wojska, za kawałki papieru bonami zwane, do magazynów dostarczanemi. Do tego ruchu ulicznego przybywały jeszcze w południowych i wieczornych godzinach kupy ludzi przez dzień cały kopaniem wałów około miasta, które fortyfikować kazano, zajętych.

Przed klasztorem XX. Dominikanów stała gromada ludzi po większéj części młodych, rozmaicie przybranych, a między niemi kobiety potrwożone i płaczące. Niektórzy z nich byli smutni bo się żegnali z matkami, żonami i narzeczonemi; inni rozochoceni i ucieszeni nowem powołaniem, bo nie mieli z kim się żegnać, przewidywali życie wolne od pańszczyzny, z widokami hulanki a nie mieli nawet przeczucia niebezpieczeństw wojennych. Z téj kupy wychodziły niekiedy okrzyki i poje-

dyncze zwrotki znanych śpiewek ludowych, więcéj nadmiarkiem wódki jak uczuciem natchnione, które przerywały jednostajność ogólnego gwaru całéj gromady.

Przededrzwiami refektarza dwoch szyldwachów powstrzymywało tłoczących się, a wewnątrz przy drzwiach stał stary żołnierz bez broni ze stęplem w ręku, który kolejno tylko po dwóch do izby wpuszczał, i oficerom siedzącym za stołem przedstawiał, aby z wejrzenia sądzić i wyrzekać mogli do jakiéj broni przedstawiony był zdolnym.

— Dezerter pruski — zawołał weteran gdy wpuścił do izby dorodnego lecz posępnego żołnierza w mundur piechoty pruskiéj przybranego.

— Zkąd przybywasz? zapytał oficer — z którego pułku pruskiego?

— Z Torunia — odparł mniemany dezerter — z pułku Larisza.

— Nie pierwszyś ty ztamtąd. Jak się nazywasz?

To pytanie tak proste przeraziło mniemanego dezertera, lubo mógł przewidzieć że mu zostanie uczynione; zdawał się niebyć przygotowanym na odpowiedź, tak iż zamiast odpowiedzieć obejrzał się za siebie, jakby czekał aby mu kto powiedział jak się nazywa.

— Jak się nazywasz? pytam się — powtórzył oficer — czy nie słyszysz? A weteran trącił tylko stęplem po ramieniu dezertera i dodał: Pan kapitan się pyta kolego jakie twoje imie i nazwisko?

— Moje imie i nazwisko — odrzekł zmięszany i po chwili dodał głośno spojrzawszy na żelazny pręt którym był dotknięty: — Łukasz Stępel.

— Łukasz Stępel — powtórzył komendant — to dobre nazwisko na piechura; zapisać go do 2go pułku piechoty.

Zapisano, dano Łukaszowi kartkę i odesłano go do oficera, który przyjmował ludzi do tego pułku.

Odtąd tedy zwał się dawny nasz znajomy Łukaszem Stęplem, i pod tem nazwiskiem uchodząc za byłego pruskiego żołnierza, mianowany został od razu kapralem w drugim pułku piechoty.

Pospolite ruszenie i pułki które się w Łęczycy uformowały, przeszły pod dowództwo jenerała Dąbrowskiego, który odkomenderowany był do strzeżenia brzegów Wisły, i do przyłączenia się następnie do korpusu francuzkiego oblegającego Gdańsk pod komendą marszałka Lefebre. Tam mieli sposobność nowi wojownicy polscy, pod przewodem dawnych dowódzców z rzeczypospolitéj i z legionów, odbyć pierwsze szermierki i próby wartości swojéj w boju, i dozwolić przeczuć to, że staną kiedy w rzędzie pierwszych żołnierzy napoleońskich.

W styczniu 1807 byli Polacy pierwszy raz w ogniu w potyczkach pod Stargardem, Świecinem i Bydgoszczą, a pod dowództwem jenerała Amilkara Kosińskiego. Następnie zaszła pod *Tczewem* walniejsza bitwa w któréj się odznaczyli jenerałowie Niemojewski i książę Sułkowski, tudzież pułkownicy Hauke, Dziewanowski i Wejsenhof, a wszyscy żołnierze przykładem takich dowódzców ożywieni, dali tyle dowodów męztwa, iż starsi od nich żołnierze francuzcy dziwili się temu że tak młody żołnierz mógł tyle odwagi w boju okazać.

Nasz Łukasz drugie rozpoczynał życie. Lata w więzieniu spędzone, poczytywał za grobowy pobyt, z którego Bóg go do nowego życia powołał. Po tych latach w posępnych murach spędzonych, żył teraz pod jasnym niebios sklepieniem i oddychał świeżem powietrzem; nieczuł więzów ani przemocy zwierzchnika więzienia, lecz ulegał jako żołnierz dowódzcy, i sam jako kapral w małem kółku żołnierzy, przywodził i polecenia wydawał. Lubo w życiu obozowem niedzielił wesołości towarzyszów swoich, i nie zawtórował nigdy z niemi żołnierskiéj piosnki, i lubo rzadko kiedy uśmiech jego

twarz surową rozmarszczał; był on jednak szczęśliwym bo jego przeszłość nikomu niebyła znana, a przyszłość albo śmierć chlubną albo odkupienie grzechu zapowiadała. Nieznany pod swojem nazwiskiem nikomu, mógł śmiało z otwartem czołem postępować między tymi nowymi dla siebie ludźmi, którzy go tylko z dobréj strony znali, którzy go wprawdzie mrukim, ale dobrym żołnierzem i poczciwym człowiekiem nazywali.

Lecz gdy nadszedł dzień pierwszéj potyczki, gdy ujrzał zdala szyki nieprzyjacielskie z którymi walczyć przyjdzie, gdy pierwsze usłyszał wystrzały: o wtenczas ocknęło się nowe uczucie w jego duszy, które całe jego jestestwo do stanu gorączkowego uniesienia wzniosło. Póki stał w szeregu i widział jak nieprzyjacielskie wystrzały towarzyszów broni trafiały, drżał z niecierpliwości i z obawy, aby nie został trafiony, nim jeszcze sam broni swojéj nieużyje. On co zawsze tak gorąco pragnął śmierci, zapragnął teraz życia aby mógł walczyć i bezkarnie swego życia nieoddać. Gdy na kommendę karabin do ataku w ręce pochwycił, ścięły się dłonie konwulsyjnie o broń, zaiskrzyły się oczy, zdawało się że złość i zemsta nim miota; i biegł naprzód, zamierzał zadać cios śmiertelny bagnetem, jakby wiedział kogo uderzy, jakby miał przed sobą tego co jego nieszczęścia był sprawcą. Biegł z innemi w bojowym szyku, a gdy nieprzyjaciel napadu niewytrzymał, gdy pierzchać zaczął, prześcigł Łukasz innych, na oślep puścił się w pogoń za uciekającym chorążym, powalił doścignętego na ziemię, i wyrwał mu sztandar z zemdlonéj ręki. A tak szukając śmierci, spotkał się w pierwszéj potyczce ze znakiem chwały, który jako dowód męztwa w ręce jenerała swego złożył, i zaraz na polu bitwy sierżantem mianowany został.

Odtąd nie był to już potępieniec, ale dobry żołnierz; od téj chwili powiedział sobie, że może zginąć bo już

dał męztwa dowody, ale nieśmiał jeszcze myśleć o tem aby mógł żyć bez trapiącego wspomnienia na przyszłość.

Nie długo zdarzyła się druga sposobność odznaczenia się, a tem samem pokrzepienia ducha i nabrania więcéj ufności w sobie samym. W końcu marca zrobili Prusacy wycieczkę z fortecy. Marszałek Lefebre obecny przy wojsku polskiem, w chwili samego ataku, stanął osobiście na czele batalionu 2go pułku piechoty, poszedł znów na bateryą nieprzyjacielską i widział jak polscy żołnierze ją zdobyli, i uważał jednego sierżanta który stanąwszy u dział nieprzyjacielskich powalił kanoniera w chwili gdy ląt zakładał. Po wzięciu bateryi po odwrocie nieprzyjaciół, zawołał adjutanta i rzekł do niego: Qu' on m' amène ce gaillard, qui a été le premier là haut? A gdy Łukasz przed nim w postawie wojskowéj stanął, zbliżył się marszałek do niego, lekko uderzył go po ramieniu i dodał: *Mon brave je ne t' oublierai pas* Po złożeniu Napoleonowi raportu o odznaczeniu się Polaków w kilku potyczkach pod Gdańskiem, przysłał Cesarz krzyże legii honorowéj, nietylko dla dowódzców i oficerów, ale i dla żołnierzy; otrzymali takowe: jeden żołnierz prosty, jeden kapral i trzech sierżantów, a jednym z tych ostatnich był Łukasz Stępel.

Od téj chwili przemogło w nim uczucie godności człowieka, do któréj niezaprzeczonego nabył prawa nad upakarzającem poniżeniem, do którego dawniéj niezasłużenie doszedł. Jeżeli dotąd był przejęty nienawiścią ku ludziom, dlatego że go na to poniżenie skazali; zaczął odtąd poważać i kochać tych, którzy go aż do zacności wynieśli. Nie szukał już śmierci aby z życiem dawną zagrzebać sromotę; lecz narażał się na śmierć

w boju, bo widział w tem sposób wzniesienia się jeszcze wyżéj, lub odkupienia pamięcią chwały dawnéj sromoty. To go tylko bolało że szacunek towarzyszów broni i zaszczyty pod zmyślonem otrzymywał nazwiskiem i byłby może zdjął z siebie tę klątwę, gdyby nie zdarzenie które mu odwagę do tego odebrało.

W noc pochmurną stał on z kilkoma żołnierzami na straży w pewnem oddaleniu od obozu polskiego. Ogień na ziemi rozłożony, oświecał niewielki okrąg stojących w nim żołnierzy koło ogniska; jeden tylko szyldwach o kilka kroków na przodzie, przechodził się milczący, a szczęk broni i stąpanie jego przerywało cichość zupełną téj chwili. Łukasz stał oparty o drzewo i poglądał to na ogień, to na śpiących, to na ciemną przestrzeń; marzył o pociechach przyszłości patrząc na ogień wesoło połyskujący, a ze smutnym wyrazem wspominał na ubiegłe lata, gdy oko w ciemności nocy zapuścił.

W tem zawołał na straży będący: kto idzie? zerwali się zbudzeni żołnierze, Łukasz wzniósł karabin o ziemię kolbą oparty i zawołał: *do broni*! Usłyszano drugie zapytanie: kto idzie? i następnie wystrzał. Postać jakaś mignęła się zdała w pół świetle — dwóch żołnierzy puściło się za uciekającym, pozostali broń odwiedli i czekali gotowi do boju. Niedługo usłyszeli krzyk przerażenia i trwogi: stać! zawołał sierżant — do żołnierzy którzy naprzód biedz chcieli — znać że go już mają kiedy gwałtu krzyczy, i musi być bezbronny bo nie strzelają. Jakoż wkrótce przyprowadzili i stawili przed Łukaszem drżącego i na pół umarłego żyda, który się zachwiał na nogach, wyśliznął się z rąk trzymających go, padł naprzód twarzą na ziemię, potem podniósł zwolna głowę i klęcząc wzniósłszy zwolna osłupiałe oczy na sierżanta i składając błagalnie ręce, zawołał na niego po prawdziwem nazwisku, i całując je, u nóg jego się włóczył.

Grom któryby był w téj chwili przed Łukaszem uderzył, niebyłby go tak przeraził, jak rozpaczające wyrzeczenie jego nazwiska przez żyda... bo spojrzawszy na niego przypomniał sobie od razu że to rozbójnik który z nim razem siedział w prochowni. Zadrżał, bo cała przyszłość jego zdawała mu się w téj chwili zagrożona wyjawieniem nieszczęśliwéj przeszłości; żyd był dla niego groźnym upiorem, którego co prędzéj z oczu oddalić trzeba było. Łatwo było dokonać tego idąc za radą żołnierzy, którzy widząc w nim szpiega, postronek szykowali i bez sądu na gałęź rozciągnąć go doradzali. Żyd się czołgał po ziemi i wrzeszczał okropnie powtarzając nazwisko Łukasza. — Cicho — krzyknął tenże — kogo on woła? Słyszysz żydzie boś zginął — rzekł, zamyślał się chwilę — jedno jego skinienie, a upiór ten znikał na zawsze z jego oczu. Ale sumienie niedozwalało poświęcić go aby siebie ochronić. Należało go dostawić do komendy, a tam przed sądem wyjawi go! W tem padło kilka strzałów na przednich strażach w oddaleniu. „Co tam z żydem! — zawołał sierżant — baczność — stać w miejscu“ — i gdy się gotowali na stawienie oporu nacierać mogącym Prusakom, porwał się żyd z ziemi i wkrótce znikł w ciemnéj okolicy.... bo ta Opatrzność która Łukasza chroniła od śmierci, i tu jeszcze od hańby ochronić go chciała.

Postępując za naszym bohatyrem od chwili stawienia się w Łęczycy przed komendą wojskową, i przybrania zmyślonego nazwiska, do téj w któréj niespodziane okazanie dawnego współ-więźnia, odwiodło go od zamiaru wrócenia do rodzinnego nazwiska, — puściliśmy zupełnie w niepamięć ową poczciwą Anusię, która się tyle dla niego poświęcała i dopomogła mu wyjść na świat

czynności i chwały, po którem z takiem powodzeniem postępował.

Otóż owa wierna Anusia tyle właśnie cofała się w szczęściu i powodzeniu, ile jéj oblubieniec w tym zawodzie naprzód postępował. Ojciec jéj podżegany ciągle przez nienawidzącą jéj siostrę i uwiadomiony o jéj stosunkach z zabójcą narzeczonego tejże, niechciał jéj wcale widzieć, i umarł niedawszy błogosławieństwa niesłusznie potępionéj córce, zostawując cały majątek Wilhelminie, która innego starszego czeladnika fabryki ojcowskiéj zaślubiła i z nim razem daléj ją prowadziła.

Anusia zostawała czas niejaki w domu kasztelanowéj, dawnéj opiekunki Łukasza, lecz gdy nagle pozbawienie wszelkich dochodów z dóbr, obok nadzwyczajnych wydatków przez okoliczności ówczesne spowodowanych, zmusiły najzamożniejszych nawet do zmienienia sposobu życia i do przeniesienia się na wieś, niechciała ona być ciężarem dla swojéj opiekunki i postanowiła objąć obowiązki służącéj aby na siebie zarabiać. Za poleceniem tedy dotychczasowéj opiekunki swojéj dostała się do przyjaciółki jéj w okolicach Wilna zamieszkałéj, która jéj powierzyła dozór i pierwsze wychowanie kilkoletniéj córeczki.

Prócz przytoczonego powodu, to jeszcze skłaniało Anusię do opuszczenia domu kasztelanowéj i kraju, iż coraz bardziéj czuła się być sierotą w Warszawie, gdzie żadnych serc przychylnych, żadnych nawet pocieszających wspomnień nie miała. Wykluczona z rodzinnego koła, mająca tam nieprzyjaciół gdzieby opiekunów znaleść była powinna, spotwarzona przez najbliższych krewnych z powodu stosunków z winowajcą, nieotrzymująca żadnéj wiadomości o tym dla którego się poświęciła, ze smutnem wspomnieniem na przeszłość, w któréj szczęśliwe chwile miłości zatrute były wrażeniem występku i hańby, przy tych wszystkich tak zgryźliwych uczuciach

czuła się ona prawdziwie nieszczęśliwą, i pragnęła porzucić miejsca świadkami będące dawnego i obecnego jéj nieszczęścia.

Pobyt w wielkiem mieście, wśród zgiełku i hałasu, między ludźmi nieznajomemi lub obojętnemi, gdzie nikt na nas nie zważa, nikt się nie zapyta co nas boli, ani się nieulituje nad nami, pobyt taki mówię, jest gorszy od samotności.

Kobieta która nie ma przed sobą czynnego powołania ani ciężkiéj pracy, coby myśli zgryźliwe rozerwać mogły, czuje się być opuszczoną i samotną wśród ludzi i ruchu zewnętrznego życia; bo gdy na nią nikt nie zważa, traci nadzieję aby kiedy znalazła przyjaciół i opiekunów; a kiedy się schroni na ustronie daleko od ludzi i zgiełku, jest wprawdzie samą, lecz nieuważa się za opuszczoną od wszystkich, bo jéj się zdaje, że za tem ciasnem kółkiem jéj żywota, tam gdzieś w świecie Bożym, są jakieś dobre istoty, któreby się nią zajęły i przyniosły jéj pociechę, gdyby jéj zgryzoty znały.

Dla Anusi była Warszawa za wielkim światem, a przestrzeń między domami i ulicami zamknięta za małem miejscem. Jéj potrzeba było mniéj ludzi a więcéj przestrzeni. Kto za wiele i za blisko widzi, ten nic nie spostrzega, niema gdzie sięgnąć okiem aby z daleka przewidzieć nadzieję i pociechę. Na wsi inaczéj; tam przestrzeń dla oka i cisza zupełna dla ucha. Tam cierpiący na duszy, może smucić się w cichości, i szukać widoków pociechy w zamglonym przestworze; cichość pozwala mu słyszeć głos duszy, daleka przestrzeń pozwala mu rozpatrywać się w urojonych obrazach które sam sobie tworzy, lubo ich niema przed sobą.

Niechaj kto nie myśli że takie wrażenia i uczucia są tylko udziałem zbyt żywéj i exaltowanéj wyobraźni, osoby wyższego wykształcenia i wypieszczonego wychowania. Kobieta z prostem czuciem i ze zwyczajnem po-

jęciem może je doznawać i im się powierzyć w zgryzocie; z tą różnicą, że pierwsza ulega zwykle pod ciężarem cierpień moralnych, bo dusza silniejsza od ciała, a ta ostatnia może się ciągle napawać smutkiem, a jednak znieść cierpienia moralne, bo jéj ciało silniejsze od duszy, tak iż uczucia niemogą pokonać sił żywota.

W pierwszym roku osierocenia swego płakała Anusia często i oddawała się żalowi i tęsknocie, bo jeszcze miała nadzieję że powróci. W drugim przestała tęsknić bo widziała i słyszała jak ocaleni z wojny żołnierze powracali do swoich lub zgłaszali się do nich; a on nie wrócił ani się zgłosił do niéj. Odtąd rzadko kiedy płakała, ale się nigdy nie weseliła, nieuskarżała się przed nikim, ale od nikogo nie żądała pociechy; nie zajmowała się wcale sprawami krajowemi, odkąd się przekonała że najskwapliwsze starania o wiadomości od wojska, nigdy jéj tęsknoty niezaspokoiły. Czytała w pierszym roku wiadomość w gazetach, o krzyżach danych pod Gdańskiem trzem sierżantom, ale nawet nie pomyślała o tem aby jéj oblubieniec był jednym z tych szczęśliwych żołnierzy. Jak sobie raz powiedziała że ponieważ dwa lata upłynęły bez żadnéj od niego wiadomości, więc musiał znaleść śmierć któréj szukał, tak już obojętną była na wszystkie wyprawy wojenne wojska polskiego, na chwałę którą się w boju okrywało, i na uroczystości narodowe z tego powodu obchodzone. Ona miała tylko dwa dni uroczyste w roku, które obchodziła wysłuchaniem wśród modłów i łez mszy żałobnéj przez nią zamówionéj; jeden w dzień imienin ukochanego, drugi w rocznicę ostatniego widzenia się z nim, po oswobodzeniu z więzienia. A to ją tylko martwiło że niewiedziała i nigdy wiedzieć nie będzie, w którym dniu ma obchodzić rocznicę jego zgonu.

Nadszedł rok 1812 a z nim chwila złudzenia dla Litwy. Anusia musiała być obojętnym świadkiem tych sa-

mych uniesień i wzruszeń, jakie kilka lat wprzódy zaznała w Warszawie. Wtenczas dzieliła powszechną radość, teraz otucha i szczęście innych, w niéj tylko smutek wzbudzały; bo była pod tem wrażeniem, że ta radość i nadzieja krajowa, stała się dla niéj źródłem dozgonnego nieszczęścia; że ta wojna na wiele innych ściągnie takie nieszczęście pod jakiem ona od lat kilku ulega.

Gdy po krótkich chwilach ułudy, po zadziwiającem a raczéj zastraszającem powodzeniu pierwszych wypraw wojennych, nastąpiła okropna klęska, gdy iowi zwycięzcy którzy tak szybko i zuchwale naprzód postępując ponieśli z sobą, i zagrzebali w śniegach nadzieję kraju, wtenczas nastały po domach obywatelskich ciężkie smutki w miejsce radości, litowanie się nad losem wojowników zamiast uniesień nad ich zwycięztwami, obawa w miejsce nadziei. Anusia tę w ogólnéj żałości znalazła dla siebie pociechę, że miała to przekonanie iż jéj narzeczony uszedł tych klęsk i cierpień przez chlubny zgon w czasach chwały wojennéj.

Ale i w tem miała doznać zawodu, tym razem wszakże inaczéj jak dawniéj bo na lepsze i z niespodziewaną pociechą.

W końcu listopada ciągnęły po wszystkich traktach pojedyncze, nie już oddziały wojska, ale mniéj więcéj liczne kupy ludzi obdartych, zgłodniałych i przemarzniętych, którzy nie mieli już nawet siły ani odwagi domagania się i grabienia tego co im do utrzymania życia potrzebnem było. Ani chaty, ani dwory, nie mogły nastarczyć żywności i odzieży dla pojedynczych żołnierzy, którzy o jedną i drugą żebrali. Cudzoziemcy nędzniejszemi i bardziéj pognębionemi byli od Polaków; a im któremu w ojczyznie bardziéj niebo sprzyjało, tem się tutaj toż niebo nieprzyjaźniejszem dla niego okazywało.

Dnia pewnego wpadł służący do pokoju, w którym pani domu wraz z dziećmi i kobietami siedziała, oznajmując że we wsi stanęła rota polskiéj piechoty, znużona i przeziębła, ale trzymająca się razem i w wojennym szyku, że ma się rozłożyć na kwaterach i resztę dnia spocząć. „Ażeby państwo wiedzieli — dodał opowiadający — jaki to tęgi oficer niemi komenderuje, jakie ma wąsy szronem pokryte, jakie krzyże aż dwa na piersiach! a prosiłem go żeby przyszedł do dworu, ale on nie, bo mówi: ja nigdy mojéj kompanii nieodstępuję, możeby państwo kogo lepszego jak ja do niego wysłali, bo szkoda doprawdy żeby pan kapitan biedował się w karczmie jak prosty żołnierz.“

Na to opowiadanie pani domu i wszystkie kobiety powstały, bo najprzód były wszystkie ciekawe widzieć znowu polskich żołnierzy, a pani wydała rozkazy aby co można dostarczyć posiłku żołnierzom i oficera do dworu zaprosić. To ostatnie polecenie odebrała Anusia i niebawem udała się na wieś w towarzystwie służącego, który zwiastował przybycie żołnierzy.

W dużéj izbie karczemnéj, dobrze ogrzanéj wielkim ogniem na kominie, leżało po ławach i na podłodze, bez słomy, kilkunastu żołnierzy najsłabszych z całego oddziału, zajmując się opatrzeniem ran to na pobojowisku, to w skutku odmrożenia poniesionych; — między niemi chodził ich dowódzca, to pocieszając jednych, to doradzając drugim co czynić potrzeba, to sam opatrując słabszych. — Gdy Anusia weszła do téj izby i na ten obraz nędzy i cierpień spojrzała; — zatrzymała się mimowolnie na progu, przerażona i litością zdjęta, wahając się czy przed spełnieniem odebranego zlecenia, nienawrócić do dworu po bieliznę i środki opatrunku dla rannych, — i mimowolnie wydała okrzyk, wzruszenie jéj zdradzający.

Na ten odgłos odwrócił się nagle kapitan, spojrzał na wchodzącą, stanął jak wryty, oczy w nią wlepił, i po chwili milczenia wrzasnął jakby w gorączkowem uniesieniu! *Anusia!* A ona stała w miejscu, wpatrywała się w niego, nie chciała dowierzać oczom, ani temu że wymówił jéj imie.... i poglądając chwilę milcząca, czy upiór czy żywy stoi przed nią. Nakoniec wydała okrzyk przeraźliwy, taki jaki tylko przepełnienie miary rozpaczy lub radości, z piersi kobiecej wydać może, — padła bez zmysłów w ręce służącego i po chwili ocuciła się z omdlenia, znalazła się w objęciach tego którego śmierć od lat sześciu opłakiwała.

Dwadzieścia lat późniéj żył w téj saméj okolicy szlachcic na zagrodzie, z wierną żoną swoją. Wszyscy uchylali czapki, wszyscy go poważali, gdy w niedzielę szedł do kościoła w czamarze, na któréj błyszczały dwa krzyże wojskowe... ale nikt jego prawdziwego nazwiska nie wiedział.

F. hr. Skarbek.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

O WYMOWIE KAZNODZIEJSKIEJ.

HOMILETYKA śp. X. HOŁOWIŃSKIEGO.

W Krakowie. Nakładem wydawnictwa dzieł katolickich itd.

(Czcionkami Budweisera 1859).

Przez ogłoszenie *Homiletyki* ś. p. księdza Hołowińskiego, literatura nasza wzbogaconą została dziełem na jakiem jéj zbywało dotąd, dziełem, które w pewnym względzie wyższość ma nad francuzką książką kardynała Maury ułożoną z samych teoryi stylu, a mniéj baczącą na strony historyczne literatury kaznodziejskiéj, również na samego ducha wymowy, który i bez retorycznych figur, samym prostym wykładem pisma, dopełnić może dzieła Apostolstwa, częstokroć trafniéj, niż gdyby się uciekał do powierzchownych ozdób i środków

świeckiego krasomowstwa. Dostojny pasterz kościołów katolickich w państwie rosyjskiem, jako rektor i profesor rzymsko-katolickiéj duchownéj akademii w Petersburgu, wykładając alumnom tychże akademii zasady Homiletyki, teraz ogłoszonéj drukiem, nietyle miał na celu odsłonić im tajemnice sztuki oratorskiéj, wykładać znaczenie metafor, tropów, antitez, porównań itp. figur, ile skłaniać do duchowego podniesienia się, do głębokiego wniknięcia w istotę prawd ewanielicznych i dogmatów Kościoła. Aczkolwiek tedy pierwszy warunek obowiązuje duchownego mowcę aby był przejęty duchem bożym i nauką kościoła, jednakowoż są pewne prawidła i przepisy ku pożytecznemu opowiadaniu słowa. Zbiór tych prawideł stanowi naukę, która z greckiego nazywa się homiletyką, homilia znaczy bowiem mowę do ludu. „Homiletyka naucza, powiada autor, jak należy w duchu kościoła ś. łamać ludowi chleb niebieski prawd chrześciańskich, czyli jak wiarę i jéj boskie zasady za pomocą żywego słowa przeprowadzać w życie; a ten cel i sposób przekazała nam podaniowa mądrość narodów, zowiąc nauczanie to z ambony słowem bożem.“ Podawszy to określenie przedmiotu traktowanego w dziele, zaraz robi uwagę autor, że wymowa będąc własnością naturalną niemoże być braną za rzecz główną w homiletyce, gdyż tym sposobem poddalibyśmy się fałszywym prawidłom w zastósowaniu onych. Prawdy wiary przybrałyby miejsce podrzędne, a całą zasługę przypisalibyśmy człowiekowi i jego zdolnościom krasomowskim.

Kilka wstępnych rozdziałów znajdujemy poświęconych tym uwagom, lubo, ile sądzę, mógł je był autor obszerniéj i żywotniéj traktować. Jakież bowiem powołanie jest większe i piękniejsze jak opowiadanie ewanielii, słowa bożego, przez które świat stał się chrześciańskim, przez które dotąd religia rozszerza się i utrwala między narodami. Mowca duchowny, odpowiadający swemu po-

słannictwu oświecania ludzi, i prowadzenia ich do zbawienia, jest dalszym ciągiem Chrystusa i apostołów. — Kaznodziejstwo więc należy do najważniejszych funkcyi duchownych, ono przygotowuje i uzupełnia wszystkie inne; żeby zaś cudowny wywierało skutek, zawód ten powinien godnie być spełniany. Jeżeli słowo Boże przechodząc przez nasze usta upadla się i przeistacza, Bóg go się wypiera i piętnuje niemocą. Wiadomo że chcąc sztukę jaką praktykować, trzeba się jéj uczyć — również chcąc być kaznodzieją ze skutkiem, trzeba zdobyć sobie dostateczną naukę. Zapewne potrzebne jest duchownemu przedewszystkiem życie przykładne, uczynki zgodne z opowiadanem słowem; lecz ta świętość osoby niewystarcza jeszcze; kto niema daru cudów mogących stwierdzić naukę, powinien uciekać się do środków zostających w mocy człowieka. Dła tego potrzebnym jest wielki zapas nauki, w którym byłoby i obeznanie się z prawdami i przepisami kościoła, i argumentami jego przeciwników, i stanem umysłów w chwili w któréj kaznodzieja przemawia. Nie każdemu dano być doktorem kościoła lub prorokiem, ale każdy w miarę swego talentu ma obowiązek pracować dla pożytku i zbudowania słuchaczów. Z liczby tych najubożsi w duchu nie zawsze najłatwiéj przyjmują nauczanie; częstokroć daleko więcéj trzeba mozołu aby się zniżyć do tych maluczkich, niż żeby się utrzymać na wysokości umysłów wykształconych.

Gdzież więc kaznodzieja pójdzie szukać tej umiejętności? Oto nie we wzorach sztuki retorycznéj, nie w prawidłach wymowy świeckiéj, lecz przedewszystkiem w piśmie świętem, w ojcach kościoła, w teologii, nakoniec w znajomości świata i serca ludzkiego. Aby nabyć tę ostatnią część umiejętności, niekoniecznie trzeba wciskać się w wiry świata, nawiedzać miejsca publiczne i salony — dość badać samego siebie; wszakże i Massylion

wyznał, iż w głębi własnego serca badał namiętności ludzkie.

Jednem z ważnych bardzo zadań — a o czem autor nierozpisał się w części teoretycznéj — jest wybór przedmiotu godny kazalnicy i pożytku wiernych. Polemika i kontrowersya podrzędniejszą tu, zato rzeczy z dogmatyki i moralności zastósowane do potrzeby i zwykłych usposobień słuchaczów powinny mieć przodek. Bez ogólnego planu, trafnego rozkładu także obejść się nie można: jak niemożna spuszczać się na łatwość mówienia; w pierwszym bowiem przypadku często powstaje zamęt, a w drugim powtarzanie się, męczące dłużyzny i pusta deklamacya.

Ś. Franciszek Borgiasz powiada: „Roztropnie jest pisać kazania, niebezpiecznie nie pisać, a bardzo korzystnie w następstwach trzymać się tego sposobu.“ — Dla tego trzeba mieć wielką pewność siebie, równie jak niewyczerpany zapas nauki, ażeby odważać się na improwizacyę w przedmiocie już znanym i wyczerpanym do dna.

Co się tyczy saméj kompozycyi, mówca obiera text z pisma ś. mieszczący już główną myśl kazania, już jego podział. Szczególniéj wstęp wymaga starannego wypracowania, pierwsze bowiem wrażenie bywa rozstrzygające o wartości całego kazania. Nic tam niepowinno być niepewnego, nieokreślonego ściśle lub zaciemnionego. Ojcowie kościoła nieużywali wprawdzie podziałów w swoich kazaniach; lecz takowe są niezbędne, zwłaszcza w przygotowanéj i długiéj mowie. Podział wszakże ma być prosty i z rzeczy saméj wypływający, przytem jasny, ściśle rozdzielony, a nadewszystko pełny i pokazujący wielkość i rozciągłość przedmiotu. Od ogólnego ładu, od związku między częściami, od snucia się myśli z myśli, dowodów z dowodów, zawisła doskonałość kazania.

Nauka i wykład słowa będące jedynym celem wymowy kaznodziejskiéj nieodpowiadają mu, jeżeli mowca stara się wzbudzić tylko czułość nerwową podobnie jakby dźwięki wydobywał z instrumentu. Prawda dobrze pojęta wraża się w umysł i serce, a oraz rozszerza; gdy przeciwnie czułostkowe rozkwilenie prędko ulatnia się. Dzieje się to najczęściéj, gdy mówca wdaje się w malowidła moralne a mniéj w tłumaczenie zasad nauki ewanielicznéj. Łatwiéj bo też malować ułomności ludzkie i gorszące obrazy, niż wykładać praktycznie i gruntownie prawdy chrześciańskie. Moralność oderwana od tajemnic i przepisów wiary, traci na powadze i mocy, na świętości i wspaniałości. Przedstawiać znowu prawdy w sposób zbyt ogólny i pobożny, niewyprowadzać z nich następstw praktycznych z pożytkiem słuchacza; miotać się na grube występki, zamiast karcić codzienne nałogi i nawyknienia życia — są również błędami jakich na ambonie unikać należy.

Co się tyczy argumentów czyli dowodów, można je czerpać, zawsze z uwagą na rodzaj słuchacza, bądź w piśmie ś. bądź w koncyliach, w ojcach kościoła, we własnym rozsądku i w doświadczeniu. Przykłady trafnie przytoczone dzielną są bronią do przekonania. Jeżeli bowiem pierwszym obowiązkiem mówcy nauczać, to drugim wzruszać. Kazanie niewstrząsające wewnątrz, nie wdzierające się we wszystkie tajniki duszy, w połowie osiąga cel. Niedość oświecić, trzeba złamać i pociągnąć wolę. Kto sam przejęty i wzruszony ten przejmie drugich i wzruszy: *Si vis me flere, dolendum est primum ipsi tibi.*

Tylko w prawdach wiary i we własnych uczuciach, a nigdy w sztucznéj exaltacyi, ani w kwiatach oratorskich, znajdzie mówca najsilniéj wzruszające natchnienie.

Dla tego słowo Boże niepowinno być niewolnikiem wymowy świeckiéj. X. Hołowiński obrabia ten punkt

najlepiéj, dając takie porównanie kaznodziejstwa z krasomowstwem: „Kaznodzieja opowiada nie swoje rzeczy, ale co Bóg i Duch ś. w kościele podaje do nauczania; mówca przedstawia własne myśli, własne uczucie, własny sposób widzenia; pierwszy więc opiera się na boskiéj prawdzie, drugi na swéj osobistości; w pierwszym przemaga wykład, w drugim nad wszystko góruje wymowa; pierwszy zaciera swą osobistość, drugi musi ją mieć na ciągłym względzie. Pierwszy nie szuka chwały swojéj, nie pragnie oklasków, nie pochlebia panującym namiętnościom, nie idzie z duchem czasu, ale walczy z nim jeśli się prawdzie sprzeciwia, a najszczęśliwszy, gdy mu się uda choć jedną duszę wyrwać z obłąkania fałszu, choćby miał znieść urągania, szyderstwa i uciski, bo w nich smakuje, niespodziewając się w doczesności zapłaty, ale u Ojca niebieskiego. Drugi zakłada swą zapłatę w ludziach, w tryumfie swéj opinii, w oklaskach i chwale otaczającéj wymowę i dba tylko o większość słuchaczów, mając za główny powód interes chwilowy i cząstkowy, a za nagrodę chwałę, albo próżność.“ — Przez pokazanie tych różnic, podniósł autor znaczenie kaznodziejstwa do téj wysokości, na jakiéj stać powinno; ale bynajmniéj niepowiedział przez to, żeby mowca duchowny nieśmiał kształcić swego umysłu na pięknych wzorach świeckiéj wymowy — owszem tam się może nauczyć architektoniki w składzie całości, proporcyi w częściach, czystości w wysłowieniu, trafności w wyrażeniach się i téj dykcyi co się niewlecze ospale, ale unosi ze sobą.

W ogóle część teoretyczna Homiletyki, ledwo naszkicowana; niektóre tylko prawidła rozwinięte więcéj, inne, o których wyżéj napomknąłem, pominięte; a chociaż spotkać się z niemi można w dalszym ciągu, mianowicie w uwagach nad kaznodziejami pierwszych wieków chrześciaństwa i późniejszemi, niewyłączając i polskich mow-

ców kościelnych — jednakowoż w książce mającéj znaczenie elementarne, niepowinny być przepomnianemi.

Jak się pokazuje z całego układu, autor miał zamiar historycznie przebiedz dzieje kaznodziejstwa, i z przykładów wyprowadzać prawidła wymowy kościelnéj. Że taki był jego cel, widać to z rozdziałów początkowych, gdzie mówi o nauczaniu religijnem w starym i nowym zakonie; poczem przechodzi do apostołów, a następnie wiek po wieku wylicza najznamienitszych mowców, i daje z nich wyjątki aż do 13go stólecia, odkąd bierze już kaznodziejów polskich, każących z razu po łacinie, późniéj po polsku, i kończąc na siedmnastym wieku, zamyka poczet mowców obszerną monografią X. Tomasza Młodzianowskiego.

Niemożna było trafniejszego obrać planu, jak plan X. Hołowińskiego; ujął bowiem ten wspaniały konar literatury przy samym jego pniu, aby pokazać nieustanne działanie Ducha ś. na apostolstwo kościoła. Jakoż osobliwe przedstawia się zjawisko. W początkach chrześciaństwa występuje kościół walczący z pogaństwem i odpierający jego ciosy — to wiek apologistów; następnie zajęty wykładem prawd nauki — to wiek doktorów; nareszcie zwycięzki i ustalony zaprowadza karność i hierarchię — to wiek ojców, jeniuszów kościoła.

Walka — tryumf — panowanie — trzy chwile, a w nich że tak powiem: klasyczna wielkość téj literatury. W ciągu średnich wieków, kiedy wszelka kultura rozoraną była kopytem hord mających się zamienić pod wpływem światła Chrystusowego w narody — wymowa kaznodziejska często doznawała szwanku, jak to widać w rozporządzeniach synodów co do używania dawnych homiletów, lub w nakazie Karola W. robienia zbiorów kazań — lecz to była przemijająca niemoc, więcéj z braku oświaty, wywrotu społeczeńskich stosunków, niż z braku gorącości ducha, wynikła. Dla tego też myliłby się bardzo, ktoby

chciał to samo prawo rozwoju, jakiemu ulegała pogańska wymowa Grecyi lub Rzymu, stósować do wymowy chrześciańskiéj, która nagle wystrzela, znowu w nicość zapada i tak się wlecze, póki znowu na niesłychanéj wysokości nie stanie. Od 6go do 11go wieku kościół nie przestaje głosić słowa z równem namaszczeniem, lecz to słowo nieprzebija się do głośnego znaczenia w dziejach świata — dopiero w wieku 12 za krucyat pojawia się *Doctor mellifluus* ś. Bernard, w następnym Tomasz z Akwinu — a za nimi szereg ubogich zakonników którzy wymowę kaznodziejską wznoszą, aż do spekulacyjnéj mistyki, albo robią ją humorystycznym obrazem powszedniego życia, popadającym niekiedy w trywialność, przez co ułatwiają przystęp krasomowstwu starożytnemu w epoce odrodzenia się nauk klasycznych.

Rzut oka na ten dziejowy pochód wymowy duchownéj, byłby dość się przydał w *Homiletyce* X. Hołowińskiego; bo chociaż rysy te można by zebrać z osobnych jego studyów nad ojcami kościoła, jednakowoż byłoby to niemałem ułatwieniem, zwłaszcza że uczący się potrzebuje mieć ogólne wyobrażenie, aby pod nie zgrupował rozpierzchłe szczegóły. Lecz autor założył sobie obeznać czytelnika z każdym mówcą kościelnym, biorąc go tylko w oderwaniu od historyi, a jedynie teoretycznie streszczając jego pisma. Tym sposobem wiekami przechodzi ojców łacińskich i greckich: Tertuliana, Cypriana, Orygenesa, Hipolita—Laktancyusza, Ambrożego, Hieronima, Augustyna, Atanazego, Bazylego, Grzegorza Naryaneńskiego, Jana Złotoustego—następnie: Grzegorza W. Bedę, Anzelma, Bernarda, Bonawenturę itd. To postawienie ojców łacińskich z ojcami greckiemi obok siebie, porządkiem chronologicznym, niema nic w sobie przeciwnego; owszem pokazuje wspólność dogmatu, wyobrażeń i uczuć chrześciańskich; lecz z drugiéj strony prowadząc osobno szereg

jednych i drugich, odkryłyby się wybitniéj rysy charakteryzujące zachodnich i wschodnich ojców, i w jaki sposób wyrabiała się myśl chrześciańska na tle odmiennego jeniuszu tych narodów. Różnica bowiem była ta sama, co się spostrzega w literaturach pogańskich tak rzymskiéj jak greckiéj.

Literatura łacińska świecka, acz niższa od greckiéj, nosi wybitną cechę osobistości. Czy w poecie, czy historyku, czy filozofie wszędzie wyciśnięte piętno rzymskie. Lecz nietylko odznacza się tym charakterem silnéj narodowości, co wszystko do siebie odnosi, siebie we wszystkiem widzi, ale krom tego, obudza interes uniwersalny przez związanie się z każdym ludem, z wszystkiemi tradycyami starożytnego świata. Hiszpania, Afryka, Galia, Germania, znajdują w niéj dzieje swoich początków. Rzym na to brał pióro do ręki aby zapisywał zwycięstwa i zdobycze, dyktował prawa i rozszerzał granice swego państwa.

Literatura grecka szła inaczéj. Ten punkt stały, ta jedność, do któréj tak łatwo sprowadzić literaturę łacińską, nieznajduje się w niéj; za to ma inny, wyższy, lecz trudniejszy do ujęcia. Zapewne przedmiotem poezyi, historyi, filozofii u Greków, była Hellada — lecz nietyle obchodziło ich aby zabierać ziemie, tworzyć państwo materyalne, ile aby panować podniosłością uczuć i pięknością. Platon kreśli plany republik, ideały prawodawstwa, a choć te patrzą na marzenia, jednakowoż w marzeniach tych cała ludzkość objęta. W historyi toż samo, walki greków mają znaczenie bynajmniéj nieodnoszące się do tryumfu tego lub innego państweczka, lecz do zwycięztw cywilizacyi nad barbarzyństwem, wolności nad despotyzmem — zgoła wszystko u nich jest uduchowione i uniwersalne; jeniusz grecki żyje i oddycha w pełniejszem świetle, wyższéj atmosferze niż rzymski; ten jest ściśle praktyczny, tamten idealny; ten na-

rodowy, ów kosmopolityczny; pierwszego cechą wielkość, drugiego piękność.

Ta różnica w geniuszu pogańskim Grecyi i Rzymu, da się dośledzić w pismach chrześciańskich zachodnich i wschodnich ojców. Czytając Tertuliana, ś. Ambrożego, ś. Augustyna, napotyka się obok wielkiéj wymowy strony czysto historyczne; jakoż znajdziesz tam jak się poczęła, wyrabiała i utrwalała karność, moralność i hierarchia chrześciańska; niedość na tem, obok historyi stolicy biskupiéj do któréj piszący należy, znajdziesz u niego i historyę powszechnego kościoła. Jeżeli ojczyzną jego Afryka, niepoprzestanie na opinii dziejów afrykańskiego kościoła, ale zainteresuje się równie kościołem w Gallii, Włoszech, Hiszpanii.

Wschodni ojcowie niemają téj uniwersalności. Ś. Grzegorz Naryaneński, Bazyli, Chryzostom, dzierżą wschód, lecz nieprzechodzą po za jego granice. Więcéj są mowcami, jak naczelnikami władzy; panują słowem nad ludem zachwyconym bogactwem i pięknościami ich języka, lecz niewidać aby w silne karby brali społeczność chrześciańską, aby nadawali jej organizacyę i głębsze piętno. A jak w literaturze greckiéj pogańskiéj niebyło innéj jedności, tylko w pięknie estetycznem, i w téj miłości kształtów uroczych i czystych będących ideałem greckiéj wyobraźni i uczucia — tak samo i w kościele greckim jedność ta mieściła się w gorącości saméj wiary i w téj miłości chrześciańskiéj przenikającéj Chryzostomów, Bazylich, Grzegorzów. Jeniusz ojców kościoła wschodniego przedewszystkiem uniwersalny więcéj zajmuje się stroną moralną niż dogmatyczną, a zyskując na swobodzie i piękności, staje się mniéj historycznym, mniéj w rzeczywistość wnikającym. Ojcowie łacińscy nieubiegający się o formy zewnętrzne w pismach swoich, mają więcéj siły niż greccy, którzy acz świetni, obfici, gładcy, rzadziéj odsła-

10*

niają widoki nowe i głębokie, pierwsi bardziéj są doktorami kościoła, drudzy krasomowcami; u pierwszych styl i język często chromieje, a choć natrafia się na szczytne piękności, lecz te są pomięszane z wadami kompozycyi. Przeciwnie ojcowie wschodni wszędzie są poprawni, Grecya bowiem długo zachowała swój język w nienaruszonéj czystości, kiedy łacina prędko zaczęła ulegać skażeniu.

Postawiwszy tę różnicę pomiędzy jednymi a drugimi byłby autor Homiletyki wielce ułatwił zapatrywanie się na ich pisma; tymczasem on biorąc w oderwaniu każdego z tych pisarzów kościelnych, charakteryzował tylko sposób pisania i wykład, a stosunek historyczny pomijał, co szczególniéj w ojcach łacińskich którzy byli prawdziwymi organizatorami, którzy rękę trzymali na pulsach społeczeństwa zyskanego dla kościoła, którzy śledzili każdy ruch opinii, i niecofali się przed żadną walką — jest ważnym bardzo rysem, bo pokazującym nietylko pisarza, ale i całego człowieka; a były to wielkości niedające się porównać z niczem; święci życiem, niedoścignieni myślami.

Autor Homiletyki, jak już wspomniałem przebiegł dzieła najznamienitszych kaznodziei i apologistów wiekami i w obrębie historyi kościoła, a doszedłszy do 13go wieku opuścił dalszy ich szereg, a zajął się wyłącznie kościelną wymową w Polsce. Początki niewiele mogły mu dostarczyć materyału, bo takowy niedochował się, dopiero w 15 stóleciu z odrodzeniem nauk, świeży prąd myśli, a raczéj świeża umiejętność oddania ich, przedarła się do nas z Włoch pod przewództwem Grzegorza z Sanoka, który słowem i przykładem zaczął występować przeciw metodzie scholastycznéj. Metoda zaś ta to miała do siebie, że zabijała samodzielność mówcy, który ciągle uciekając się do powagi słów Arystotelesa lub ś. Tomasza, nawet w rzeczach najprostszych i naj-

widoczniejszych, pozbawiał się tem samem własnego rozumowania, wnioskowania i zdrowego rozsądku; a uganiając się za subtelnościami prawie dziecinnemi, tracił z oczu najbliższy cel kazania. Zwolennicy nowéj metody tak zwani humaniści, popadali w podobnyż błąd, przenosząc całą powagę na autorów klasycznych, i zbyt wiele polegając na retorycznych ozdobach. Z tych jednak dwóch kierunków wyrobiło się wzorowe kaznodziejstwo polskie w 16 wieku.

Z piętnastego wieku, aczkolwiek mamy ułamki kazań po polsku, lecz z tych niewiele wnosić można o stanie wymowy, więcéj służą one do historyi języka; to jednak pewna, że kazania jakie nas doszły po łacinie, były mówione niekiedy po polsku, a potem dopiero tłumaczone; pisać bowiem w języku narodu było wtenczas grzechem przeciw uczoności, zresztą kazania z téj epoki późniéj ogłaszane drukiem były najwięcéj mówione albo na dworach, albo w Rzymie, albo na soborach i synodach, przeto niestósowały się do potrzeb ludu, ale do słuchaczów wybranych dla których łacina i erudycya niebyły obcemi, autor niepomija tych zabytków i pilnie rozbiera kazania Marcina Polaka, Peregrinusa, Mikołaja z Błonia, Stanisława ze Skalmierza, Laskarego Gosławickiego, Elgota, Mikołaja Lasockiego, wymieniając i innych, których kazania przechowują się w rękopismach, jak ś. Jana z Kent, i najcenniejsze ze wszystkich kazania Zbigniewa Oleśnickiego bo nie łacińskie, lecz w ojczystym języku. Bezwątpienia że i wiek szesnasty niebyłby wzbogacił literatury naszéj wzorami wymowy duchownéj, gdyby nie ta okoliczność że wkradająca się reformacya poczęła działać na lud postyllami i ulotnemi pismami ułatwiającemi szerzenie błędów — przeciw czemu zaraz powstali duchowni i aby lekarstwo sięgnęło równie daleko jak rozchodziła się zaraza, kazania swe drukiem ogłaszać zaczęli. Kościół bowiem posiadający

zawsze ogrom nauki, mniéj dufał w mądrość ludzką i niebył do autorstwa pochopnym, zmuszony tylko używał środka pochwyconego przez Reformatorów. Dlatego cechą wymowy kaznodziejskisj w Zygmuntowskim wieku jest walka z różnowiercami, ale nie w polemice, nie w dysputach, tylko wypływająca z téj wyższości jaką ma prawda, gdy za łaską Bożą wstąpi do serc i rozgrzeje je wielkim ogniem. — Nasza literatura kaznodziejska odrazu się uformowała i dojrzała. Wszyscy kaznodzieje téj epoki stoją na jednym stopniu doskonałości; w każdym przebija się głęboka znajomość pisma ś., ojców, historyi kościoła z jego tradycyą, ustaw, dogmatów, i pod względem téj erudycyi niemożna jednego stawić nad drugim — wszyscy sobie równi. Jedyna różnica zachodząca między nimi opiera się na większéj lub mniejszéj biegłości w naukach świeckich, i znajomości spraw krajowych. W stylu także odrazu są doskonali — władają wybornie językiem, co dowodzi, że nie z Rejem z Nagłowic poczęła się literatura polska, tylko dobrze dawniéj umiano już myśli w ojczystéj mowic zrozumiale i gładko oddawać.

Autor Homiletyki przechodzi poszczególnie znaczniejszych mowców kościelnych, jako to: Karnkowskiego, Skargę, Białobrzeskiego, Jakuba Wujka, Wereszczyńskiego, Grodzickiego, Mościckiego, Wysockiego, Sokołowskiego, Bzowskiego. Poczet ten kilku imion — to pierwszorzędne gwiazdy naszéj literatury. — Wiek 17 noszący znamie psucia się języka, upadku świeżych myśli w literaturze świeckiéj, odbił się wadami swemi w wymowie kościelnéj. Autor trafnie go określa: „Odstąpiono od klasycznéj metody 16go wieku, zaczęto mniéj starać się o oświecenie słuchacza, jak o zapalenie jego ujęcie i przypodobanie mu się wmięszaniem dowcipów, gadek, lub mówiąc językiem tego wieku, perełek; kazania musiały stracić przezto na powadze, straciły tem

samem na skuteczności i przyszło do tego, że w naszych czasach nietylko lud, ale i większa część klas wyższych zupełnie nie znają religii.“ Był to w pewnym względzie powrót do scholastycznéj metody, uciekającéj się do subtelnych igraszek dowcipu, do drobiazgowych kwestyi i dysput. Trzech tylko mowców wymienił autor z téj epoki, to jest: Birkowskiego, Starowolskiego i Młodzianowskiego, jako tych, którzy wznosząc się nad pospolitość darem przyrodzonym, niemogą jednak pozbyć się niedostatków swojego czasu. W ogóle nieznali oni swego języka gramatycznie, nieprzywiązywali do niego żadnéj wagi, nieczynili żadnego wyboru między słowami, które wszystkie, jak szlachta, miały równość szlachecką, i wszystkie używały praw obywatelstwa w jakimkolwiek stylu i przedmiocie. Każdy tam piszący bynajmniéj nie panuje nad językiem, ale mu ulega i płynie z wodą powszechnego mówienia. Cała ich nauka w tym względzie — pi-ucho; biorą oni wszystko co jest w towarzystwie, i błęszą od ucha bez żadnéj osobistéj poprawy; wiele błędów gramatycznych wkradło się tym sposobem; wiele wyrazów nie polskich ale otartych w mówieniu, weszło w ich piśmiennictwo. W Zygmuntowskiéj epoce pisarze nadawali kierunek językowi, a towarzystwo go przyjęło; w siedmnastym wieku sam lud kształci swój język rozwija go i ubogaca; autorowie zaś pod jego dyktowaniem spisują z pamięci. Wszystkie żywioły narodowe, które z powagą i ukształconym smakiem literatury rzymskiéj niemogły znaleść miejsca w literaturze szesnastego wieku, wtargnęły hurmem do piśmiennictwa, widzisz tam rubaszność, ironią i dowcip narodowy; jakąś swobodę we wszystkich ruchach, bynajmniéj nie skrępowaną, a nadewszystko spostrzegasz to, co się zowie *zacięcie polskie*, którego opisać trudno, ale uczuć je każdy może; jestto jakaś męska zamaszystość, jakaś w niewielu słowach dziwna dobitność. Jakkolwiek tedy wzory wymo-

wy Zygmuntowskiéj zalecają się porządnem, loicznem wysnuciem myśli, wykładem zupełnym i wyczerpującym przedmiot, prostotą, prawdziwością uczuć i trafnością rozumowania, a oraz dziwną ogładą stylu, częstokroć przypominającego okresami cycerońskiemi togę rzymską — tak z drugiéj strony kaznodzieje siedmnastego wieku, mimo wad swoich, umieli w kazaniach odźwierciedlić życie towarzyskie; tam nic nieopuszczono, co się odnosi do kraju: wiara, obyczaje, rząd, stosunki panów z poddanymi, finanse, szlachectwo, zamieszki, wojny, mordy, powietrze, słowem wszystko a wszystko, jak trwogi tak i nadzieje z bijącem się sercem oddane, jakby dla przechowania nam ówczesnych wrażeń i poruszeń. Żadna gazeta naszych czasów — dodaje autor — niedonosi tak o najmniejszem zdarzeniu, jak kaznodzieje ówcześni o każdem poruszeniu się radośnem lub smutnem w ich krainie.

Perłą w téj Homiletyce nazwałbym obszerne studium poświęcone rozbiorowi kazań X. Tomasza Młodzianowskiego, które jest ogromnym skarbem mieszczącym nieoszacowane rysy do życia narodu w 17 wieku — to drugi Pasek na ambonie. Licznemi wyjątkami wybornie go scharakteryzował X. Hołowiński — jakaż bo to wymowa, jakie przejęcie się rzeczywistością, i jakie tłumaczenie jéj w duchu pisma ś. i prawdy bożéj! Ten między wieloma ustęp, gdzie kaznodzieja uważa za cud istnienie rzeczypospolitéj śród takiéj anarchii i wojen domowych jakie wstrząsały ją za Jana Kazimierza — najlepiéj da poznać czytelnikom wartość zapomnianego dziś pisarza. Który to z najzawołańszych historyków naszych skreślił kiedy taki obraz utrapionéj rzeczypospolitéj jak X. Młodzianowski w tym kawałku, kiedy mówi: „Kędyż Chmielnicki z Chamem sprzysięgłym? Niemasz ich. Kędy Rakocy i potencya siedmiogrodzka? I życie i panowanie stracił. Kędyż Karol Gustaw z po-

siłkami herezyi? Ztrupiał: a Jan Kazimierz żyje, korona trwa. W jednymże roku królestwo prawieśmy stracili i ledwo nie odebrali. Otóż Cię Panie Boże, nazwę Bogiem naszym, Bogiem cudownym. Pan z tobą narodzie mój! Rozkochajcie się Polacy w Panu Bogu waszym, bo tak jest dobrotliwy na naród nasz! — Czyżbym ja był sam w tak bogatéj kazał stule? Czybyście wy byli stanęli tu w sobolach, rysiach, bławatach; a ty, stanie białogłowski, w ozdobach swoich i klejnotach, gdyby nie był łaskaw ten Bóg naszéj ziemi, Bóg nad nami cudowny? Nieoddawajcie złe za dobre Panu Bogu naszemu. I to u mnie dowód, że Pan Bóg z tobą korono, bo szczególnie Bogarodzica Panna jest przy tobie. Forteco częstochowska, jakoś nieprzyjacielskie szturmy i potęgę wstrzymała? Izali Szwedzi misterniejszych niebrali zamków? Któż cię obronił? Bogarodzica Panna przy nas stojąca. Pamiętacie że po ślubie Bogarodzicy Pannie uczynionym we Lwowie, poczęliśmy Szweda zwyciężać i z korony wypędzać. Dla młodych przypomnę to, że kiedy we Lwowie *Te Deum* śpiewano w obecności królewskiéj, świeca zgasła na ołtarzu i zdał się to być zły znak, i porwał się dworzanin pokojowy zaświecić świecę, król jegomość niekazał jéj zapalać; w tem dymiła się długo, a potem się sama przez się zapaliła. Świeco korony, jakoż gaśniesz! Wielki to gas, kiedy familia Jagiellońska ustaje! Dmuchają na tę świecę przeciwne od wschodu wiatry Turków i Tatarów; Spraw to Boga Rodzico Panno, aby się znowu ta świeca zapaliła, berłem swem zaświeciła. Przemów Boga Rodzico Panno, do téj służebnicy twojéj, korony naszéj *Dominus tecum* Pan z tobą.“

Niepodobna byłoby pokazać tutaj mnóstwa tych ustępów odznaczających się oryginalną i tak z życia braną wymową, jak powyższy; ani też przytaczać te apologi i parabole jakie hojnie rozsypał X. Młodzianowski,

a które stawiają go na równi z tem co starożytność i nowożytność najszczęśliwszego posiada w rodzaju apologu, szczególniéj nie pod względem sztuki obrobienia, lecz twórczości i wynalazku. Z tego widzimy że wymowa siedmnastego wieku nietyle zaleca się formą, poprawnością stylu, klasycznem obmyśleniem planu, ile naturalnością i tem zniżeniem się do popularnego wykładu, od którego zawisł najwięcéj może zbawienny skutek kazania.

Co do części dzieła traktującego o kaznodziejach polskich, spotykać można gęste uchybienia, szczególniéj w przekręconych nazwiskach — a chociaż przypisek ostrzega o tem, jednakowoż należało porobić stósowne sprostowania; w elementarnych bowiem książkach, jak powyższa, podobne zaniedbanie przyczynia się do ustalenia błędnych wiadomości. Poprawki tych błędów dodane na końcu mogłyby złemu zaradzić; zwłaszcza iż książka tak pożyteczna powinna znaleść się w ręku licznych czytelników.

Lucyan Siemieński.

OD REDAKCYI.

W chwili gdzie wypadki tak przeważnie głos zabrały, że wszelkie rozumowania tracą znaczenie, a położenie polityczne z każdym dniem zmienić się może, pozwalamy sobie zastąpić w *Dodatku* artykuł polityczny opisem ostatnich chwil męża, po którego stracie kraj cały długo jeszcze żal w sercu nosić będzie. Dodać winniśmy że „Wspomnienie o Zygmuncie Krasińskim“ przez Lucyana Siemieńskiego w przeszłym zeszycie *Dodatku* zamieszczone, nie było jeszcze znanem szanow. Autorowi artykułu niniejszego, w chwili kiedy go pisał.

OSTATNIE CHWILE

ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO.

Wielka boleść zwykle jest niemą. Milczenie jest częstokroć wymowniejszym wyrazem żalu od łez wylanych i jęku cierpienia. — Od 23 lutego dnia w którym Bóg powołał do siebie Zygmunta Krasińskiego dwa miesiące upływa, a żaden z dawnych towarzyszów, z najbliższych przyjaciół zmarłego nie zdobył się dotąd na odwagę przemówienia o nim do rodaków; każdego z nich usta i ręka strętwiały boleścią. A przecież głos żalu narodowego rozległ się wzdłuż i wszerz po wszystkich krajach polskich, i wszędzie gdzie się jawnie mógł objawić, wzniósł się w gorących modłach publicznych, w żałobnych słowach kaznodziejskich — w mowie i w piśmie.

Kiedy w dniu 26 lutego przez ulice Paryża ciągnął się orszak pogrzebowy, który w zgodnem uczuciu składali ziomkowie nasi, równie mężczyzni jak niewiasty, starcy, młodzieńcy, dzieci, różna zasługa, różny wiek i różny stan, który niezwykły obraz powszechnéj miłości,

poszanowania i żalu przedstawiał, który wyobrażał hołd całego narodu jakby w jedną rodzinę skupionego, pytali się z współczuciem i z ciekawością mieszkańcy tutejsi, kto to był ten zmarły, który po zgonie takie oznaki czci odbierał, a gdy im jego nazwisko wyrzeczono, dziwili się, bo go nigdy wspomnianego w ciągu wypadków współczesnych nie słyszeli. Ale bo też imie jego i w kraju nawet nigdy głośno nie brzmiało, i nie ukazywało się jawnie, i żaden wyraz natchnienia i uczucia zrozumianego przez wszystkich, żaden utwór poezyi oznaczony wyraźnie tem imieniem nie krążył w świecie. Życie nawet Zygmunta najczęściéj wśród niemocy fizycznéj za granicami kraju pędzone, zamykało się w ciasnem kole rodzinnem i najpoufalszych przyjaciół. Nie wielu z rodaków znanym był osobiście — a przecież kraj cały go ukochał, szanował, dziś go płacze, bo kraj cały jakby magnetycznie odgadł i zrozumiał jego duszę. I nie tylko odgadł ją i zrozumiał, ale się jeszcze jéj światłością oświecał, siłą jéj wiary pokrzepiał, zacnością jéj przekonania i uczuć oczyszczał i uszlachetniał. — Między nim a naszym drogim zmarłym zawiązał się tajemny stosunek wzajemnego pojęcia się i miłości. — On niewidziany, i mało znany z osoby, rozsiewał na braci jasne i ogrzewające promienie, i jeżeli porównania użyć mi wolno, był on w udzielaniu skarbów swego ducha, tym możnym a dobroczynnym szafarzem dostatków, który świadcząc potrzebującym ukrywa się, lecz którego hojność daru i sposób w jaki udzielony bywa wydaje przed obdarowanym i nie błędną obudza w nim wdzięczność. — Dziwnem też było przeznaczenie, wyjątkowem życie Zygmunta, przepełnione poezyą i nadzwyczajną dramatycznością. To czego ludzie wyższemi darami niebios obdarzeni zwykli najchciwiéj pożądać, to co ich miłości własnéj, nawet dumie najbardziéj pochlebia — rozgłos, chwała, tego on najstaranniéj unikał,

i krył się przed niemi. Nie on szukał sławy, sława szukać go musiała i znalazła. Przebiegając myślą różnego rodzaju chwały ludzkiéj, nie znam żadnéj równie czystem światłem jaśnéj, i tak starannie osłonionéj, równie głośnéj i równie tłumionéj, równie zasłużonéj i równie zgodnie przyznanéj. Nie spotkałem też nigdy żalu równie szczerego i tak powszechnego.

A jeżeli kraj na którego widowni nigdy się nie ukazał, jeżeli rodacy z których nie wielkiéj liczbie znany był osobiście, tak go sobie umiłowali, taką czcią opromieniają jego pamięć, jakaż musiała być dla niego miłość, jaki żal po nim tych, którzy z nim z bliska w ciągu jego bolesnego życia przestawali, którzy ducha i duszę jego nie z samego odzwierciedlenia się ich w piśmie znali, ale codziennie uwidomione je oglądali to w żywem słowie, to w czynach. Jaka boleść, mówię, tych którym się on bez żadnéj osłony objawiał, nie tylko jako wieszcz miłością i wiarą całego życia natchniony ale jeszcze jako człowiek najdostojniejszy moralnie, jako najzacniejszy syn, mąż, ojciec, przyjaciel, obywatel, prawowierny i przekonany syn Kościoła, jako prawdziwy chrześcianin szybkim krokiem posuwający się ku doskonałości, i już bliski jéj osiągnięcia. Ci więc, ci towarzysze, przyjaciele jego, którzy znali wszystkie kształty, w jakie się duch jego wcielał, w które się jego wielkie serce przelewało, ci mają obowiązek przedstawienia go rodakom w całéj jego postaci. A ten wierny jego wizerunek będzie mógł przynieść tę pociechę iż naród wsród którego tak wzniosłéj i czystéj duszy męże powstają, jeszcze nie upadł moralnie, i w dziedzinie ducha potępienia na siebie nie ściągnął.

Nie dziś pora, i nie tu miejsce do opowiedzenia żywotu Zygmunta, lecz gdy kreślący te słowa otrzymał od Boga tę na całą dalsze życie pociechę, że mógł być

świadkiem ostatnich dni jego, uczestnikiem ostatnich jego myśli i uczuć, że mógł zbliżać się do łoża jego cierpień a potem zgonu, dopomagać w pieczy nad nim, i w usłudze przyjaźni, mniema, iż ziomków oczekiwanie zaspokoi, i rzecz im miłą uczyni, o tych właśnie dniach ostatnich krótkie tu umieszczając wspomnienie, i zawiadamiając ich jakie relikwie natchnienia i umysłu, jakie drogie pozostałości piśmienne po nim, jako dziedzictwo do nas wszystkich należące uważać nam będzie wolno.

Od lat najmłodszych życie Zygmunta Krasińskiego było ciągiem dotkliwych cierpień fizycznych. Zaledwie liczył lat szesnaście kiedy niesprawiedliwość jakiéj wśród współtowarzyszów doznał, pierwszą moralną boleścią rozraniła jego wrażliwą duszę, nadała stanowczy kierunek jego uczuciom i na całą przyszłość wpływ wywarła. Odtąd ciągle dziwnie wikłały się jego losy i zmuszały go do zostawania nawet wśród okoliczności krajowych które się wkrótce potem rozwinęły, w położeniu będącem w sprzeczności z jego najgłębszemi uczuciami i drażniącem je najokrutniéj. Niema dla duszy szlachetnéj trudniejszéj walki, jak kiedy skazaną się widzi, na wybór między dwoma sprzecznemi obowiązkami. Walka ta i mus wyboru, niezatarty nigdy ślad w niéj, i niezgojną ranę zostawia. Na taką konieczność nie raz był Zygmunt narażony, a wspomniawszy ile jego gorące i szlachetne serce boleści w powszechnem cierpieniu znajdowało, łatwo wyobrazim sobie jego długie męczeństwo moralne, które tak przeważnie na stan jego zdrowia wpływało. Od dwudziestego też roku życia zarody fizycznéj niemocy rozwijały się, różne przybierając postaci. Przymuszony za krajem szukać łagodniejszego powietrza i lekarzy którym ufał, dwadzieścia kilka lat wśród ciągłych cierpień ciała i duszy przeżył, cierpień które wycieńczały jego siły i ostatnią śmiertelną spro-

wadziły chorobę. W roku przeszłym wśród lata pierwszych ich oznak dostrzegł sławny lekarz Drezdeński Dr. Walther, a gdy przepisana kuracya u wód Emskich nie przyniosła ulgi, tenże Dr Walther najusilniéj mu zalecał przepędzenie zimy pod słońcem południowem. Podróż ta nie dogadzała mu, nie chciał odłączyć się od rodziny, od synów, nad których wychowaniem i nauką straż baczną rozciągał, i żądał jeszcze zasięgnąć rady w Paryżu Dr. Louis wsławionego szczególniéj znajomością dokładną chorób piersiowych. Ten aczkolwiek rozpoznał niebezpieczny postęp choroby, czy ufał swojéj sztuce czy przekonawszy się o wrażliwości wyobraźni chorego, lękał się jéj obudzić, zataił przed nim grożące niebezpieczeństwo, i nie używszy powagi, jaką się zawsze lekarz w obec chorego uzbroić powinien, nie potrafił go skłonić do śpiesznego na południe wyjazdu.—

Tymczasem nowy grom zawisł nad jego głową, wieść go doszła o niebezpiecznéj chorobie ojca. Sam pośpieszyć do niego nie mógł znękany własną niemocą, lecz sam niejako pośpieszył w osobie ukochanéj małżonki, któréj umysł każdą myśl jego, któréj serce każde uczucie tak wiernie odbijało, zawsze prawie odgadnione nim się jeszcze objawiło, i która w miłości znajdowała zawsze dzielną siłę na każdy trud, ofiarę, poświęcenie, która go nakoniec przy sędziwym ojcu w najuroczystszéj, i najsmutniejszéj nawet godzinie najprawdziwiéj wyobrazić i zastąpić mogła. Od chwili nadejścia bolesnéj wieści, każdy dzień niepokojem który nim miotał targał jego siły. Ale bo też on ojca ukochał taką miłością, otaczał takiem uszanowanim, jakich wśród dzisiejszego rozprzężenia rodziny i osłabienia powagi rodzicielskiéj rzadki już przykład. W sercu jego, i to było jedną z najjaśniejszych stron i zasług jego duszy, miłość synowska prawie namiętności nabierała charakteru.

Gdy więc ugodził w niego cios zgonu ojcowskiego, zgniótł go, skruszył, i ostatnie siły do walczenia z niemocą ciała odjął. Ale bo też po tym zgonie jakże boleść jego była wieloraka i różnorodna. Były to już najsilniejsze lecz ostatnie tortury męczeńskiego żywota. Wśród téj boleści odosobnił się od ludzi, od najbliższych sobie; tych tylko w małéj bardzo liczbie przypuszczał do siebie, których uznał za najzdolniejszych do rozumienia i dzielenia jéj.

I w téj męce duszy przeżył trzy miesiące. Na miesiąc przed ostatnim dniem jego, połączył się z nim dwudziestokilkoletni przyjaciel *), który acz naglony do powrotu innemi obowiązkami, oderwać się już od niego nie zdołał, pieczołowitością i poświęceniem otoczył go, i ostatnim chwilom jego życia wszelkie pociechy przyjaźni przyniósł. W ciągu tych miesięcy przedzgonnych rankami czuł się zawsze silniejszym i orzeźwionym, i poświęcał je pracy. Po śmierci ojca ochłonąwszy z pierwszego bólu, jął się spisania jego życiorysu w francuzkim języku, przeznaczając go dla rzeźbiarza, któremu wykucie pogrobowego pomnika wyobrażającego postać ojcowską chciał w Rzymie powierzyć. Ta praca niosła mu w boleści ulgę, wskrzeszając niejako ukochanego rodzica, i tak wyraźnie stawiając mu go w początkach jego zawodu przed oczyma. Spisując te wspomnienia dopóki piórem mógł władać, doprowadził je do roku 1827. W wielu ustępach odnajduje się jego ducha, prąd elektryczny jego wymowy, a co szczególniéj w tem piśmie uderza, to przy gorącości uczucia, umiarkowanie i wytrawność w sądzie i dojrzałość zmysłu politycznego. Zwyczajem od lat tylu przyjętym, codzienne listy pisywał do ukochanéj małżonki, codzienne od niéj także odbierając. Niekiedy choć kilka wyrazów przesyłał od-

*) **Książę Jerzy Lubomirski.**

dalonym przyjaciołom, lecz każde słowo skreślone nie-wypowiedzianie go męczyło, i w każdem cząstkę sił swoich uraniał. W południe zwykł był wyjeżdżać, w kościele Śéj Magdaleny na gorącéj modlitwie długie przepędzać chwile, i nie raz pomimo chłodu zimowego od tych przejażdżek wstrzymać się nie dał, twierdząc że bez napoju świeżego powietrza obejść się nie może, a nie pomnąc że mu tylko najczystsze i najcieplejsze pomocnem być mogło. Wieczorami zwykle leżał bezwładny i milczący, czasami jednak ożywiał się i przemawiał, i wtenczas pryskały nie raz iskry jego umysłu, wylewał z wymową jemu tylko właściwą myśli, czucia, które coraz czyściejszemi i jaśniejszemi zdawały się błyszczeć promieniami. Wypadki bieżące, ich charakter, kierunek tem żywiéj go zajmowały, że je był od dawna przewidział, i że z nich różne wróżby i nadzieje wyprowadzał. Gdy wieczorami leżał bez siły i głosu, lubił słuchać głośnego czytania. Ostatnie pismo którego odczytania wysłuchał, była mowa jednego z naszych rodaków, publicznie przed zebraną młodzieżą powiedziana, a która najgłębsze jego przekonanie i uczucia rażąc, te słowa z smutkiem wyrzeczone z ust jego wyrwała: „Nie w tem boleść i wstyd, że znalazł się jeden, który to „powiedział, lecz że było stu takich którzy to wysłuchali.“ Ten stan obudzający najżywsze obawy, lecz nie wyzuwający z wszelkiéj nadziei przeciągnął się przez grudzień i styczeń. On sam acz cierpiał bez miary, i czuł że słabł, nigdy bliskiego niebezpieczeństwa nie przypuszczał, i tę ufność przelewał w oddalonych i uwodził ich. Na przyszłość, na zimę następną układał i marzył podróż do Afryki dla dogodzenia wymaganiom lekarskim których dopełnić obecnie najprzód nie chciał, a potem już nie mógł. Straszliwa to, przerażająca niemoc którą był dotknięty, bo w obec najsmutniejszéj rze-

czywistości, przy poczuciu upadku sił i gasnącego życia utrzymująca nadzieję, niemoc błędnéj wiary w ozdrowienie, rozdzierająca serca tych, którzy jéj podzielać z chorym nie mogą. W środku stycznia choroba nagłe i zatrważające czyniła postępy. W oczach naszych niknęło jego ciało, gasły siły, nie odnawiał ich, ani sen który ustąpił, ani pożywienie od którego wstręt odpychał. Wtenczas to głosem smutku i zwątpienia zawołał do Warszawy na ukochaną małżonkę, którą łudząc dotąd polepszającym się stanem zdrowia, silną wolą zatrzymywał tam, gdzie jéj podług jego mniemania obowiązek pozostać i zastąpić go nakazywał. Wtenczas także zezwolił na naradę lekarską. Złożyli ją trzej najcelniejsi tutejsi lekarze. Choć już mówił z wielkiem utrudzeniem, wszystkie siły chory skupił, aby im cały ciąg i bieg chorób i cierpień całego życia opowiedzieć. Dwóch lekarzy, których po raz pierwszy do siebie przypuścił, tak uderzyła siła jego ducha, przenikliwość pojęcia, zwięzłość i jasność mowy, że przewidując bliski jego koniec, od podziwu a razem rozrzewnienia wstrzymać się nie mogli. Ta rozmowa z lekarzami była ostatniem jego wysileniem. Od téj chwili legł na łożu niemocy, i już więcéj nie powstał, i już tylko słabym głosem, ledwie kilkoma słowami mógł się odzywać.

Małżonka jego spiesznie przybywszy w tym go już zastała stanie. Rozrzewnienia wszelkiego chroniąc się, zabraniał sobie częstokroć widoku najbliższych i najdroższych. Dnia 19go lutego w rocznicę jego urodzin, (urodził się bowiem w Paryżu 19 lutego r. 1812), przypomniał sobie że w ten dzień rok 47 życia zaczyna, a gdy mu powiedziano że zwykły jego spowiednik ksiądz Miquell mszę odprawił na ubłaganie łaski Bożéj dla niego, i że przybył aby go odwiedzieć, z radością przypuścił go do siebie i dopełnił obowiązków wiernego katolika. W ten sam dzień nadeszła depesza telegrafi-

czna z Rzymu zwiastująca, że Ojciec Swięty przy ofierze ołtarza wzniósł za nim westchnienie, uradował się nią chory, a przywoławszy żony rzekł do niéj: „Powiew „miłosierdzia Bożego przebiegł dziś nademną. Nagle mi „się ukazał mój spowiednik — zapewnił że zna stan „mego sumienia, polecił połączyć się z sobą w modli„twie — pocieszył, rozgrzeszył, i odtąd czuję się po„krzepionym“, i dodał: „Rzecz dziwna w jednéj chwili „tam westchnienie, tu pokrzepienie.“

Tu jest miejsce wykazania najświetniejszej części jego duszy, tu jest miejsce uszanowania jego głębokiéj religijnéj wiary, która połączona z taką wzniosłością umysłu, z darem natchnienia, i z wyrobieniem moralnem, przedstawiała najprawdziwszy obraz piękna i doskonałości chrześciańskiéj. Od lat najmłodszych dusza naszego wieszcza przejętą była uczuciem religijnem, i nigdy może nie przeszedł przez tę oziębłość zwątpienia i niewiary, które często umysły młodzieży nawiedzają, za wpływem albo ludzi z którymi przestaje, albo dzieł błędnych, w które się wczytuje. Usilniéj niż ktokolwiek i on dociekał prawdy, i zapuszczał się na różne drogi, na których znaleść ją spodziewał się, lecz na nauce jéj pozory tylko noszącéj poprzestać nie mógł. On potrzebował prawdy całéj, zupełnéj, tłómaczącéj mu wszystkie tajemnice życia, i dogadzającéj wszystkim szlachetnym nadziejom i potrzebom duszy. Nie znajdując zaspokojenia dostatecznego w tem co czysty rozum nauczał, a chętnie powierzając się polotowi bujnemu potężnéj wyobraźni, znajdował odpowiedniem duchowi swemu, to co się nadzwyczajnością i mistycznością odznaczało, a wyższem natchnieniem odznaczać zdawało. Jeżeli więc był czas, w którym nowo powstała między ziomkami na wygnaniu nauka, obudziła w nim ciekawość i chęć badawczą, obłąkać go nie zdołała, nie popadł nigdy ani w dumę apostolstwa, ani w zgorszenie i śmieszność łatwowierności,

przeciwnie rozpoznawszy całą rozciągłość obłędu, zbłąkanych nieraz upamiętać i przekonać usiłował. Od lat dziesięciu stawszy się najposłuszniejszym wyznawcą prawdy kościoła na zawsze w niéj niezachwiany pozostał. Odtąd najprzykładniéj dopełniał wszelkich obowiązków, w których dokonaniu zewnętrznie wiara się objawia. Modlitwa była rannem i wieczornem jego wsparciem, bez niéj nigdy do pożywania pokarmu nie przystępował. Było coś do głębi przenikającego i przekonywającego w widoku takiéj wzniosłości ducha, takiéj potęgi umysłu połączonych z taką pokorą. I w téj pokorze nie było udania, nie była ona jak się często zdarza wypływem dumy, lecz głębokiego przekonania.

Po tym dniu, w którym chory uczuł się pokrzepionym raczéj na duszy, jak na siłach ciała, nie długo już trwały nasze nadzieje i obawy. Dr. Walther, który z Drezna pośpieszył do niego, nie mniemał aby się tak prędko zakończyły, i w ciągu dnia 23go lutego, jeszcze przeciągnienie tego stanu na dni kilka wróżył. Tymczasem koło godziny 10éj wieczorem nie odstępująca na krok od łoża naszego wieszcza bolejąca jego małżonka, jakby magnetycznie przejęła w siebie jego stan wewnętrzny, przeczuciem popchnięta, wybiega od niego wołając że się najsmutniejsza chwila zbliża, i żądając przywołania i lekarza i kapłana. Przeczucie miłości omylnem nie było. Przybyli kapłani, użyczyli śś. Sakramentów—Chory, konający, mówić już nie mógł, lecz jednem ściśnieniem ręki, jednem długo wpojonem wejrzeniem, w które przelał całą boleść, miłość, wdzięczność, całą duszę, pożegnał ukochaną towarzyszkę życia, i jéj myśl ostatnią poświęcając. W tem poruszyły się z lekka jego wargi — Ojciec Niebieski przyjął jego duszę.

Jaki był żal po nim, jaki obrzęd pogrzebowy, wiadomo już rodakom. Już i w mowie i w piśmie, już słowem gorącem z kazalnicy, i w pośmiertnych wspomnie-

niach oceniono go i przedstawiono jako miłośnika ojczyzny, wieszcza i pisarza. Lecz poezya, lecz pismo było tylko jednem z kształtów, w którem się ta wielka dusza objawiła. Lecz ażeby dać pojąć, jaką to był wyjątkową istotą ten nasz brat ukochany, trzebaby go śledzić we wszystkich porach i stosunkach jego życia, trzebaby objawić wszystkie jego myśli i czucia dotąd nie objawione, odsłonić wszystkie czyny dotąd ukryte, a wtenczas dopiero przekonalibyśmy się, ile on nam wzorów zostawił, w wzorze jaki nam przedstawiał.

Zygmunt Krasiński mógł był powiedzieć o sobie:

Wszystko mi dałeś, co dać mogłeś Panie!

Dane mu bowiem było imie znakomite, dostatki, świetne stanowisko w świecie, wielkie moralne znaczenie między ludźmi — geniusz — natchnienie — sława. Na drodze życia spotkał dusze zdolne go pojąć, ukochać, ukształcić się pod strażą jego oka, a razem obudzić w nim poetyczne natchnienie. Znalazł więc i miłość i przyjaźń, znalazł zupełne szczęście domowe, znalazłszy w godnéj siebie towarzyszce życia, pojęcie jego całéj istoty, miłość do uwielbienia posuniętą, poświęcenie bez granic. Widział to szczęście uzupełnione potomstwem najpiękniejsze rokującem nadzieje. Tak, wszystkie żywioły szczęścia dane mu były, nigdy jednak zupełnie szczęśliwym nie był i być nim nie mógł. Bo pominąwszy ciągłe cierpienia ciała, on tylko szczęściem ogółu, mógł się uszczęśliwionym poczuć. On w pierś swoją przyjmował boleść wszystkich i samolubnéj osobistéj pomyślności nie znał. Cierpienie jest wydoskonalenia ludzkiego najdzielniejszem narzędziem. Wśród niego, tak się dusza jego stopniowo oczyszczała, kształciła, taki szczebel doskonałości już już osięgała, iż się czuło że długo między nami pozostać nie mogła.

W skutku tego wyrobienia moralnego, ten umysł tak potężny wolny był od wszelkiéj dumy. Dla tych, którzy go mało znali, i powierzchownie lub z uprzedzeniem sądzili, zapał, dzielność z jaką przedstawiał i bronił zdań swoich, nabierały pozorów dumy umysłowéj, kiedy one były wypływem miłości chcącéj w innych przelać przekonanie, które prawdę podług jego mniemania mieściło. Lecz on nie siebie wynosić nad innych, ale innych nad siebie czy równych, czy niższych było jego rozkoszą i zwyczajem. Zazdrość, zawiść obce były téj szlachetnéj naturze. Gdziekolwiek znalazł piękne i zacne, cieszył się niem jakby swojem własnem. Czy w moralnym świecie, czy w dziełach sztuki, poezyi, aczkolwiek zmysł krytyczny w najwyższym stopniu posiadał, śledził zawsze strony pięknéj, ujmującéj, i tę najprzód oceniał i sławił. Nie był on z liczby tych ciasnych i stronnych umysłów, które piękność tylko znajdują w formach i w granicach ich rozmarzonemi wyobrażeniami określonych, a które się wstydzą i lękają uznawać ją, skoro ją tylko spotykają w utworach nie pod ich sztandarem powstałych. Z poetycznością wyjątkowéj natury, łączył on godność, rycerskość i pańskość charakteru, ale nie tę, która się tylko objawia zewnętrznemi oznakami, nie tę, która wypływa z tych wad, które poniżają i gubią szlachectwo rodowe, ale tę która ją wznosi i utrzymuje. Dostojność jego była cała wewnętrzna. Szczodrość w dobroczynności — w pomocy na zacne cele użyczanéj, bywała często wspaniała, zawsze dobrze zrozumiana i umiejętna. Nietylko świadczył, ale i umiał świadczyć. A to nie dla rozgłosu, nie dla wziętości swojéj, a wdzięczności ludzkiéj, lecz dla tego aby się dobre stało. W przyjaźni nikt od niego nie był wierniejszym i serdeczniejszym — nikt też większéj liczby przyjaciół wiernych i poświęconych nie posiadał. Kochał on ich jak na męża przystoi. Rada jego, prawda przez niego wypowie-

dziana nigdy nie raziła ani obrażała, a często skutkowała, bo zawsze była wypływem miłości, i nawzajem też prawdy z niéj wypływającéj nigdy nie odpychał. Lecz z tą męzką przyjaźnią łączył on prawie niewieścią czułość, objawiającą się w ciągłych czasem najdrobniejszych lecz zawsze ujmujących dowodach przychylności i pamięci. Przyjaźń jego i podbijała i zniewalała. Taką była niepokalana czystość, poetyczność, idealność jego duszy, że każdy brud, każda hańba przejmowała go boleścią. Bardziéj go smuciła sprosność i podłość ludzka jak niedola.

Dla tych, którzy obcowali z nim stawał się stróżem moralnym, drugim sumieniem. Dusza jego była arfą Eolską, która nie za dotknięciem ziemskim lecz powiewami z niebios wiejącemi poruszała się, i urocze wydawała dźwięki. Takiegośmy kochali i czcili, takiego stratę niczem w życiu nie zapełnioną opłakujemy, takiego dać poznać tym, którzy go z bliska nie znali będzie świętym obowiązkiem jego rodziny.

Od lat ośmiu tyle się jego fizyczne wzmogły cierpienia, że choć umysł zachowywał całą potęgę twórczą, choć w nim wielkie, świetne powstawały myśli, ująć je w formę, związać je w całość zdolnym się nie mniemał. Większego więc rozmiaru pracy nie przedsiębrał. I choć pomysł Trilogii przedstawiającéj Przeszłość—Obecność—Przyszłość siłą wnikającego w nie ducha, utworzył i ułożył, wykończył tylko część drugą znaną publiczności — rozpoczął lecz nie dokonał pierwszéj, nie tknął się ostatniéj.

Jednakże umysł taką twórczością obdarowany czuł ciągłą potrzebę udzielania zrodzonych w nim myśli i wrażeń. Wylewał więc je obficie w licznych listach, które rozpisywał. Zwyczajem się jego umysłu i serca stało w oddaleniu od najdroższych mu istot codziennie do nich się zgłaszać. Często także i z przyjaciołmi zno-

sił się pismem. Nikt więc może w życiu tyle listów, i nikt tyle szacownych, godnych zachowania nie napisał. Gdyby wszystkie zebrane być mogły, liczba ich pewnieby się kilkonastotysięczną okazała. A te listy nie były zwyczajnem tego rodzaju pismem, bo on niczego co było pospolitem zdolnym nie był, te listy były odbiciem, że tak powiem fotografią jego duchowości. W nie całe serce swoje przelewał. W nich nie krępowany ani formą, ani miarą, ani rymem, wyraźniéj się jak w utworach poetycznych cały objawiał. Często przybierały one najwspanialsze kształty, zdobiły się w cały urok poezyi, stawały się psalmami — hymnami, czasem dramatycznemi dialogami, to znowu obejmując najgłębsze myśli o przedmiotach najgodniejszych rozmyślania, występowały w postaci rozpraw, traktatów. A żadnego w nich przygotowania, wymuszonego nastroju niema. Są to dźwięki prosto, swobodnie, acz bystro z duszy płynące. Pisał jak czuł, jak mówił. Ale bo też jakże potężne było jego słowo mówione, kiedy z pełności jego ducha wypływało. Otóż ta liczna korespondencya jego, jest niewyczerpaną kopalnią złota i najdroższych kamieni, które z głębin ukrycia pod światło dzienne wydobyte być powinny. Listy jego niektóre całkowite, inne w ustępach dane stanowić będą skarb, jakiego śmiało powiem, żadna literatura w tym rodzaju nie posiada. Zamiarem też jest w jak najkrótszym czasie zebrać te drogie pozostałości i podzielić się niemi z publicznością krajową, w tem wszystkiem co dotyczy poezyi, sztuki, literatury, nauk, filozofii, religii — co mieści wrażenia obrazami natury wywołane. Te szacowne pozostałości są najdroższą duchową spuścizną i własnością rodziny zmarłego wieszcza. Straż nad niemi, prawo rozrządzania niemi należy wyłącznie do téj, która każdéj myśli i uczucia jego była powiernicą i uczestniczką. Do wyboru listów całkowitych, lub ustępów z nich, doda się kilka-

naście znalezionych a nie znanych rodakom poezyi ulotnych większego i mniejszego rozmiaru, w których poznają całą moc natchnienia i błyski poetycznego geniuszu ulubionego wieszcza.

Przy obecnem otrętwieniu umysłów, i nieurodzaju na niwach naszego piśmiennictwa, choćby tylko dwa lub trzy tomy, mieszczące pisma nieznajome dotąd Zygmunta Krasińskiego stałyby się posiłkiem pożywnym wśród dusz omdlałości. Uzyskawszy je, jeszcze lepiéj poznają rodacy i umiłują zmarłego. A wszyscy wczytując się w nie odzyskamy niejako najlepszą część jego, bo nieśmiertelnego ducha, którym ogrzewać się i zasilać, z którym jak najczęściéj obcować, stanie się dla nas równie moralnym pożytkiem i rozkoszą, jak i pokrzepieniem w żalu.

Paryż 20 kwietnia 1859 r.

A. E. Koźmian.

KRONIKA.

Paryż w kwietniu.

Przyjęcie Laprada w poczet Akademików, dotąd jest jedynym faktem dokonanym na paryzkiéj widowni literackiéj, na którą, mówiąc nawiasem, nie patrzy nikt, bo oczy wszystkich na polityczne pole dziś zwrócone. Zapisuję tu ten belletrystyczny wypadek, nie wdając się w szczegóły, bo i cóż powiedzieć o akademickiéj recepcyi? Najprzód, obie mowy wydrukowano natychmiast we wszystkich dziennikach; powtóre, jak się nadmieni o *doborowem zgromadzeniu które zbiegło się tłumnie* (styl przyjęty), o czarnym birecie pana Saint-Beuve, haftowanym fraku Alfreda de Vigny — sprawozdawca musi opowiadać historyę założenia Akademii, i pisać pochwałę Richeliego ..... Na tak ciężką pracę w téj chwili za gorąco — mniemam więc, że mnie od niéj uwolnisz i poprzestaniesz na prostem doniesieniu, że obiór Laprada zgromadził wszystkie wydziały Instytutu — że przyjęty chwalił swego poprzednika Musseta (nie bardzo), a przyjmujący, przyjmowanego i jego poprzednika — że pan Vitet porównał Laprada do Apollina, a Laprade Akademię do Olimpu — że wysypawszy sobie wzajemnie krocie komplementów mogących zarumienić samego Dumasa, w ojczyznie *blagi* królem nazwanego, Akademicy

rozeszli się zadowoleni z siebie a niezadowoleni z publiczności, ponieważ mało klaskała, osądziwszy, że już dostateczną ilość kadzidła spalili sobie nieśmiertelni.

Przemowy akademickie zawsze na jeden przykrawane patron, coraz mniéj mają słuchaczy — bo prawdę powiedziawszy, czcze są i nudne za katy — a wiadomo, że Francuza nuda zabija lub w ostateczność wtrąci. Moraliści tutejsi znający dobrze charakter narodu, utrzymują, że Francuzi zrobili rewolucyę lutową i wypędzili Filipa dla tego, że ich Guizot zbyt nudził swoją doktryną. W żarcie tym jest wiele prawdy.... Akademia pewnie rychło by przepadła we Francyi, gdyby częstsze odbywała posiedzenia; na szczęście akademicy rzadko umierają. Druga recepcya nie prędko nastąpi, bo p. Sandeau nie może w żaden sposób skreślić apoteozy swego poprzednika; z mikroskopem w ręku przez pół roku szukając, dotąd żadnéj zasługi w żywocie jego nie wynalazł... nie wiadomo, jak się to skończy.

Przyjęcie Laprada poprzedziła długa dyskusya w Instytucie. Wiadomo ci zapewne, że przed paroma laty rząd wyznaczył był 36,000 franków nagrody temu, kto napisze najznakomitsze dzieło w jakimbądź przedmiocie. Arena została otwartą w roku 1856. Wszystkie pięć wydziałów ubiegało się o owo premium; teraz zaczęto sądzić dostarczone rękopisy. Odrzucono przeszło stu kandydatów, zostało tylko dwóch: Laprade i Fizeau. Pierwszy, poeta, dał tom wierszy pod tytułem: „*Symfonie*“; drugi fizyk, książkę naukową „*Solutions abéliennes*“, sposób mierzenia szybkości światła, rzecz podobno znakomitą.

Otóż, w obec dwóch dzieł tak różnéj treści, długie toczyły się narady, komu przyznać nagrodę? Akademicy nie czytający wierszy, sądząc z tytułu książki, brali Laprada za muzykanta — literaci zaś byli bardzo zakłopotani logarytmami pana Fizeau. Nareszcie załatwiono sprawę polubownie: dwadzieścia tysięcy dostały „Solucye“, a resztę zabrał autor „Symfonij“, obecnie jeden z czterdziestu nieśmiertelnych.

W teatrach mnóstwo nowości pojawiło się z wiosną. W Operze Wielkiéj „Herkulanum“, o którem już wspomniałem w przeszłym liście; w Gymnase „*Un beau Mariage*“, pięcio-aktowa komedya Augiera, jeden z lepszych

jego utworów; w Palais-Royal przedziwna parodya „Miłości“ Micheleta; w Ambigu „*Maître d'Ecole*“ dramat Meurica, napisany dla Lemaître; w Vaudeville „*Le Jeu de Sylvia*“, Acharda; w Odeonie „*Le droit Chemin*“ pięcio-aktowa komedya wierszem pana Latour; w Operze Komicznéj „*Le pardon de Ploërmel*“ *) nowa Opera Meyerbeera pełna prześlicznych ustępów, choć jak wszystkie nowsze jego utwory ułożona z grabieży na sobie samym popełnionéj; w teatrze Lirycznym nakoniec, „Faust“, do którego ceniony w Paryżu kompozytor Gounod muzykę dorobił.

Wszystkie wymienione sztuki mają swoje zalety, wszystkie na rozbiór zasługują — ale ponieważ mówiąc o wszystkich, zamiast listu posłałbym ci broszurę — ograniczam się na skreśleniu głównych zarysów najpoważniejszego i najlekszego z nowych płodów dramatycznych.

„Faust“, dziwnie nadający się do muzyki dramat, ale tak olbrzymich rozmiarów, że choć nęcił takich jak Beethoven i Rossini mistrzów, jak jeden tak drugi nie odważył się nań zerwać — znalazł w panu Gounod, jeżeli nie zupełnie siebie godnego śpiewaka, to przynajmniéj nie parodystę; muzyka pana Gounod ma już tę wielką zaletę, że nie zamazuje w wyobraźni słuchacza odbitych dagierotypów arcydzieła Goethego; ujęta w dekoracye wyborne, ukolorowana strojami wskrzeszającemi świat Dürera i Holbeina, ostatecznie daje rzadką w Operze całość: dostrojenie tonów melodyi do tonu myśli.

Pierwszy akt, wyjąwszy znakomitego ustępu dzwonów Zmartwychwstania, których głos wytrąca Faustowi z ręki truciznę — przechodzi bez wrażeń; drugi jest arcydzie-złem partycyi.

Kurtyna odsłania ucztę wiejską, rozmawiającą trzema chórami. Chór starców najprzód drżącym głosem śpiewa swe samolubne zwrotki; dziarska pieśń żołnierzy przerywa te niedołężne pienia i wywołuje świergot dziewcząt, które niby szydząc z daleka, każdą nutą jak wędką zaczepiają wojaków.

---

*) Tytuł ten ciemny, na polskie przetłómaczony znaczy *Odpust w Ploërmel*. Opera zrobiona jest z sielanki bretońskiéj: w narzeczu Bretonów *pardon* znaczy odpust.

Podczas tego muzycznego zamętu, orkiestra jakby w nią wstąpił duch Germanii, nuci pół głosem walca; walec ten, niby czarowne echo mistycznéj zadumy, kręci się pośród tłumu, to się zbliża, to ucieka.... nareszcie niknie gdzieś w jodłowych zakątach czarnego lasu, na różowych wrzosach, gdzie powietrzne tańczą rusałki, na kwietnych łąkach lub mchu odwiecznym, gdzie Ondyny przędą nić ballad niemieckich....

Goniącą za uciekającym walcem wyobraźnię, przywołuje znów na scenę Mefisto. — Hymn którym żołnierze odpowiadają piekielnemu kuglarzowi, jest prześliczny: rzekłbyś hymn Templaryuszów przeklinających przed bitwą obóz nieprzyjaciela.

Po nim następuje zmiana dekoracyi: widać kościół i wychodzącą z niego Małgorzatę. Skoro Faust zachodzi jéj drogę, muzyka na raz zmienia tempo, drży... i przyśpieszonym taktem uderza miłośnie jak kochające serce. — W tym drugim akcie wszystkie myśli Goethego muzyk dośpiewał z zupełnym dostrojem; gdyby tylko te kilka ustępów zostawił, jużby słuszne do sławy miał prawo.

Do przedziwności partycyi liczy się także *Cavatina*, którą Małgorzata w godzinę upadku śpiewa, stojąc w otwartem oknie pokoiku. Pieśń ta, którą zakochana dziewica czucia swoje wypowiada gwiazdom błyszczącym na ciemnym niebios lazurze, płynie z wezbranego miłością serca jak kaskada rozpryskując się na pereł tysiące... tak silna, tak rwiąca, iżby pewnie rozerwała słabe piersi dziewczyny, gdyby Faust pocałunkiem ust jéj nie zamknął.

Następne akty mniéj piękne, na przyzwoitéj przecież utrzymują się wysokości. — Karol Gounod ma wiele smaku, a do głębokiego czucia łączy znajomość sztuki; talent jego należy do rzędu myślących: muzycy bowiem jak pisarze dzielą się na czynnych, myślących, marzących i rachujących. Rossini ma geniusz praktyczny; Dawid jest marzycielem; Halevy matematykiem; Gounod myślicielem — i dla tego zapewne muzyka jego ożeniona z rozumem Goethego, jeżeli nie dobrane, to przynajmniéj zgodne stanowi małżeństwo.

Poznawszy główne powaby śpiewanego Fausta, wstąpmy dla kontrastu do Palais - Royal. Tutaj od miesiąca już ludzie zanoszą się od śmiechu, słuchając przedziwnéj

parodyi „Miłości“ Micheleta, owéj *Miłości*, która u nas tylu znalazła zwolenników. Czytając gorące ich pochwały, zawsze żal mnie bierze, że Michelet po polsku nie umie; uwielbienia naszych romantyków osłodziłyby mu satyry ziomków, z których najzabawniejszą jest owa przedstawiana *en action* w Palais-Royal. Treść jéj taka:

Mąż pewien, nauczony ostrożności smutnem doświadczeniem, wszedłszy w powtórne związki, za kodeks małżeńskiego pożycia bierze książkę Micheleta o Miłości. Rozkłada szacowne dzieło na stole, radzi go się co chwila i pełni wiernie zapisane w niem przykazania. I tak, ponieważ Michelet powiada, że kobieta niepowinna nic robić, „tylko rozmawiać z różami“ prosi małżonki, żeby życie pędziła z założonemi rękoma. Daléj, stosownie do stronnicy 105, sam pełni funkcye jejmościnéj garderobiany — sam gotuje, a tylko do najcięższych robót przyjmuje pomocnicę wieśniaczkę, która zachowała „*le velouté de l'âme*“.

Wszystko idzie najlepiéj — mąż już zaczyna błogosławić system celularny Micheleta, kiedy spostrzega, że wprowadzona przezeń do domu kucharka jest kucharzem.... a co gorsza, dawnym jego nieprzyjacielem, który w téj trawestacyi nowe przyszedł mu płatać figle. Nie dość na tem. Pani która od dawna sama wącha róże, chodzi je wąchać z młodziutkim kuzynkiem przybyłym do domu na wakacye. To drugie odkrycie otwiera do reszty oczy mężowi — srodze zakłopotany, pyta siebie, czy nie zbyt ściśle trzymał się litery praw Micheleta, i kończy na tem, iż z wielkiem poszanowaniem chowa książkę do biblioteki, dając radę kolegom żeby ją czytali, ale nie *praktykowali*.

Trafność i niejadowitość téj satyry, ogromne zjednały jéj wzięcie. Najlepsi przyjaciele szanowanego i kochanego powszechnie historyka, nic przeciw krytyce jego małżeńskich przepisów nie mają. Sam Michelet słuchając tych wesołych a trafnych żartów, pewnie śmiałby się szczerze i niemało z nich skorzystał. Tylko Francuzi posiadają krytyków umiejących krytykować bez jadu, ganić bez gburostwa i bić bez połamania zapaśnikowi kości pacierzowej.

W teatrze włoskim p. Ristori rozpoczęła szereg przedstawień tragicznych od „Fedry“. Był zamiar żeby na

osierociałym teatrze francuzkim występowała w sztukach Corneilla, a w rolach Racheli, ale na szczęście dla jej sławy, przyjaciele odwiedli ją od tego zamiaru.

Teatr francuzki wkrótce z nową i podobno bardzo dobrą wystąpi sztuką. August Vacquerie, brat zięcia Wiktora Hugo, tak dramatycznie utopionego z młodą swą żoną w oceanie, młodzieniec znany w piśmiennictwie tutejszem z kilku niepospolitych książek, a mianowicie dwóch utworów scenicznych „Antigony“ i „Fragaldabas“ dramatu bufońskiego — ma przedstawić na molierowskiéj scenie komedyę wierszem, pod tytułem: „*Souvent homme varie*“. Znając talent pana Vacquerie, można się z góry cieszyć na to przedstawienie mające wkrótce nastąpić.

A propos teatru francuzkiego, mówią tu iż prawa autorskie tego teatru zostaną ulepszone. Dotąd stosują się one do dekretu wydanego w Moskwie przed czterdziestu siedmiu laty, najniekorzystniejszego dla autorów. Dekret nakazuje odjąć część trzecią z wieczornego dochodu, a z zostających dwóch trzecich dać autorowi część ósmą za sztukę w pięciu aktach, dwunastą za trzy akty, a ośmnastą za akt jeden. Kiedy powyższe rozporządzenie było wydane, sam tylko Vaudeville płacił 12 od sta swoim autorom. Dziś wszystkie teatra prócz francuzkiego, płacą 10 od sta procentu, przeto sztuka mająca powodzenie, przynosi autorom dziesięć razy tyle ile przynosiła przed piędziesięciu laty.

Będąc w tak wielkiéj dysharmonii z innemi teatrami Paryża, prawo rządzące komedyą francuzką zmienione być musi, inaczéj bowiem teatr ten prawdopodobnie umarłby na suchoty.

Kodeks wielkiéj opery również ma uledz przemianie. Opera jest znów rządzona edyktem królewskim z 1814 i 1816 roku. Pierwszy stanowi, że autorowie wielkich sztuk które przejdą czterdzieści reprezentacyj, mają pobierać 1000 fr. pensyi mogącéj dojść do 3000. Dekret z 1816 powiada: że autorowie od wielkiéj sztuki będą mieli po 500 fr. od reprezentacyi, aż do czterdziestéj — po czem honoraryum schodzi na 200 fr. Z oper trzyaktowych autorom przypadnie 340 fr. od reprezentacyi i t. d.

Po rewolucyi 1830 roku pensye znikły, a prawo zostało toż samo. Tak więc, kiedy sto reprezentacyj dramatu przedstawionego na bulwarowym teatrze przynosi autorom po 42,000 fr. i więcéj — pierwsze sto reprezentacyj Roberta z podwójnym dochodem, dały autorowi tylko 32,000. Pokazuje się z tego, że kodeks opery wielkiéj jeszcze gwałtowniéj niż kodeks teatru francuskiego, poprawy potrzebuje.

Do pomyślniejszych dla piśmiennictwa tutejszego wypadków, liczy się powrót Alfonsa Karra, który po długiem milczeniu na nowo zaczął wydawać tygodnik „Osy", a prócz tego w felietonie *Pressy*, rodzaj pamiętniczka dziwnie sympatycznéj treści. Pamiętnik nosi tytuł: „Niebieskie i Czarne Róże". „Osy" przybrały przymiotnik „nowe".

Karr należy niezawodnie do najgłębszych i najdowcipniejszych pisarzy paryzkich — dla tego powszechna była tu żałoba, kiedy pewnego poranka przyszło mu do głowy wyrzucić oknem kałamarz i zrobić się ogrodnikiem — tem bardziéj, że ten napad mizantropii niebył spowodowany żadną niewdzięcznością. To też mimo soczystych owoców, mimo przecudnych kwiatów które kwitły mu w tym ziemskim raju pod Niceą, mimo pięknych kobiet które przychodziły jeść jego brzoskwinie — a może dla tego właśnie, że go zbyt angielki niepokoiły — dawny ten monarcha począł żałować swego państwa, to jest porzuconego kałamarza; podniósł go więc z ziemi, i przysłał Paryżowi te słowa umieszczone na czele „Nowych Os": „Niegdyś z pomocą „Os" moich, gromadziłem około siebie kółko znanych i nieznanych przyjaciół; ustępując podle zmartwieniu, popełniłem czarną niewdzięczność; chciałem żyć sam i porzuciłem przyjaciół! Otóż — bodajby pokora wyznania winy wyjednała mi przebaczenie! — żal mi tych przyjaciół. Potrzebuję ich, pragnę ich, chcę wiedzieć czy mnie kochają, czy jeszcze pismo moje miłe im będzie."

Widać że nie tak łatwo porzucić kałamarz jak się zdaje. Od chwili kiedy Karr powyższe *mea culpa* ogłosił, wyszło już kilkanaście poszytów „Os" jego, i dawni przyjaciele mogli się przekonać że łopata i grabie nieobciężyły ręki subtelnego pisarza. Zawsze to ten sam

dowcip rodzimy i oryginalny — taż sama werwa, zdrowy rozsądek poczciwego człowieka, co nie ze złością ani żółcią, ale z melancholijnym uśmiechem wskazuje społeczności jéj wady i niedostatki. Karr nigdy się nie oburza, nigdy nie podnosi głosu, nigdy pedagogiczną rózgą nie chłoszcze — ale ilekroć mówi, znajdzie zawsze owo *sprawiedliwe* słówko — to właśnie, za którem literaci i krytycy całe nieraz życie gonią nie schwyciwszy go nigdy. Ach! to sprawiedliwe słowo, to najrzadszy ptak w literackim lesie!

W „Pamiętniku", Karr mówi o swéj młodości w sposób prosty a tak rzewny, że czytelnik nie sentymentalny, często musi się dziwić potędze czucia które nawet źrenicę, co już wszystkie łzy wypłakała, potrafi zwilżyć niebieskiéj rosy kropelką....

Wyszło nowe dzieło o magnetyzmie — i ledwie świat ujrzawszy, zostało ukoronowane przez Akademię nauk, a wyklęte przez magnetyzerów.

Są ludzie, którym magnetyzm nie chce w żaden sposób tajemnic odsłonić; doświadczenia których byli widzami lub aktorami, nie przekonały ich wcale, chociaż nie zbywało im na dobrych chęciach; sto razy chcieli usnąć, a nie usnąwszy czuli się upokorzeni brakiem siły magnetycznéj w organizmie swoim. Mimo tego, drzwi nadprzyrodzonego świata uporczywie stoją przed nimi zamknięte; stoły pod ich rękami poruszają się tylko kiedy sami je pchają — „dusza świata" nie zagadała do nich ani razu... nieboraki, wzywali stokroć potęg duchowych, a nawet djabeł nie raczył im odpowiedzieć! Nie jestże to prawdziwe nieszczęście, mieć około siebie tylu ludzi będących w zażyłości z białemi i czarnemi duchami', tyle wiarogodnych osób utrzymujących iż na własne oczy widzieli podnoszące się nogi stołowe, zawieszonych w powietrzu ludzi — słyszeli szafki dyktujące ładne wiersze i uczone artykuły — a samemu być ślepym? W takiem żyjąc towarzystwie, nie ujrzeć ani jednego zjawiska, nie posiadać ani jednéj dyktującéj szafki — to los zaprawdę srogi!

Słyszałem nieraz, jak podobnie skarżącym się odpowiadano: „nie widzisz, boś Wolterzysta, bo nie masz wiary", i myślałem sobie iż właśnie tym co nie mają wiary, potrzebniejsze są cuda niż wierzącym. Któżby

nie chciał wierzyć? — Zniecierpliwieni takiemi zarzutami racyonaliści odpowiadali mistykom: Wierzymy w naukę, bo jej cuda widzimy; w naturę, bo jéj cuda podziwiamy, ale nie wierzymy, żeby czy to hr. Saint-Germain, czy Cagliostro, czy Hume, czy którykolwiek z ich następców odgadywał przyszłość i loteryjne numera, bo gdyby tak było, odgadywacze zaczęliby od siebie; wygraliby miliony na giełdzie i wiedzieli co się w ich własnych domach dzieje — a tego tak dobrze jak każden z nas nie wiedzą.

P. Mabru, autor ukoronowany przez Akademię nauk, jest zdania tych racyonalistów. Po długich bezowocowych poszukiwaniach i daremnem stukaniu do drzwi niewidomego świata, wyznaje w swojem i w Akademii imieniu, że w poczet głupstw ludzkich kładzie bez wahania wszystkie excentryczności duchowe, któremi w rozmaitych epokach bawiły się bujne imaginacye.

Ani *prąd powszechny*, ani *lunatyzm sztuczny*, ani teorye magiko-magnetyczne, ani szkoła amerykańska która tyle narobiła hałasu, nie wytrzymały surowego egzaminu przez jaki je cenzor akademicki przepuścił. W parze z doktorem Auroux, biegłym chemikiem, dokonawszy formalnego śledztwa w dziedzinie nadzwyczajności, p. Mabru w następujący sposób zdanie swoje o tych rzeczach objawia:

„1) Magnetyzm zwierzęcy jest zupełnie niezdolny odkryć fakta spełnione lub spełnić się mające.

„2) Obecny stan magnetyzmu zwierzęcego nie dozwala magnetyzerowi ręczyć, że mu się jego działanie powiedzie, jeżeli działa na nieznanéj osobie.

„3) W tym razie żaden magnetyzer nie może zaręczyć, że może wydobyć sen magnetyczny, znany pod nazwą lunatyzmu sztucznego, jak również, iż potrafi człowieka lub zwierzę pozbawić czucia.

„4) Mimo wszystkiego co twierdzą i piszą o fenomenach tak zwanego jasnowidzenia — mimo mnogich świadectw które istnienie ich zaręczają — fenomena te nie istnieją i istnieć nie mogą.“

Takie to zuchwałe konkluzye p. Mabru ogłosił pod sankcyą Akademii. Drżę na samą myśl wojny którą mu za to stukające duchy wypowiedzą.... Truchleję, myśląc o psotach jakie szatany lub rozgniewane magne-

tyzery płatać będą śmiałkowi, co podobne wydaje wyroki. Cóż na to powie Dumas, pod którego wzrokiem kobiety sną jak muchy mrozem ścięte! „Wszystko to kłamstwo lub przywidzenie, woła Mabru, kobiety usypiają wtedy tylko gdy im tego potrzeba“. I pomiędzy innemi opowiada o służącéj pewnego magnetyzera. Zdrowa ta i silna dziewka długo się opierała prądowi swego pana, ale skoro dostrzegła że za okazaniem chętki do spania powiększono jéj zasługi, korzystając z pierwszéj sposobności wpadła w sen magnetyczny, i stała się nawet jasnowidzącą.

Ów Mabru w niewiarze swojéj przeszedł wszystkich Tomaszów; wyobraź sobie, nie wierzy nawet w jasnowidzenie suczki pana Cahagnet, któréj wizye były niedawno ulubionym przedmiotem rozmów w kilku tutejszych salonach. Nie rozumiem zgoła, czemu się tak w niedowiarstwie zacina — boć nawet w dziełach Woltera następujący stoi przypisek: „Tytus Liwiusz przytacza, iż wół zawołał na jarmarku: „Rzymie, strzeż się!“ Pliniusz w swéj ósméj księdze powiada, że pies przemówił, kiedy Tarkwiniusza zrzucono z tronu. Swetoniusz mówi, że wrona obaczywszy ludzi idących zabijać Domicyana, zawołała: *estai panta, kalos!* (bardzo dobrze! wybornie!) Także koń Achillesa, Xantem zwany, przepowiedział swemu panu że zginie pod Troją — a przed nim jeszcze, tryk Phryxusa gadał, i nie gorzéj jak olimpijskie krowy“. Wprawdzie Wolter nie zdaje się przywięzywać wiele wiary do tych cytat, mimo ich poważnego źródła — ale to tylko wina perspektywy; z daleka widziane wszystko bajeczne przybiera kształty; gdyby był znał osobiście suczkę pana Cahagnet, pewnieby i w Huma i w obcowanie jego z wszechkolorowemi duchami uwierzył.

Mabru niewierniejszy od Woltera, nietylko wyśmiewa suczkę, ale i „Juanitę“, poemat przez krzesło podyktowany panu Hennequin, nawet i czternaście tysięcy podpisów amerykańskich wizyonerów. W końcu dzieła oświadcza, iż pierwszemu jasnowidzącemu jaki się doń zgłosi, ofiaruje trzy tysiące franków i summę tę składa u notaryusza.

Jeżeli zechcesz, przyślę ci adres śmiałka, który rzucił rękawicę potęgom niewidomego świata — gdyż mam

przeczucie, że Kraków jako najlepiéj zaznajomiony ze stukającemi duchami i dyktującemi krzesłami, najprędzéj dostarczy kogoś, co sprzątnie owe trzy tysiące, ofiarowane jasnowidzącemu przez ślepego chemika.

Londyn w kwietniu.

Niepamiętam kiedy mieliśmy więcéj popisów z wymowy jak w tym miesiącu. Wojna indyjska nastręczyła nasamprzód do tego sposobność; ukończenie jej pomyślne wywołało w parlamencie wyraz hołdu dla dzielności tych, co dopełniając obowiązku na stanowiskach swych, ocaleli z téj walki na śmierć, tudzież żalu dla tych co mężnie w boju polegli. Lord Derby w Izbie wyższéj, a lord Stanley w Izbie niższéj — ojciec i syn, każdy z swego urzędu — powiedzieli oracye, bo tak je zowią, na uznanie czynów ludzi zasłużonych z tego względu ojczyźnie i na wyrażenie im w imieniu narodu wdzięczności; największy z zaszczytów komu tak zbiorowy hołd może się dostać ze śmiertelnych. Tak liczny zaś był poczet tych zasłużonych, i tak wielkie zadziwiające ich czyny, że oprócz prostego ich wyliczenia, oracye niepotrzebowały innéj retorycznéj okrasy. Niebyło też jéj w oracyach. Czyny same za sobą mówiły; dość było o nich wspomnieć, nadmienić je. Hr. Ellenborough wyraził się, że w dziejach wojen nieznaleść nic równego temu co dokonało wojsko angielskie w Indyach, i że naród ma za co dziękować Bogu że takie posiada wojsko. Dzień 1 maja naznaczony przez królowę na dziękczynienie Bogu obrzędem religijnym po kościołach w całym kraju za zwycięztwa odniesione w Indyach. W ten dzień wymowa z kazalnic dopełni tego wielkiego obrazu nowoczesnéj historyi.

Za rozwiązaniem parlamentu nieodzywa się wprawdzie wymowa z krzeseł senatorskich westminsterskiego pałacu, lecz odgłos jéj przeto nieprzebrzmiał; przeniosła się tylko wraz z kandydatami do nowych wyborów na prowincye, gdzie można ją słyszyć, stuustnie rozrzucającą wszędzie swe krasomówcze kwiaty, jakby w do-

datku do tych co o téj porze wiosna wydaje. Nie brak jéj wszakże i w stolicy. P. Mason Jones, młodzieniec dwudziestokilkoletni, a szczególnym darem wysłowienia obdarzony, ściąga licznych słuchaczów na swe oracye o sławnych w dziejach angielskich mężach; kolejno ich jednego po drugim bierze, ostatnią oracyę miał o Miltonie. Ex-ksiądz Gavazzi objeżdżając Irlandyę preroruje, choć czasem wśród gradu kamieni i błota przeciw dogmatom kościoła od którego się odszczepił. Niemało też publiczności od kilku niedziel zwabiał na swe lektury przybylec amerykański Barnum, znany mistrz i panegirysta *humbogu*, a po naszemu szalbierstwa; wykładał on z naiwnym bezwstydem jak się niem sam bogacił, i objeżdża teraz inne miasta, aby teoryę swéj sztuki, jakby nie dość praktykowanéj, jeszcze więcéj rozpowszechnić. Jakby na zastąpienie próżnego po nim miejsca w stolicy, zjawiła się znana awanturnica Lola Montez, *alias* hrabina Landsfeld, obdarzona tym tytułem od króla Ludwika bawarskiego. I ona także odczyty w St. James Hall rozpoczęła. Są one o wielorakich wielorakościach, w najświeższym było porównane charakteru Amerykan i Anglików. Opisy przez nią ludzi i postrzeżenia nad obyczajami czynione, mają być trafne choć nie nowe; lecz sam rozgłos imienia téj nowoczesnéj Fryny, już jest dostatecznym, by sprowadzał naokoło niéj tak świat modny z Belgrawii, jak mieszczański z Tiburn, obadwa ciekawe widzieć lektorkę lub słyszeć opowiadania przygód jéj życia, które było niemniéj awanturniczem jak nagannem. Niezbywa przeto na głosach wznoszących się przeciw takowym lektorom, i oraz karcących samych słuchaczy za płochą ciekawość. Duchowieństwo gromi to jako grzech i zepsucie, a opinia powszechna potępia jako zarazę obcych obyczajów.

Na jednym z wielu publicznych odczytów, na których wymowa słynęła, zdarzyło mi się samemu być; ale był to odczyt naukowy. P. Oxland mówił, a przedmiotem było: *Filozofia staréj kości* — bo taki dał tytuł swéj rozprawie. Lektor wziął do ręki zwyczajną na pozór kość — gnat, jak w niektórych stronach polskich zowią. Pokazując takową kość słuchaczom, rzekł: To jest rzecz zwyczajna, pospolita; i dla tego że jest pospolitą, mało zwykła ściągać na się uwagi, i pomijaną bywa jako

rzecz znana. Tak się dzieje z wielą rzeczami uchodzącemi za pospolite, że je pomijają jako wiadome i znane. A przecie tak nie jest. Znajomość onych prawdziwa nabywa się tylko drogą systematycznego rozbioru, gdyż przezeń tylko poznajemy istotny skład rzeczy, właściwe ich cechy i użyteczność. Dawszy następnie definicyę wiedzy i znajomości, wytknął wielką między obiema różnicę. Nie wiedza, lecz znajomość jedynie dawała według niego poznanie rzeczy gruntowne, trwałe, zgodne, odpowiadające pewnym celom. Nazywa ją przeto filozofią pospolitych rzeczy, a o ile ona uczyła zastósowania ich do użytku praktycznego, mądrością.

Do wielu rzeczy pospolitych — mówił daléj — jako zbyt prostych, nie zwykło się przywięzywać najmniejszego znaczenia, a wszelako to pewna, że właśnie te rzeczy wydające się nam tak lichemi, bywają jak największéj wagi w naszem życiu. Weźmy naprzykład powietrze nas otaczające. Niewidzialnem ono jest dla oka, bez smaku i zapachu, a przecie bez niego żyć byśmy niemogli. Jeśli przeto chodzi nam o znajomość takowych rzeczy, należy nam udawać się do przyrody i od niéj dopytywać się o ich własności; czekać zaś należy z cierpliwością na jéj odpowiedź, a nawet kiedy ją nam da, rozważnie jeszcze baczyć na to, czyśmy ją dobrze zrozumieli i ażali niemylnie jéj tłumaczymy.

Po ogólnéj téj uwadze, służącej za wstęp do odczytu, mówca podniósł na nowo wspomnioną wyżéj dużą kość, zapytując: czy słuchacze wiedzą, czyją ona była? Jest bawola. A na co ona do Anglii sprowadzona? Od wielu lat Anglia — mówi p. Oxland — sprowadzała na swe potrzeby z Rosyi łój i skóry. Car rosyjski sądząc, iż kraj nasz bez nich się nieobejdzie, nałożył był wysokie cło na ich wywóz. Z tego powodu kupcy angielscy poczęli się krzątać, czyby takowegoż towaru gdzieindziéj niemogli nabyć, a dowiedziawszy się z Ameryki że tam mnóstwo jest bawołów, że ich nawet wiele co rok zdychało, zwrócili się tam po łój i skóry, i w ten sposób pokazali, że mogą się obejść bez łoju i skór sprowadzanych z Rosyi. Prowadząc rzecz daléj, p. Oxland zwrócił na to uwagę, że podczas procesu topienia łoju kupa kości pozostaje. Dawniéj kości takowe walały się marnie, bo nieumiano zrobić z nich użytku, za nowszych

dopiero czasów poznano, iż są one wybornym nawozem ziemi. Naprzód w Anglii zaczęto ich do użyźniania gruntu używać, i na kości wielki był odbyt; wiele ich sprowadzano nawet z obcych stron. Co do tego muszę nadmienić nawiasem, co z innego źródła mi wiadomo, że przez wiele lat handel kośćmi szedł z Rosyi przez morze Baltyckie. Jeden z kupców wyłącznie nim się trudnił, przesyłając tu kości z nad Wołgi, gdzie ten towar był bezużyteczny, i wielkie ciągnął zyski.

Dowiódłszy pochodzenia kości, że była bawola, p. Oxland rzucił następnie pytanie: A zkąd bawół sam ją nabył? Z pokarmu jakim się żywił, to jest z trawy. Lecz co za związek w tem kości z trawą? I jak tego dowieść? Rozumie się przez analizę: przez rozebranie kości i trawy na składające je pierwiastki dójdzie się tego, iż jak w jednéj tak w drugiéj one zarówno się znajdują, a niemi są: wapno, fosfor, kwas węglowy, kwasoród, wodoród i siarczany. Poczem z kolei natrąciło się pytanie: Zkąd trawa te pierwiastki otrzymała? Naturalnie z ziemi, atoli w małéj tylko ilości, większą zaś nierównie część bierze z powietrza. Pierwiastki tylko ziemskie czyli materyalne ciał wytrzymują większy stopień ciepła zostając w spójni z powietrzem. Ztąd to po spaleniu dużéj szczepy drzewa ledwie garstka pozostaje popiołu; większa bowiem część drzewa ulotniła się w powietrze, a co z niego pozostało, popiół, wraca do pierwotnego swego źródła do ziemi. Trawa daleko więcéj jeszcze ma pierwiastków swych z powietrza aniżeli z ziemi; dla tego zapalona wydaje z siebie ciepło i światło, i wiele z niéj ulatnia się w powietrze parą i gazem węglowym. Te lotne jéj cząstki, po zmięszaniu się swojem z innemi w atmosferze, wsysane bywają przez inne rośliny, służąc im znowu na pokarm; a popiół z trawy wraca do ziemi jako pierwiastek z niéj pochodzący. Radził potem na próbę wziąść funt kości i spalić je na wolnem powietrzu: i cóż z nich pozostanie? Odrobinka tylko białego popiołku który składa się z wapna, kwasorodu, węglika i kwasu fosforowego. Wziąwszy zaś bryłę ziemi, po przeprowadzeniu jéj przez ten sam proces spalenia, otrzymamy z niéj też same ingredyencye; a gdyby się one nieznalazły, trawaby na niéj nierosła.

Daléj zapowiedział, oczywiście dla zaostrzenia ciekawości; że naprzód będzie mówił o martwéj kości, a przy końcu o kości przywróconéj do życia. Rozprawiając o pierwszéj, dla lepszego objaśnienia swego przedmiotu dobył rądelek, i rzekł: Gdyby mu doręczono kość na próbę, nalawszy rądelek wodą, gotowałby ją sześć do siedmiu godzin przy wolnym ogniu; bo wolny ogień jak przy gotowaniu potraw w kuchniach tak i w tym razie byłby najskuteczniejszym. Kość ta, pomimo działania na nią ognia, niezmiękłaby, owszem co w niéj kostnego, zostałoby właśnie twardszem. Najpożyteczniejsze te stwardniałe części kości i są bardzo zyskowne. Co się ich gdzieindziéj ledwie za pensa przedaje, za to w Sheffield — jak twierdził — płaci się po 2 szylingi 3 pense (4 $^1/_2$ złp.). Jedne cząstki kości w fabrykach tamecznych służą na trzonki i różne oprawy do noży, widelców, scyzoryków, z drugich wyrabiają guziki, grzebienie, z innych rozmaite rzeczy ozdobne jakby ze słoniowéj kości; gdyż i ta nie jest czem innem jak kością. Zwróciwszy się znowu do swego rądelka, p. Oxland zebrał z powierzchni wewnątrz białą stwardniałą masę. Pokazując tę masę opisywał ją jako nader przydatną w fabrykach do robienia wyborniejszych gatunków mydła, a w razie niedostatku łoju, jako mogącą zastąpić brak łoju w robieniu świec, i że ona stearynowym świecom nadaje ową śliczną białość, przeźroczystość, jakiéj dawnym sposobem lane świece mieć niemogą.

Pod tą białą masą, po jéj zebraniu w rądelku pozostał zsiadły gęsty płyn z wywarzonéj kości, czyli woda zamieniona w galaretę. Cóż z niéj zrobić i na co się ona przyda? Na zupę powiedział — na zupę jaką przed laty w szpitalach i dla ubogich gotować polecano; lecz doświadczenie nauczyło, że ktoby na długo na tak pożywną dyetę był osadzony, musiałby umrzeć z głodu. I w rzeczy saméj aby pożywności téj galatyny w zupach doświadczyć na psach, mądrość filozofów francuzkich kupy psów pomorzyła. Lecz czy niezda się na co innego a może i lepszego takowa galatyna? Bezwątpienia zda się; należy tylko wyparować z niéj wodę, a otrzyma się z niéj kleisty karuk wartujący najmniéj 6 złp. za funt. Resztki jéj mogą przydać się do ozdób lichtarzy, robiono z niéj nawet przeźrocza — (je-

dno z takich p. Oxland na wzór pokazał), na użytek pracujących przy świetle po nocach, do stawiania przed światłem aby nieraziło oczu. Dla cieśli i stolarzy kości są nieoszacowanym skarbem, gdyż bez kleju z nich wyrabianego niepodobnaby im było wiele rzeczy wykonywać, kleju z kości szklarze używają; nim się też stłuczone naczynia szklanne, fajanse i porcelany naprawiają, nitują. Galatyny z kości używają drukarze do swych pras; zaprawiona bowiem melasem z dodatkiem pewnych innych ingredyencyj, tworzy gatunek lipkiéj masy służącéj do powlekania walców, tak że czernidło drukarskie równo się na czcionki w formach przyjmuje i wytłacza. Wiele galatyny używa się do robienia zabawek dla dzieci i wiele zabawek co się przedają jakoby były robione z *gutta percha*, są po prostu z tej materyi kościowéj. Co więcéj, służy ona nawet do przywrócenia starych a nadpsutych kości do pierwotnego stanu, i p. Layard przez użycie jéj do nitowania, wiele z zabytków starożytności niniwskich uratował od zupełnego rozprószenia i zatraty.

W dalszym ciągu rozumowania nad kością, p. Oxland mówił: że kości, osobliwie pewne ich części, używane są do odłączania w topiarniach srebra od ołowiu, a garncarze nadają niemi lśniącą polewę naczyniom, fajansom i porcelanie. Bez użycia pewnych cząstek kostnych w rafineryach cukru, niemożnaby cukrowi nadać białości. Zgoła nieobrachowane są użytki kości: jéj winniśmy kiedy rano zasiadamy do śniadania, prawie wszystkie ozdoby naszych stołów: srebro łyżeczek, politurę połyskną filiżanek i porcelany, i trzonki nożów; a kość służy nietylko do bielenia nam cukru, ale nawet do czernienia obuwia. Kobiety mają do zawdzięczenia jedno z ożywczych pachnideł preparatom z kości. Agronomy wyrabiają z nich siarkany i nadsiarkany do uprawy gruntów i rozbudzenia wegetacyi. I tak kość co była martwą, wywołuje i krzewi pod kształtami rozmaitéj roślinności nowe życie. Wskrzeszają się w ten sposób z kości nowe formacye, zdobywają nowe źródła i środki do życia, dostarczające żyjącym jestestwom pokarmu dając im wzrost i siłę; a krążąc według praw ręką Opatrzności zakreślonych w organizmie naszego

świata, nadają otaczającéj nas przyrodzie coraz więcéj piękności, uszlachetnienia i uroku.

Na tem zakończył lektor swą rozprawę o kości. Na zamknięcie jéj tylko dodał, a to z życzliwości dla dobra młodszéj części słuchaczów swoich i zachęty dla nich; iż podobnéj lekturze którą raz za młodych lat zdarzyło mu się słyszeć, miał do zawdzięczenia swe powodzenie w życiu i obecne położenie społeczne.

Podobnych praktycznych lektur o różnych przedmiotach nauk, z zastósowaniem ich do pojęcia ludu, bywa tu bez liku, i z najlepszym skutkiem na masę narodu. Jak niegdyś w Grecyi mówiono o Sokratesie, że filozofię z nieba sprowadził na ziemię, tak można teraz powiedzieć o Anglii, że w niéj za pomocą lektur jak powyższa, oświata z katedr akademickich przechodzi do ogółu ludzkości. To stanowi wielką kraju potęgę.

Dwa czy trzy miesiące temu, jak donosiłem wam o wydaniu przez lady Morgan pamiętników jéj życia pod tytułem: *Diary*; dziś smutny mam obowiązek zapisywać do *Kroniki* dzień zejścia téj sławnéj autorki. Umarła dnia 13 bm. w 77 roku życia swego. Urodziła się r. 1783 w Dublinie, gdzie jéj ojciec p. Owenson słynął z talentu muzycznego, i zaszczepił w swéj córce smak do poezyi i literatury. Pierwszemi próbkami jéj pióra był zbiór rozmaitych wierszy i śpiewy z muzyką irlandzką; wydała je nie mając jak lat czternaście. Mając lat siedmnaście wydała obyczajowy romans: „*Wild Irish Girl*“, który od razu ustalił jéj sławę autorki. Wyszedłszy za mąż za sir Charles Morgan znakomitego lekarza, zyskała imie „lady“ i żyła w pierwszych towarzystwach stolicy, zwłaszcza w rodzinach whigowskich. Odbywszy podróż za granicę, wydała dzieło: „*France*“ pogląd na towarzyski stan Francyi, za który wyrokiem rządu ówczesnego, wstęp na zawsze jéj był wzbroniony do Francyi. Rozkaz ten wszelako został bez wykonania, gdyż w dzienniku jéj wzmianka znajduje się o przejeździe jéj z mężem do Włoch, i o długiem jéj pobycie w Paryżu, gdzie napisała drugi romans obyczajowy: „*Florence Macarthy*“. Wiele innych pism ogłaszała, ale wymienione są najsławniejsze. Pomimo ich popularności lady Morgan nie musiała z nich mieć wielkiego odchodu, a przynajmniéj nie tyle ile dziś mają pp. Di-

ckens, Thackeray i Bulwer Lytton. Nie byłaby bowiem od rządu przyjęła 300 fst. pensyi, którą do końca życia przez wiele lat ciągle pobierała.

Rzym w kwietniu.

Nadszedł miesiąc odnowy, odżycia i ciepłych powiewów. Klimat włoski nie zna wprawdzie stanowczéj różnicy między zimą a wiosną; podczas gdy indziej przyroda cała pokrywa się zlodowaciałym całunem i zasypia pod wiekiem szarych chmur, tutaj nie składa ona nigdy zieleni z piersi a lazuru z czoła; ale częstokroć zimowa ta pogoda jak owe kobiety co palą cię spojrzeniem a mrożą słowami, zieje tramontaną, owym strasziiwym klasycznym akwilonem, ostrym jak sztylety włoskich *brawów*.... Wtedy życie staje się męczarnią i konaniem; *tramontana* przeszywa najgrubsze mury, wciska się do najlepiéj opatrzonych domów i każdą żyłkę nerwowego systemu z osobna w tobie porusza. Napróżno starasz się ogrzać przy kominku; włoskie pomieszkania na lato zbudowane nie znają wcale zimowych potrzeb. Italja, słońca kochanka, tak mocno uwierzyła poetom wiekuistą jej wiosnę opiewającym, iż od lat tysiąca przekonać się nie może o istnieniu *tramontany* i nie chce okryć cieplejszą draperją posągowych swoich ramion. Wiosna zaś lubo niema śniegów do roztopienia wyjąwszy na górach, uwalnia nas od *tramontany* i do niewiędnącéj zieleni dodaje urok kwiecia; drzewa precz kwitnące po okolicznych willach upiększają krajobraz tęczą najrozmaitszych kolorów; łąki się bielą i złocą od polnych narcyzów; ciepły zachodni wietrzyk zastąpił tramontanę. To Horacyuszowy Favonius:

Solvitur acris hyems grata vice veris et Favoni.

Czyliż pod jego rozkosznym powiewem i na téj klasycznéj ziemi nie zbiera cię chętka stósownie do rady poety zielonym uwieńczyć się mirtem lub kwieciem wyrosłem z odwilgłéj roli:

Nunc decet aut viridi nitidum caput impedire mirto,
Aut flore, terrae quem ferunt solutae.

Ponieważ wiosna woła nas na podniebie opodal od oświetlonych salonów, któreśmy przez cały karnawał oglądali, i ponieważ dane jest nam odetchnąć innem kwieciem jak to które rozkwita — lub więdnie we włosach i w gorsie wszystkich salonowych Herodiad, — to uciekając za bramy miasta na kwitnące błonia, wstąpmy do naszych polskich artystów, których studja znajdują się na naszéj drodze. Kraj nasz, jak wiadomo, dostarcza tutaj wielu pracowników sztuce, gdyby na oczywiste zaprzeczenie temu, co równie utalentowany jak złośliwy Arystarch polskiéj prasy, zawyrokował niedawno, gdy twierdził, że sztuka jest u nas niepodobieństwem. Wprawdzie ta jéj gałązka, o któréj mówić zamierzamy rozkwita nie u nas lecz na włoskiéj ziemi, a uprawiacze jéj wyjąwszy p. Gierdziejewskiego, zapewne że marmurów, kolorów i natchnień nie sprowadzają z Polski. Zdaje się tedy, że jak twierdzenie rzeczonego Arystarcha ani się całkiem zbić, ani też usprawiedliwić nie da, tak z drugiéj strony wymowne Kraszewskiego nauki o wyższości naszego nieba nad włoskiem i krajobrazów naszych nad włoskiemi, pomiędzy artystami naszymi w Rzymie bawiącymi idą w las — bukszpanowy i mirtowy....

Zwiedzmy na ten raz parę tylko studjów, albowiem nic tak nie unuża jak długie natężenie uwagi ku licznym sztuki płodom. Takiego znużenia trudno doznać u nas; ale ci, którzy oglądali galerye półwyspu, wiedzą, jakim jest trudem to na pozór bezczynne przypatrywanie się.....

Zacznijmy od rzeźbiarzy. Rzeźba dzierży berło między plastycznemi kunsztami; Bóg sam, że się powiedzieć ośmielę, stworzył rzeźbę gdy człeka z gliny ulepił. Malarstwo trzyma się jedynie powierzchni przedmiotów i dzierga bezprzestannie ulotną Irydy szarfę przewiewającą po widzialnym świecie. Snycerstwo włada szerzéj i sięga głębiéj; jak piorunujący Jowisz ciska ono swe potężne linie w głębokość, w szerokość i w wysokość materyi i zostawia na niéj niepożyte ślady niebieskiego ognia, który w młota pocisku wypadł z ducha artysty. „Marmur, powiada wielki rzeźbiarz David w po-

śmiertnym pamiętniku, ma w sobie coś czystego, nadziemskiego; kolory są ziemskiemi. Nosimy na twarzach naszych wczesne zniszczenia piętno; rzeźba przeciwnie nosi piętno wieczności. Im jaskrawszym jest kwiat, tem krócéj trwa. Rzeźba jest tragedyą sztuk. Człek walczący samotnie z nieszczęściem ma coś bohaterskiego i posągowego. Rzeźba jest niemal wiarą. Niepowinna się ona poddawać zachceniom mody, winna być poważną, czystą. Kiedy się zniża aż do przedstawienia scen z potocznego życia, zdaje mi się że widzę tańczącego kapłana. Rzeźbiarze są apostołami moralności, arcy-kapłanami przyrodzenia.“

Szczytne to są wyrazy mistrza przejętego wyższością i doskonałością swéj sztuki, a tem godniejsze uwagi, iż je wyrzekł, jak to mówią, człowiek fachowy. Komuż po takiéj przemowie nie zechce się wstąpić do studyów snycerskich, zwłaszcza jeżeli do ogólnego uroku kunsztu łączy się urok narodowości? Zacznijmy tedy od pracowni Brodzkiego i Gójskiego, dwóch niemałe nadzieje rokujących artystów naszych.

Talent Brodzkiego od czasu przybycia jego do Rzymu znacznie się rozwinął. Wpływ ojczyzny sztuk, wielkiéj natchnień rodzicy, uczutym i widzialnym często się staje w dziełach północnych artystów po kilkoletnim ich pobyciu pod włoskiem niebem i obcowaniu z arcydziełami starożytności, które niestety! mniejszość ich tylko studiuje. Do téj mniejszości należy właśnie Brodzki. Nazwaliśmy go artystą północnym, z powodu że wielką część życia spędził w Petersburgu, gdzie odebrał początkowe artystyczne wykształcenie. Snać bujność polskiéj natury nie traci wcale siły nawet w sąsiedztwie podbiegunowych lodów. Brodzki ze znakomitą nauką i ze szczęśliwem usposobieniem przybył do Rzymu, gdzie, jak rzekliśmy, talent jego dojrzał pod dwoistemi promieniami słońca i sztuki. Dowodem téj dojrzałości są liczne utwory zdobiące obecnie jego pracownię; z tych w niepodobieństwie wspominania o wszystkich, wymieńmy następne:

Pax hominibus bonae voluntatis, grupa nie wykuta jeszcze z marmuru. Zbawiciel świata unosi się na obłoku błogosławiąc ludziom dobréj woli; wyraz jego jest pełen powagi i miłosierdzia; polot całéj postaci nader

udatnie wyrażony. Dla napiętnowania zaś takowéj przedniejszą jeszcze lekkością, artysta przydał jéj dwóch aniołków zdążających wszystkiemi siły swych skrzydeł za Bogiem-Człowiekiem. Jeden z nich podnosi troskliwie podołek boskiéj szaty, by przewiewając po ziemskich nizinach ku którym litość ciągnie Zbawiciela, nie dotknęła ziemskiego kału, drugi zaś obciążony kulą ziemską usiłuje jak najspieszniéj pomykać się ze swém brzemieniem, na którém spoczywa lewica Chrystusa, podczas gdy prawica jego uroczyście wyniesiona zlewa pokój na niespokojną rzeszę synów Adamowych, wiecznie miotaną burzami tego świata.

Popiersie Zbawiciela naturalnéj wielkości. Artysta usiłował zdobyć się na najidealniejszy wyraz w obliczu Tego, który był najpiękniéjszym między synami ludzkimi. Popiersie to obstalowane jest przez W. księżnę Maryę Leuchtenbergską. Radzimy Brodzkiemu pracującemu niemal wyłącznie dla dworu rosyjskiego, który jak wiadomo, nie jest naszego wyznania, unikać skwapliwie, jak dotąd unikał, bizantyńskich typów, w których kręgu obraca się religijna rzeźba *prawosławna* nie ożywiona życiodajnym promieniem katolickiéj wiary.

Kominek, dotąd z gliny tylko wykształtowany a przeznaczony do pałacu cesarskiego w Petersburgu. Prześliczny jestto utwór i jeszcze lepiéj wydawać się będzie w marmurze. Troje dziatek czy kupidynków zdobi ten kominek; najwyżéj się znajdujący ukazuje paluszkiem na zegarze, o który się opiera, godzinę zapalenia w kominku; drugi niżéj umieszczony uchyla z dziecięcą ciekawością fałdzistéj zasłony dla zobaczenia, czy już ogień rozłożono; trzeci zaś, którego artysta wyobraził w postaci malutkiéj dziewczynki drżąc od mrozu petersburskiego garnie się do dobroczynnych płomieni. Z pod szerokiéj i swobodnéj draperji wykwita mnóstwo kwiatów, pączków i liści nader misternie wydłótowanych, które ciepło kominka i fantazja artysty w bezsilności północnego słońca rozwinęły pospołu. Jestto ze strony rzeźbiarza delikatne przypomnienie grzejącym się dworzanom, iż wiosna gdzieś przecie istnieje na świecie, chociaż jéj śladu niemasz nad Newą.....

Adonis spoczywający u zdroju, naturalnéj wielkości posąg. Strudzony kochanek Wenery po nużących ło-

wach, legł na skale i czerpie wytryskującą z niéj wodę, by ugasić pragnienie malujące się w napół otwartych ustach i silnie oddychających nozdrzach jego. Równie zadyszany ogar leży pod skałą i wygląda niecierpliwie z ręki pana odświeżającego napoju; daléj łuk, wypróżniony kołczan i strzał kilka po murawie rozrzuconych tłómaczą dobitnie koniec polowania. Adonis ten czyni największy zaszczyt talentowi i artystycznemu wykształceniu Brodzkiego; proporcye są zachowane z wielką natury znajomością; harmonia linii misternie przedłużonych zmierza wszędzie ku idealnéj piękności, temu wielkiemu sztuki a mianowicie rzeźby założeniu.

Dwa popiersia Heraklita i Demokrita w dziecinnym wieku. Jeden z tych malców śmieje się a drugi płacze, obaj, ten śmiech i ten płacz do późnych lat przeciągną, zostawując po sobie jako dostojne potomstwo szeroko rozwnuczony rodzaj optymistów i pessymistów. Życzymy snycerzowi kilka kopij Heraklita posłać do Polski dla zrównoważenia rodzaju Demokritów, wyłącznie tam od pewnego czasu nauczających i gromadzących licznych słuchaczy wkoło zdobnych purpurowym makiem katedr, u szemrzących wód Letejskiego strumienia, przy miłym dźwięku sztambuchowych dityrambów.

Sen Erosa z marmuru. Nic wdzięczniejszego nad to wszechwładne dziecię niewinnie uśpione w muszli unoszącéj się na postumencie ze splecionych delfinów. Jestto podług nas arcydzieło Wiktora Brodzkiego.

Cesarz rosyjski zapragnął mieć drugi odpowiedni utwór. Brodzki wykonał już wzorek gipsowy takowego. Przedstawia on *ocknienie się Erosa.* Syn Afrodyty dźwiga się zwolna z perłowego łoża przecierając oczki; natura cała budzi się razem z nim; gołąbki owiane jego tchnieniem całują się miłośnie na podnóżu posągu. Zawistne węże, godło występku, chciałyby zniszczyć tę niewinną miłość i podstępnie przyczołgują się do niéj; lecz fantastyczne morskie bóstwa postrzegły niebezpieczeństwo syna Anadyomeny z téj co i one piany zrodzonéj, i spiesząc mu na odsiecz dławią pełzgliwe gady, zanim zdołały się wcisnąć do muszlanéj kolebki.

Zefir z marmuru. Puste uśmiechnione Eola dziecię wiesza się lekko u laurowych gałęzi i wyciągniętą nóż-

ką marszczy nieznacznie zwierciadlaną powierzchnię strumyka przez gaj płynącego. Drobne trawki, które ciepły podmuch jego wzbudził z wiosennéj roli, płyną pociągnięte cichym nurtem. Powiewność dziecięcia jest nadzwyczajną. Cały ten utwór tchnie jak najświeższą poezyą, lubo pomysł jego nie nowy i znany nam już z prac Proudhona.

Popiersie matki artysty z marmuru. Oblicze sędziwéj osoby odznacza się słodyczą, a chustka pokrywająca jéj głowę równie jak futerko na szyi są doskonale wykonane. Popiersie to jest chlubą dla synowskich uczuć i wdzięcznéj pamięci rzeźbiarza.

Popiersie ministra Turkuła odesłane do ministeryum królestwa Polskiego, gdzie nabyte zostało przez księcia Kutuzowa.

Wszystkie znajdujące się w pracowni Brodzkiego rzeźby obstalowane są lub nabyte przez dwór rosyjski, jak wyżéj rzekliśmy. Zapewne szczęśliwym to jest dla artysty wypadkiem pod materyalnym względem, albowiem dwór petersburski jest wielce hojnym dla pracujących Mecenasem, a gdyby przeciwnie mieli go zastąpić nasi wielcy panowie i podpanki, zapewne Brodzki mógłby sam usiąść na kararyjskiéj bryle jak ów niewolnik greckiego tragika, który miał czas posiwieć wyglądając z wieży powrotu pana swego z Troi i zostać „cieniem błąkającym się w dzień biały". Ale szkoda dla kraju, iż tak znakomite utwory polaka przejdą tylko przez ojczyznę w wędrówce swéj na północ.

Byliśmy u Gójskiego, który pracuje w studyum znanego rzymskiego snycerza Amici. Gójski jest bardzo młodym, wiele jeszcze winien pracować, kopiować starożytne wzory, niedowierzać trąbie ojczystéj sławy, gdy takowa zatrąbi, ani zbyt łatwemu a rzadko przechodzącemu w nabycie utworu, zachwytowi turystów ziomków swoich. Wiadomo także, iż dzienniki warszawskie puszczają w obieg powieści o Michałach Aniołach i Rafaelach *naszych*, gdyż ze spisu Vasarego te dwa tylko imiona doszły do ich wiadomości i stały się najprzedniejszą ich porównań skalą. Nie ochrzciły one jeszcze Gójskiego imieniem Buonarottego, ba, nie wspominały podobno jeszcze o nim, co jest dlań niepospolitém szczęściem. Uprzedzając tedy warszawską prasę w pochwale

czy też w naganie, co w niéj w parze niekiedy chodzi, powiemy poprostu, że Gójski jeszcze nie został, ale zostać kiedyś może polskim Kanową. Widzieliśmy tylko jego grupę Ś. Piotra wyprowadzonego z więzienia przez Anioła. *Ex ungue leonem.* Witamy wschodzącą jutrzenkę téj możebnéj narodowéj sławy i życzymy jéj aby nie utonęła w nieprzejrzanych mgłach niedoli, prozy, obskurantyzmu, cudzéj obojętności i głupstwa. Oby zaświeciły pomyślniejsze czasy dla krajowéj sztuki, a artyści nasi przez częsty brak materyalnego wsparcia, a co więcéj nawet znaczy, moralnéj zachęty i współczucia ze strony ludzi bardziéj potrzebujących kucharzy i skoczków niż artystów, nie byli zniewoleni, nie mogąc zostać żołnierzami, do szukania Mecenasów w Izraelu lub do wychodzenia na oficyalistów u naszych panów czyli właściwiéj mówiąc bogaczów, skoro dziś nie czerwone lecz złote pole w herbie popłaca.

Obok rzeźbiarzy, z których tą razą na dwóch poprzestaniem, zasługują na równą uwagę pracownie malarzy polskich w Rzymie. Między tymi Stankiewicz zajmuje niepoślednie miejsce. Pędzel jego jest pełen życia i ciepła i szczęśliwie przejąć się umiał charakterem południowéj natury, w któréj artysta ten ma równie wielkie jak słuszne upodobanie, wychodząc z téj zasady, iż cała natura należy do Boga, iż sztukę niepodobna ograniczać do malowania widoków swego tylko kraju, i że można być narodowym artystą nie wymalowawszy ani jednéj ukraińskiéj chatki, ani jednéj litewskiéj sosny. Słyszeliśmy pewnego turystę poważnie twierdzącego, iż gotów był nabyć obraz Stankiewicza, gdyby zamiast przedstawiać wieśniaczkę z okolic Rzymu, wyobrażał był dziewczynę z okolic Krakowa.... Dla Boga! kiedyż przyznamy natchnieniu tę samą wolność, jaką udarowaliśmy naszych chłopów? W epokach zobojętnienia i upadku charakterów, uczucie narodowości opróżniając serca, przechodzi na drobiazgi i ogranicza się na nich chwyta się ich zacięcie, podobnie jak uczucie wiary u ludzi niezdolnych zapewne ani męczeństwa, ani prawdziwéj miłości, ani ofiar i rzeczywistych miłosierdzia uczynków, wyraża się praktykami zewnętrznemi, które są chwalebne, dopóki towarzyszą wielkiemu poświęcenia się duchowi, ale które rażą wszelkie niewykrzywione

serce, kiedy stają się cukrową maską pysznych faryzeuszów i nikczemnych Tartuffów!

Ale wróćmy do Stankiewicza. — Z licznych prac jego następne zasługują na szczególną wzmiankę:

Dwie wieśniaczki z okolic Rzymu, wielki obraz na płótnie. Jedna niesie na głowie konew w kształcie starożytnéj amfory, jakiéj dotąd używają w dawném Latium niewiasty idące po wodę; druga z pełnym wdzięku ruchem poprawia ciężar swéj towarzyszki.

Włoszka w wieśniaczym stroju rzucająca kwiaty podczas karnawału. Strój taki przyjęty w tym czasie przez wszystkie klasy bez różnicy, okazuje niewiastę z ludu; oblicze zaś, będące zresztą wizerunkiem, a pełne delikatności i uroczego wyrazu, mówi ci ukradkiem, że ta śliczna istota nie spędziła życia chodząc około gospodarstwa. Oko jéj pełne jest tego ognistego zadumania, jakie się często maluje na twarzy tych córek słońca. Niepodobna widząc tę fizjonomję nie zachować jéj w pamięci.

Wizerunek kobiety modlącéj się, z czarnym welonem na głowie.

Stara wieśniaczka włoska trzymająca nagie dziecię na rękach. Jestto znakomite dzieło. Koloryt téj sędziwéj twarzy, która za młodu nader piękną być musiała, ciepłe odcienia igrające po niéj, prześliczna draperja, niciana frenzla narodowéj zasłony z łudzącą rzeczywistością wykonana, zręczne przeciwieństwo sprawione zestawieniem świeżego ciałka jasnowłosego dziecięcia z zawiędłą płcią téj babki czy piastunki, wszystko jest uderzającém w tym obrazie. Trudno mianowicie wyrównać Stankiewiczowi w malowaniu głów, które umie cechować życiem, wyrazem i wdziękiem jemu tylko właściwemi.

Gierdziejewski przewyższa wszystkich naszych tutejszych malarzy talentem do kompozycyi. Ognista jego wyobraźnia chwyta, grupuje, mięsza figury obrazów z dziwną łatwością, ze zdumiewającą płodnością i niecierpliwym popędem. Ta gorączka tworzenia cechuje zwykle tych, co wielkimi zostają artystami. W Gierdziejewskim jestci Fra Bartolomeo połączony z Kaulbachem, nie iżby miał już wyrównać w czémkolwiek nieśmier-

telnemu Włochowi i znakomitemu Niemcowi, ale że pracując statecznie, może kiedyś dojść a przynajmniéj zbliżyć się do ich wysokości, co zaiste niemało powiedzieć.

W jego pracowni te się obecnie znajdują obrazy na płótnie:

Scena z pamiętników Paska: Pasek, Adamowski i Wolski spierają się, kto Szweda zetnie: „Gdy się to dzieje, wchodzi też Tetwin z dragonją, rozumiejąc, że najpierwszym w zamku będzie, a tu trupa leży moc, a nas tylko z piętnastu stoi towarzystwa, bo się już od nas porozbiegali, i żegna się mówiąc: „A tych ludzi kto narżnął kiedy was tu tak mało?“ „„My, odpowiedział Wolski, ale i dla was będzie, ono wyglądają z wieży.““ A w tem prowadzi tłustego oficera młody wyrostek. „Daj sam zetnę go“. On prosi: „Niech pierwéj rozbiorę, bo suknie na nim piękne, pokrwawią się“. Rozbiera go tedy, w tem przyszedł Adamowski, towarzysz krajczego koronnego Leszczyńskiego i mówi: „Panie bracie, gruby ma kark na waszmości młodą rękę; zetnę ja go.“ Targujemy się wtedy, kto ma go ścinać; a tymczasem wpadli nasi i do sklepu, w którym były prochy w beczkach...“

Postawienie krzyża w Kolosseum za Benedykta XIV. Amfiteatr oświecony od księżyca; na tle rozpadłych krużganków siną pomroką powleczonych, odbywa się walka w powietrzu. Cezar otoczon liktorami i gladjatorami broni Kolosseum przeciwko aniołom krzyż wznoszącym. Grupa gladjatorów na pierwszym planie jest przepyszną i przypomina styl szkoły Buonarottego.

Siedm grzechów głównych. Siedm poczwar uosabiających rozliczne występki, pędzi naprzód, a za niemi ciągnie orszak sławnych występców, w którym widać Cezara, Herostrata, rodziny Borgiów, Mahometa, Messalinę, itd. Sława siedząc na ganku świątyni, puszcza mydlane bańki po nad nimi...

Polska rodzina. Ojciec w polskim stroju siedząc pod krzyżem, trzyma statut wiślicki na kolanach; matka błogosławi synowi na drogę, anioł oskrzydla białemi pióry to wybrane grono. Na dalszym planie i nieco wyżéj widać wielkie rusztowanie z szubienicą u góry trzymane przez Głupstwo, Dzikość, Pychę i Złość w stro-

jach cudzoziemskich. Do szubienicy przywiązane trzy piękne siostry: Wiara, Cnota i Sztuka. Duchy przodków w infułach, zbrojach i kontuszach przeciągają długim sznurem w powietrzu, miotając klątwy na wyniosłą i okazałą giełdę, gdzie widać dzisiejszych polaków grających zapamiętale, i na teatr marionetek, na którym dzisiejsi polacy tańczą publicznie *kankana* paryzkiego z nierządnicami. Daléj jeszcze na ostatnim planie widać rozwalony kościół i lud pędzony w jasyr....

GAZETKA LITERACKA.

Kraków. Narzekania Bibliot. Warszawskiéj na rzadkość exemplarzy Roczników Tow. Naukow. Krakowskiego odparte w Gazetce na miesiąc luty, wywołały nowy głos w Zeszycie Bibl. Warszaw. na miesiąc kwiecień. Autor odpowiedzi zarzuca, że w Krakowie niemają pojęcia o handlu księgarskiem i o potrzebach czytelników; może być temu trudno zaprzeczać; ale nie idzie zatem aby Towarzystwo, któremu każe się „legitymować z prac swoich przed krajem“— narażało się na koszt odbijania więcéj liczby exemplarzów swego rocznika. Przecież i 150 exemplarzami można się tak dobrze wylegitymować, jak się wylegitymował z zasług swoich Jan Potocki, gdy tylko w stu exemplarzach pisma swe drukować kazał.— Następnie powiada artykuł Biblioteki, że niewie na których składach w Warszawie leżały Roczniki — których nierozprzedano. — Gdzie leżały? to mniejsza — najpewniéj u księgarza — ale to fakt że Towarzystwo niemiało z nich nawet tyle dochodu, żeby się koszta druku pokryły. Z resztą bardzo cieszymy się, że spółeczeństwo polskie tak spoważniało, że dziś ręczy za sprzedaż 500 exemplarzy Rocznika. W takim razie Towarzystwo Naukowe Krakowskie, jeśliby miało tylko rękojmię, że istnieje *de facto* pomieniony zapał do umiejętności ścisłych i badań specyalnych, niewahałoby się zapewne zarządzić odbijanie Rocznika w większéj ilości exemplarzów. Na to przecież niepotrzeba wielkich zachodów i wysileń — ale zawsze byłoby z uszczerbkiem finansów Towarzystwa dość ubogo uposażonego gdyby pokazało się w praktyce, że głos artykułu Biblioteki, był może tylko wyrazem indywidualnego porywu, a nie potrzeb ogółu.

— Wydawnictwo dzieł katolickich naukowych i rolniczych wydało czcionkami Budweisera dzieło ś. p. Ignacego Hołowińskiego arcybiskupa Mohilowskiego pod tytułem: *Homiletyka* którą ten dostojny pasterz przed dwiema laty zgasły, wykładał alumnom akademii duchownéj w Petersburgu.

— Dowiadujemy się że Zygmunt

Antoni Helcel wydaje w drukarni Uniwersyteckiéj materyały historyczne pochodzące ze zbiorów ś. p. Swidzińskiego. Również zamyśla wydać listy pochodzące z archiwum po Jakóbie Sobieskim, a odnoszące się do spraw publicznych z czasów panowania Jana IIIgo.

— Wydawca Biblioteki Polskiéj p. Turowski ciągle dostarcza dalszych zeszytów Herbarza Paprockiego który wychodzi in 4to ozdobny drzeworytami herbów umyślnie do tego dzieła robionemi. — Oprócz tego wydano już pierwsze zeszyty Mikołaja Reja: Żywota poczciwego człowieka; przy następnych zeszytach wyjdzie żywot Reja nowo obrobiony i okazujący stanowisko tego pisarza w literaturze polskiéj.

Lwów. Druk słownika Lindego postępuje nieprzerwanie i dosyć szybko. Obecnie drukuje się już arkusz sześćdziesiąty tomu piątego. Tom piąty wyjdzie z końcem lipca i będzie obejmował dziewięćdziesiąt i kilka arkuszy druku.

— Bibliotekarz Zakładu Antoni Bielowski przedsięwziął wydanie pism hetmana Żołkiewskiego, których się składa dwódziesty siódmy arkusz. Druk *Monumentów* wstrzymany był na kilka tygodni z powodu oczekiwania na jedną książkę z Moskwy, która przybyła nakoniec. Ile dotąd wiadomo nakładcą na to ważne źródło do początkowych dziejów naszych nie jest hr. Wiktor Baworowski, ale sam p. Bielowski, który wszelkie koszta wydania wziął na siebie, lubo znalazł był wszelką gotowość pomocy w tym światłym i gorliwym opiekunie przedsięwzięć naukowych.

W Monumentach historyeznych, po ukończeniu listu Chasdaja, drukuje się obecnie żywot S. Metodego, porównany z najnowszem wydaniem tegoż żywota Bodjańskiego i opatrzony przedmową wydawcy.

— Ludwik Skrzyński uzupełniwszy i rozszerzywszy znacznie rozprawę swoją drukowaną w Czasie: O potrzebie kredytu rolniczego; drukuje ją w formie listów. Całe dzieło obejmować będzie listów siedmnaście i przeszło dziesięć arkuszy druku. Wyjdzie w ciągu przyszłego miesiąca, druk bowiem jest już prawie na ukończeniu.

— U Manieckiego ukończony właśnie został druk Mowy pogrzebowéj mianéj na pogrzebie księdza Samuela Cyryla Stefanowicza Arcybiskupa ormiańskiego, zmarłego w roku zeszłym, przez księdza Kajetana Kajetanowicza, kanclerza konsystoryalnego kapituły lwowskiéj ormiańskiéj. Mowa ta ma wyjść razem z mową ks. Izakowicza drukowaną w *Dodatku do Czasu.* — Dochód z całego wydania przeznaczony na postawienie pomnika grobowego na cmentarzu łyczakowskim, ku czci tego powszechnie poważanego stuletniego starca kapłana.

— Ed. Winiarz zamyśla wydawać począwszy od Maja pismo dla ludu pod tytułem: *Dzwónek.* Które ma wychodzić peryodycznie, co dziesięć dni arkusz. Redaktorem będzie Bruno Bielawski. — Maniecki zamierza z początkiem półrocza wydawać także peryodycznie arkuszami: pisemko dla dzieci

— Wolf. nauczyciel tutejszéj szkoły izraelskiéj wydał krótko zebraną gramatykę polską, dla użytku szkół elementarnych, w języku niemieckim.

Paryż. Wychodzą tam: *Krzysztofa Radziwiłła sprawy wojenne polityczne* od r. 1621 do 1632 na trzy części podzielone. W pierwszéj części pomieszczone raporta hetmańskie od 1621 do

1622. Część drugą stanowi dyaryusz do r. 1622 utrzymywany przez Koehlewskiego. W trzeciéj części zawarte są mowy poselskie na sejmach 1623, 1624 i 1625.

Dzieła: Biblioteka Rossyjska i Polska (Bibliotheque Russe et Polonaise) wyszedł IV i V tom. w których się mieści opis zdarzeń do czasów Dymitra pod tytułem: *Le Théâtre de la Moscovie* par le P. Boussingault; i podróż feldmarszałka Szeremetieva do Polski, Wenecyi i Rzymu. Podróż ta przypada na r. 1697 czyli na pierwsze chwile wstąpienia na tron Augusta II. Podróżujący Rossyanin opisuje diaryuszowym sposobem przygody swoje w Polsce i pobyt w Krakowie; gdzie był przez króla przyjmowanym.

Warszawa. W kwietniowym zeszycie Biblioteki warszawskiéj czytamy następujące artykuły:

Góra Biskupia pod Gdańskiem i Szotland, albo przedmieście szkockie przez Zygmunta Komarnickiego.

Urbi et orbi, powieść rzymska, przez Michała Budzyńskiego.

Listy Adolfa Januszkiewicza ze stepu Kirgizkiego pisane do rodziny i przyjaciół w 1846 r.

Antylopy środkowéj Azyi przez A. Wałeckiego.

Zbieranka pomniejszych wiadomości w dziedzinie sztuk nadobnych przez Amb. Grabowskiego.

Kronika paryzka, literacka, naukowa i artystyczna. Quinet, jego życie i dzieła, przez Ludwika Chassin.— Les Grands Vassaux, dramat Wiktora Séjur.— Teatra, romanse i krytyka. — Biblioteka użyteczna.— Katedra fizyki roślinnéj. — Wiadomości literackie. — O szarwarkach, przez K. Szumlańskiego.

Poezye. Królewicz Marko, narodowe pieśni serbskie przełożone przez Romana Zmorskiego.— Kronika literacka. I. Pamiętniki historyczne do wyjaśnienia spraw publicznych w Polsce XVII wieku posługujące, wydał z rękopismu Michał Baliński. II. Roczniki do dziejów Podtatrza i Spiża z lat 1680—1748. Wydał Józef Jerzmanowski. III. Rzeź w Moskwie.— IV. Starożytności Warszawy. — Serya II tom VI, wydał Alex. Wejnert. — Wiadomość historyczna o mieście Klecku, zebrał ks. Józef Dydyński Przez Leopolda Huberta.— Tamiło, obrazek z życia ludu, przez Wincentego Korotyńskiego. Przez K. Kaszewskiego. Zbiór Dyplomatów rządowych i aktów prywatnych, posługujących do rozjaśnienia dziejów Litwy i złączonych z nią krajów (od r. 1387—1710), wydany przez Komisyą Archeologiczną Wileńską. Przez Leopolda Huberta.

Rozmaitości. Kilka słów o najnowszych pisarzach francuzkich, przez Henryka Merzbacha. — Korespondencya. List Alexandra Przeździeckiego do K. Wł. Wojcickiego (z drzeworytem).

Kronika bibliograficzna.

Doniesienia literackie

Dostrzeżenia meteorologiczne za m. luty r. b.

Z kroniki bibliograficznéj tegoż zeszytu podajemy ciekawsze wiadomości literackie:

— Władysław Syrokomla, wspólnie z W. Korotyńskim przetłumaczyli pieśni Beranżera. Druk już skończony, puszczenie w obieg handlu księgarskiego powstrzymane, z powodu, że nie nadszedł jeszcze portret Beranżera, który zdobić ma to wydanie

— Leopold Jakubowski, znany z wielu rozpraw tak w Bibliotece drukowanych, jako i innych codziennych, przygotował do druku nową pracę n. p.: „Pierworys prawa, czyli Encyklopedya prawoznawstwa, obejmująca pierworys

rawa i prawodawstwa, pierworys prawoznawstwa i historyą sprawodawstw, oraz filozofii prawa w głównych zasadniczych zarysach, stanowiących istotę téj nauki". Dochód z tego dzieła, najmniéj 15 arkuszy druku obejmującego, przeznaczonym jest na wsparcie niezamożnych studentów uniwersytetu św. Włodzimierza. Obecnie wykończa „Zasady gospodarstwa społecznego".

— Od lat wielu robiono zabiegi i starania do wydawnictwa jużto encyklopedyi polskiéj, już powszechnéj. Przed r. 1830 założoną głównie została drukarnia pod firmą *stereotypowéj*, któréj zadaniem miała być encyklopedya powszechna. Późniéj księgarz krakowski Friedlein, zmarły przed kilką laty, zamierzał wydawnictwo *Encyklopedyi Polskiéj*, i wtym celu nawet rozesłał drukowane odezwy. Księgarz A. E Glücksberg w r. 1836, zaczął wydawać Encyklopedyą powszechną ale po wydaniu 4 tomów i kilku zeszytów, przedsięwzięcie to tak upragnione i silnie poparte prenumeratą, upadło, depopularyzując na długo wszelkie w tym przedmiocie pokuszenia. Po dwudziestu kilku latach, w r. b. po uorganizowaniu się naukowego komitetu, wspartego licznemi współpracownikami ze wszystkich stron dawnéj Polski wydawnictwo nowéj Encyklopedyi powszechnéj ustalonem i zapewnionem zostało. Nakład tego wielkiego dzieła wziął na siebie S. Orgelbrand znany przedsiębierczy księgarz i typograf, który myśl dawno powziętą, przez lat wiele piastowaną, obecnie doprowadził do skutku, i jemu się dank należy za nową Encyklopedyą, któréj już wydrukowano przeszło 15 arkuszy. Całe dzieło, jakeśmy pisali, składać się będzie najwięcéj z 20 tomów, każdy o 63 arkuszach ścisłego druku. Z litery A już odbito do Ai. Wkrótce prospekt ogłoszonym zostanie: zeszyty zaś nie wprzód puszczone będą w obieg handlu księgarskiego, dopóki tom pierwszy w zupełności wydrukowanym, a drugi w rękopiśmie ukończonym nie zostanie. Prenumeraty żadnéj nie będzie: każdy pojedyncze zeszyty nabywać może. Jestto pierwsze w tym rodzaju u nas wydawnictwo, nie szukające zasiłku w prenumeracie, śmiałe, bo zaufane w wartości saméj publikacyi, i pewne że znajdzie powszechne współczucie.

— Zaledwie ostatni zeszyt „Wieńca", ofiarowanego Stanisławowi Jachowiczowi opuścił prasę, już pierwsza edycya pisma tego, w księgarni wydawcy (pana Józefa Błaszkowskiego) jest prawie zupełnie wyczerpaną: Na żądanie ma wyjść drugie wydanie, a to w skróceniu, aby każdy mógł nabyć ten dar narodowéj wdzięczności. Z trzech tomów „Wieńca", sprzedawanych po złp. 30, artykuły bardziéj ogół obchodzące utworzą tom jeden, liczący około 30 arkuszy druku. Tytuł jego będzie: „Niezapominki z Wieńca, dla Stanisława Jachowicza uwitego" Do pokrycia kosztów druku, papieru i innych wydatków, potrzeba około 500 przedpłacicieli. Skoro liczba dojdzie do 250, natychmiast druk się rozpocznie. Prenumeratę po złp. 10 za egzemplarz przyjmuje księgarnia wydawcy, pana J. Błaszkowskiego, (w Warszawie, w kamienicy szpitala ś. Rocha, naprzeciw ś. Krzyża). Nazwiska przedpłacicieli, drukiem ogłoszone będą. Warszawa, dnia 23 lutego 1859 r.

w imieniu opieki

Andrzéj Zamoyski.

— Od dwóch lat prawie zasłużona dobrze firma Józefa Zawadz-

kiego w Wilnie zawarła umowę z Józefem Korzeniowskim o druk wszystkich pism jego w jednym zbiorze, któryby kilkanaście tomów obejmował. Cieszyliśmy się, że wydanie tak upragnione, (w które wejdą wszystkie utwory dramatyczne, jak i powieściowe Korzeniowskiego, a z tych wiele do rzadkości należące) wkrótce ujrzymy; tymczasem dotąd, typografia nie rozpoczęła druku tych pism, i nie ma nadziei prędkiego ich w téj edycyi wydania. Za to czytamy, że zapowiedziana Podróż do Włoch Józefa Kremera, już się drukuje: prenumerata została na pięć tomów ogłoszona, w illustrowanéj edycyi. Będzie to nowa ozdoba literatury ojczystéj.

— Album kaliskiego, obecnie zeszyty IV i V, kończące seryą I téj publikacyi wyszły i obejmują tekst wraz z rycinami: 1) Kościół XX. Bernardynów w Kaliszu, 2) Szpital św. Trójcy, 3) Park, 4) Kościół i klasztor XX. Franciszkanów. 5) Fabryka sukna w Kaliszu, 6) Gmach szkolny. Seryą drugą, zawierającą okolice kaliskie, p. Stawecki wyda jednorazowo jeszcze w tym roku: obejmować zaś będzie podług pierwszego prospektu dwadzieścia rycin ze stosownym tekstem, i to samych tylko zabytków starożytnych i miejsc historycznych.

— Album lubelskiego oddział pierwszy, wydawany nakładem litografii A. Pecq'a w 8u zeszytach oddawna ukończony został. Nowy, drugi oddział, p. Lerue swoim kosztem wydaje: tymczasem dotąd do 1go odziału nie dołączono ani karty tytułowéj, ani spisu przedmiotów i rycin.

— Księgi świata, poczet drugi, wyszedł zeszyt drugi i obejmuje: 1) Opis kościoła metropolitalnego św. Wita i kościoła farnego św. Mikołaja w Pradze Czeskiéj, ze stalorytem. 2) Emir Abdlekader w więzach francuzkich. (Ustęp z niewydanych pamiętników turysty Polaka. 3) Chrząszcz-słoń z ryciną kolorowaną. 4) Dolina Szklar (w Krakowskiem) przez Adama Wiślickiego. 5) Wynalazek mikroskopu, 6) Jan Stanisław Jabłonowski wojewoda ruski, i jego dziełko: „Skrupuł bez skrupułu“, p. Juliana Bartoszewicza. 7) Szczawik (oxalis) z ryciną kolorowaną. 8) Paweł Morphy sławny szachista, z drzeworytem. 9) Teatr, aktorzy i dramaturg hiszpański. Kilka rysów charakterystyczno-humorystycznych, p. Bolesława Wiktora. Dodany nadto staloryt, przedstawiający miasto Koblencyą od strony Mozelli, oraz drugi zeszyt mód, z ryciną kolorowaną i arkuszem deseni, wraz z tekstem. Z tego wyszczególnienia przedmiotów widzimy, jak wiele wydawca rozszerzył ramy Księgi świata, jak urozmaica i ubogaca to pożyteczne dla ogółu pismo.

— Nowa księgarnia Michała Glücksberga, w któréj pozostanie skład główny nakładów J. Zawadzkiego po zwiniętéj pod tą firmą księgarni, występuje zarazem jako i nakładowa. Z zapowiedzianych dzieł wyliczymy ważniejsze: 1) Rys historyczny muzyki dramatycznéj, ze szczególnym poglądem na historyą opery polskiéj, z pięciu portretami sławnych artystów polskich przez M. Karasowskiego. 2) Literatura polska w zarysach przez Juliana Bartoszewicza. 3) Cywilizacya w V wieku, czyli pogaństwo i chrześcijaństwo przez Ozanama, przekład Bolesława Wiktora. 4) Królewicz Marko, zbiór bohaterskich pieśni serbskich, przekład z oryginału serbskiego Romana Zmorskiego. 5) Powieści Włodzimierza Wolskiego. P. Michał Glücks-

berg urządza przy swéj księgarni gabinet czytania polski, francuzki i angielski, w którym mieścić się będą nie same tylko utwory literatury belletrystycznéj, ale dzieła ważne historyczne i ściśle naukowe.

— Piękny projekt współki wydawnictwa F. S. Dmochowskiego, ogłoszony w Gazecie Warszawskiéj, nie znalazł należnego rozgłosu i współczucia, chociaż w nim widzimy potężną dźwignię dla wydawnictwa, niezależnego od cechu księgarskiego, i wielką dla pisarzy polskich pomoc. W Żytomierzu zawiązała się współka wydawnictwa, któréj celem wydawanie Biblioteki domowéj, czyli przedruki tanich książek. Na czele jéj stoją: Dr Karol Kaczkowski b. professor uniwersytetu warszawskiego, mąż znany z nauki i zasług w kraju, oraz Alexander Groza. Zebrano dostateczny fundusz, tak na założenie drukarni, jak koszta wydawnictwa. Powodzenie całe zawisło głównie od dobrego kierunku i trafnego wyboru przedmiotów, stanowiących treść Biblioteki domowéj; zapewnienie zaś bytu w przyszłości i utrwalenie téj pięknéj instytucyi od poparcia obywateli stałego.

— Pozostała wdowa po ś. p. Józefie Paszkowskim pułkowniku, ogłosiła w pismach codziennych odezwę, że pragnąc zbiór zupełny pism zmarłego ogłosić, wzywa przyjaciół i znajomych, ażeby raczyli jéj autografy ś. p. pułkownika udzielić. Zbiór ten, o ile wiemy, będzie znacznym. Św. p. Paszkowski wiele pisał, a w listach jego mieszczą się nieraz ważne naukowe rozprawy. Zebrane razem, piękną złożą całość, która poświadczy najwymowniéj o wysokiéj nauce i talencie zmarłego z powszechnym żalem a dobrze zasłużonego krajowi męża.

— Wydawnictwo dalsze „Kodexu dyplomatycznego, którego tom 3 wyszedł, zapewnione zostało. Odtąd wychodzić będzie nakładem redakcyi Biblioteki Warszawskiéj. Komitet złożony z Wacława Alexandra Maciejowskiego, Tadeusza ks. Lubomirskiego i Juliana Bartoszewicza, zajmie się przejrzeniem zgromadzonych materyałów i obmyśli dalszy zasób wraz z redakcyą B. W. Główną redakcyą objął Julian Bartoszewicz, który czuwać ma tak nad porządkiem, drukiem, jako też i potrzebnemi w tem wydawnictwie przypisami.

— Zbiór medalionów polskich, jakie od lat wielu znany zakład Karola Mintera wydaje, powiększony obecnie został medalionami z popiersiami Ambrożego Grabowskiego, Lucyana Siemieńskiego i Józefa Kremera, modelowanych przez naszego rzeźbiarza Święckiego. Nadto przybył medal z popiersiem poety Alexandra Grozy, bardzo podobny, modelowany przez znakomitego naszego rzeźbiarza Władysława Oleszczyńskiego. Zakład p. Mintera, obok popiersi uczonych literatów, łączy w ten zbiór medaliony królów polskich i znakomitych mężów z przeszłości ojczystéj tak piórem, jak szablą. Najświeższy medalion jest z popiersiem Władysława IV króla polskiego, zalecający się artystycznem wykończeniem. Z tegoż zakładu otrzymaliśmy mały posążek Mickiewicza w całéj postaci, na wzór jaki już mamy w większych rozmiarach gipsowy, także młodego rzeźbiarza Święckiego. Wzorem do téj pracy był posąg dłuta Władysława Oleszczyńskiego, jaki ten artysta na cześć i pamięć wielkiego wieszcza, z kamienia wykuł dla miasta Poznania. Posąg ten ma wkrótce stanąć na jednym z cmentarzy, okalających kościół w téj stolicy Wielkiego Księstwa Poznańskiego.

— Pani Seweryna z Żochowskich Pruszakowa, przygotowała do druku trzecią seryą Rozrywek dla młodocianego wieku w pięciu tomach; Julian Bartoszewicz (w Kronice) oddał w rozbiorze krytycznym dwóch pierwszych seryi należną im pochwałę.

— Marya Ilnicka z oryginału tłómaczy pieśni Ossyana; w przekładzie swoim obejmuje wszystkie utwory znane pod tem imieniem. Poprzedzi wstęp historyczny i pogląd tłómacza na te zabytki, których przekładom poświęcali pióra: Krasicki, Kniaźnin, Tymieniecki. Kazimierz Brodziński i Stefan Witwicki, ale jeden Tymieniecki tłómaczył tylko z oryginału.

— Nakładem J. Błaszkowskiego wyszło dzieło, za które autor, ks. Maret dziekan fakultetu teologii w Paryżu, zaszczycony został listem Ojca Św. Piusa IX. Tytuł dzieła jest: „O godności rozumu ludzkiego i potrzebie objawienia Boskiego“. Przekład E. Ziemięckiéj.

— P. Karasowski wykończył do druku dzieło: Rys historyczny Opery Polskiéj, poprzedzony szczegółowym poglądem na dzieje muzyki dramatycznéj powszechnéj.— Pan J. Chęciński znany z poematu Anioł i Czart, napisał we 3 aktach komedyę wierszem: Szlachectwo duszy, przygotował także do druku: Poemata mniejsze i strofy ulotne.— Fr. Salezy Dmóchowski wydał nową powieść pod napisem: Nowe drogi, opowiadania i marzenia Ziemianina.

Petersburg. Kronika podaje spis prac piśmiennych znanego prof. Sękowskiego zmarłego w Petersburgu r. 1858. Są one następujące: Collectanea (wyjątki z historyków tureckich odnoszące się do historyi polskiéj). Supplément a l'histoire des Huns (Historya panowania Uzbeków w Bucharyi).— Lettre de Tutundju-Oglou.— Karmannaja knižka dla ruskich woinow w pochodach Tureckich — Mirza — Hadzi — Baba — Isfagani w Londynie. Mirza — Hadzi — Baba — Isfagani w Persyi i Turcyi; są to dwa romanse z angielskiego. — Podróże fantastyczne barona Brambeusa. — Od roku 1833 najwięcéj pisał do rosyjskiego pisma: Biblioteka do czytania, gdzie są jego artykuły. O Sagach skandynawskich. Uwagi o Scytyi Herodota.— O pochodzeniu Russów— o poezyi arabskiéj przed Mahometem.— Z Tureckiego przetłómaczył: Notatki Resnie— Achmed— Efenda o wojnie tureckiéj 1776— 1779 — Z Arabskiego: Muattaka Sebida — z Irlandzkiego Ejmundowa Saga. — Zbiór jego prac drukuje się w dziewięciu wielkich tomach — w Petersburgu wydawał on przed dwódziestą kilku laty dziennik polski pod tytułem: *Bałamut*.

Londonderry (Irlandya). Wyszedł z druku poemat angielski: „*The Valley of Death*“ (Dolina śmierci); opisujący znaną a zgubną szarżę jazdy angielskiéj pod Bałakławą dnia 25 październik roku 1854. Pisał oryginał i wytłumaczył po angielsku kapitan Ręczyński, będący professorem inżenieryi i języków nowoczesnych w tamtejszem *Foile Collegium*. Wzmiankę o wydaniu polskiem wszystkich jego poezyi — których pomieniony poemat jest tylko odłamkiem — zrobiliśmy już w *Gazetce literackiéj* w sierpniu r. 1857, dokąd czytelnika odsyłamy.

Ant. Kłobukowski Redaktor odpow. — Ant. Rother rządca druk.

199

[illegible] — 185[illegible]